

Hans
Fallada



Zmora



PIERWSZE POLSKIE WYDANIE NIEMAL ZAPOMNIANEJ POWIEŚCI
HANSA FALLADY!! GŁĘBOKO PORUSZAJĄCE
ŚWIADECTWO KLĘSKI LAT 1945-1946.

Hans Fallada

Zmora

Z języka niemieckiego przełożył
Dariusz Guzik



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
DER ALPDRUCK. Roman

Copyright © Aufbau Verlag GmbH & Co. KG, Berlin 1947 and 2009

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcie na okładce: © GettyImages/Hulton Archive
Wykonanie okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Marta Chmarzyńska, Małgorzata Hordyńska

ISBN: 978-83-7999-782-4

Tłumaczenie niniejszej pozycji otrzymało wsparcie finansowe Instytutu Goethego ufundowane przez
Ministerstwo Spraw Zagranicznych Niemiec.



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej
publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im
przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie
publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to
dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadrage.pl
www.soniadrage.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Od wydawcy

Przedmowa

Część pierwsza. Upadek

Rozdział pierwszy. Pierwsze złudzenie

Rozdział drugi. Drugie złudzenie

Rozdział trzeci. Opuszczony dom

Rozdział czwarty. Panowie naziści

Rozdział piąty. Przyjazd do Berlina

Rozdział szósty. Nowe brzemie

Rozdział siódmy. Rozstanie Dollów

Część druga. Ozdrowienie

Rozdział ósmy. Samowolne zwolnienie

Rozdział dziewiąty. Robinson

Rozdział dziesiąty. Robinson wyrusza w świat

Rozdział jedenasty. Kłótlivy początek

Rozdział dwunasty. Ozdrowienie

Aneks

Posłowie

Dane biograficzne autora

Nota edytorska

Przypisy

Od wydawcy

Kiedy wydawnictwo Aufbau Verlag opublikowało jesienią 1947 roku przedostatnią książkę Hansa Fallady *Zmora*, mimo usilnych rekomendacji oraz wykorzystania wszelkich międzynarodowych kontaktów ogłoszono drukiem jedynie przekłady na francuski, norweski, włoski i serbsko-chorwacki – choć wcześniej nakładem rozmaitych zagranicznych wydawców Fallady ukazały się niezliczone tłumaczenia jego książek. Podobnie jak angielskie wydawnictwo Putnam postąpiło wobec *Każdy umiera w samotności*, współcześni wydawcy uznali tę powieść za słabsze dzieło cieszącego się ongiś powodzeniem pisarza, autora *Co dalej, szary człowieku?* tudzież innych światowych bestsellerów, artysty, którego śmierć opłakiwano, mógłby on bowiem, gdyby ofiarowano mu stosowny czas życia, stworzyć kolejne arcydzieła.

Już w przypadku *Każdy umiera w samotności* potomność była jednak zgoła odmiennego zdania. Właśnie owo ostatnie dzieło, przyjęte z początku raczej powściągliwie, po sześćdziesięciu latach stało się najbardziej znaną w świecie książką Fallady, która w sposób trwały zmieniła nadto spojrzenie na jej autora, a po części także na Niemcy. Należy się zastanowić, czy podobnej reakcji można się spodziewać po publikacji *Zmory* – książki, nad którą Fallada pracował tuż po klęsce nazistowskich Niemiec, między lutym i sierpniem 1946 roku, będąc przez pewien czas pacjentem sanatoriów i szpitali, utworu, bez „uporania się” z którym nie mógłby wedle własnych słów podjąć następnego tematu. Już wówczas zaczął wertować akta Gestapo, z których zaczerpnął materiał do *Każdy umiera w samotności*, niemniej dopiero po ukończeniu *Zmory* zdołał przemienić owe wstrząsające, jedyne w swoim rodzaju dokumenty w powieściową fabułę.

Z jakiego powodu po spektakularnym późnym sukcesie *Każdy umiera w samotności*, książki, w której Hans Fallada, kreśląc historię bezsensownego na pozór oporu maluczkich, dostarcza ważkiego, bezwzględnego opisu moralnej ambiwalencji całego społeczeństwa, należałoby teraz przedłożyć powieść (a jako czytelnik: powieść przeczytać), która – jak donosiły głosy krytyków po jej opublikowaniu – „jako swego rodzaju charakterologiczna autobiografia nie mogła stać się źródłem czystej czytelniczej przyjemności” („Schwäbisches Tagblatt”), została odebrana jako „przyznanie się do własnych ludzkich słabości” tudzież jako „dokument historii Niemiec po ich głębokim upadku” („Leipziger Zeitung”),

wreszcie jako „opowieść spisana bez odpowiedniego dystansu wobec przerażających wojennych wydarzeń” („Freie Presse”)?

Znakomite holenderskie wydawnictwo Cossee w ogóle nie zaprzętało sobie głowy tym pytaniem, lecz opublikowało *Zmorę* wraz z innymi znaczącymi późnymi dziełami Fallady, z którymi książka ta jest powiązana ze względu na swą genezę i treść: *W moim obcym kraju. Dziennik więzienny 1944, Pijak oraz Każdy umiera w samotności*. Wydawca postąpił słusznie, gdyż powieść ta dzięki bezpośrednim obserwacjom z dawno wyrugowanego okresu niemieckiej historii – z owego zawieszono, przez nic już albo nic jeszcze na powrót niespojonego czasu pomiędzy końcem starego, złego porządku a powolnymi narodzinami nowego – wypełnia lukę, której znacznie obszerniejsze i bardziej dalekosiężne utwory, jak wydany w 1946 roku *Das gute Recht* Kasimira Edschmida, wypełnić nie zdołały. Rzecz dotyczy prowincji (w tym przypadku: meklemburskiej), znajdującej się raczej na peryferiach zainteresowań literackich twórców podejmujących ówczesną tematykę; w szczególności zaś sposób dotyczy ona Berlina, scenerii ostatnich miesięcy życia Fallady, miasta ukaranego za jego historyczne przewiny, którego mieszkańcy, podobnie jak sam autor, z początku zdezorientowani, później zmuszeni przez okoliczności, z coraz większym uporem walczą o przetrwanie.

Człowiek w owym czasie uwięziony, autor pochłonięty osobistym zmaganiem o przeżycie, o postawę, o wyrobienie sobie stanowiska w kwestii własnej winy, zdołał dokonać rzeczy niezwykłej – bodaj najlepiej wyraził to słowami autor jego nekrologu Johannes R. Becher (który w niniejszej książce pojawia się jako orędownik Dolla, Granzow): „Sprzeczność, którą ucieleśniał, nie miała charakteru prywatnego. W stanach duchowego kryzysu ucieleśniał sobą, wyrażał sytuację całych Niemiec”. W przypadku żadnego innego utworu Fallady stwierdzenie to nie jest bardziej uzasadnione.

Gdy od ulepionego z osobistych przeżyć Fallady protagonisty, pisarza doktora Dolla, dowiadujemy się, że wypełnia go „uczucie najbardziej bezradnego wstydu, ustępujące często długim okresom najdotkliwszej apatii”, owa indywidualna duchowa konstytucja Hansa Fallady jest wspólna całemu społeczeństwu, żyjącemu w stanie wyjątkowym. Czyż istnieje bardziej imponujące, niezmaczone wejrzenie w życie duchowe, w trudny proces poznawczy ówczesnego Niemca, który nie popierał co prawda nazistów, lecz żadnych też działań przeciw nim nie podjął, godząc się, na ile to możliwe, ze swym losem, niż w następującej scenie? Doll sądzi, że z radością powita rosyjskich okupantów jako długo wyczekiwanych wyzwolicieli, nim w końcu zrozumie: „Był Niemcem, należał

więc do najbardziej znienawidzonego i pogardzanego narodu na całej kuli ziemskiej! [...] Doll zdał sobie naraz sprawę, że prawdopodobnie życia mu nie starczy, by doczekać chwili oczyszczenia niemieckiego imienia w oczach świata, że być może jego własne dzieci i wnuki będą musiały żyć z piętnem hańby swych ojców”.

Tragiczne obserwacje, jak opis rodziny aptekarza, która przetrwała wszelkie okropności, a teraz ze strachu przed zwycięzcami usiłuje odebrać sobie życie, mieszają się z obrazami dnia powszedniego, świadczącymi o tym, że każdy, kto wyjechał na jakiś czas z Berlina, po powrocie nie potrafi się w nim na nowo odnaleźć, gdyż w owym zuniformizowanym, zrujnowanym krajobrazie zniknęły wszystkie znaczące punkty orientacyjne. Bezlitosnym wzrokiem spogląda Fallada na wszechobecną nędzę, która stała się także i jego udziałem: „Doll nie zdołał jednak przewidzieć jednego: że ponownie zatraci w sobie poczucie własnej wartości [...] Nadzy winni tam stać, wyzuci z wszystkiego, w obliczu kłamstw, które przez całe życie wtlaczano im do głów jako najświętszą prawdę i mądrość, winni utracić cały swój skarb miłości i nienawiści, wspomnień, poczucia własnej wartości, godności”. Bez ogródek przedstawia narkotykowe ekscesy Dolla i Almy, czerpiąc wyraźnie z własnych doświadczeń. Pojawiają się poruszające, wzbudzające niekiedy współczucie, to znów niezrównanie komiczne opisy, jak wówczas, gdy Doll i Alma podstępnie, a nawet bezwstydnie targują się o kolejne „dawki” w klinikach albo u miejscowych lekarzy (wspomnieć warto gościnnie występ Gottfrieda Benna w roli „pergaminowego doktora” nazwiskiem Pernies). Z niezwykłą empatią portretuje Fallada także maluczkich, na przykład dobroduszną, czynną panią Minus, która pewnego razu wspaniałomyślnie napełnia w swym sklepie torby żywnością, nie pobierając stosownych kartek, gdzie indziej zaś skłania się do jakże dla siebie typowego koloryzowania, w szczególności w odniesieniu do Almy. Na początku na przykład niewinnie usiłuje ona zdobyć „swoją środka na dolegliwości żółciowe” (czytaj: uzależniona potrzebuje kolejnej dawki morfiny).

Zarazem jednak owa właściwa narratorowi skłonność do upiększania, obecna niemal w całym inspirowanym autobiograficznie dziele Fallady, wychodzi tak powieściopisarzowi, jak i czytelnikowi na dobre. Z pewnością ucieszy go poniższa drobna scena: Siedząc w tramwaju, Doll uparcie się wzbrania zamienić choćby słowo z własną żoną, która miałaby leczyć się ze swego uzależnienia, woli z niczego nie rezygnować. Oboje znajdują miejsca naprzeciw starszej kobiety, którą irytuje zachowanie Almy, beztrąsko palącej w wagoniku papierosa. Słyszając okrzyk starej: „Ech, te wyfiokowane baby!”, Alma odparowuje: „Ech, te durne

stare próchna!”. A wtedy wszyscy wybuchają śmiechem, jeden z pasażerów tupie nawet z zadowolenia nogami. I dalej czytamy: „Po owym *intermezzo* stosunki między małżonkami znów układały się jak najlepiej”. Wrodzony talent narracyjny Fallady objawia się nawet pośród nędzy i zgliszczy Berlina.

To dzięki temu zniechęcającą rzeczywistość czyni na wskroś znośną – dla czytelnika, dla siebie? Dla Fallady, dla Dolla czas ten był w każdym razie trudny do zniesienia: „Wkrótce przyjdzie nam pewnie umrzeć, lecz w wielkim mieście można to zrobić w najmniej zauważalny i najwygodniejszy sposób. Pomyśl tylko o gazie!”. Nawet w tym przypadku pojawia się u Fallady drobna tragicomedia: „Tylko jak to zrobić? Trucizna jest dla nas nieosiągalna. Woda? Za dobrze oboje pływamy. Stryczek? Odrażające! Gaz – ale nie mamy już nawet kuchni z gazową kuchenką”. Na przekór wszystkiemu wkrótce potem pojawia się na horyzoncie promyk nadziei, drobny błysk optymizmu: „A jednak świat na zewnątrz, ten niesamowicie wielki, zagmatwany Berlin jest taki cudowny, wciąż pełen cudów!”.

Owe spotykane wyłącznie u Fallady fragmenty, tworzące mocną książkę o słabym człowieku, sprawiły, że odradzająca się ówczesna felietonistyka nie mogła mu odmówić respektu. Berliński „Tagesspiegel” pisał: „*Zmora* jest symbolem wydarzeń, jakie rozegrały się w Niemczech po kapitulacji”. „Berliner Zeitung”: „Wycinek skondensowanej rzeczywistości historycznej o ponadindywidualnej wartości [...]. Nie trzeba dodawać, że książka jest napisana w sposób zajmujący i żywy”. „Frankfurter Neue Presse”: „Książka nad wyraz szczerą, prawdziwy dokument ludzkich losów”. „Norddeutsche Zeitung”: „*Zmora* stanowi kwintesencję opinii Fallady, że to nie ruiny są ważne, że chodzi wyłącznie o życie”. Najlepiej podsumowuje to „Zwiebelfisch”: „W swojej znakomitej książce Hans Fallada kreśli obraz zniechęcenia, apatii Niemców. W sposób mistrzowski przedstawia ostatnie miesiące doświadczeń wojennych, koniec wojny, wkroczenie oddziałów radzieckich, «mieszczkański» świat w jego przystosowywaniu się do nowego otoczenia, moralny upadek społeczeństwa”.

Sam Fallada dokonał jednego z owych cudów, którymi jego zdaniem wypełniony był w tamtych dniach Berlin. Ukończył rozstrzygające o jego późniejszej sławie dzieła *Zmora* oraz *Każdy umiera w samotności*. Zanim jednak ukazały się drukiem, Rudolf Ditzen zmarł 5 lutego 1947 roku wskutek ostrej niewydolności serca. Był u kresu sił.

„Das Schwäbische Tagblatt” ubolewał przy okazji pierwszego wydania *Zmory*, że znakomity, wstrząsający nekrolog Bechera, napisany po śmierci przyjaciela pisarza, został (podobnie jak w obecnym wydaniu) przedrukowany na końcu

tomu – „lepiej gdyby widniał jako *przedmowa*”. Niniejsze słowo wstępne pragnie zadośćuczynić wyrażonemu tu pragnieniu – nawet jeśli dystans czasowy ułatwia dzisiejszemu czytelnikowi właściwy osąd dzieła. Osobista bezpośredniość tej „mocnej książki, wiele nam, bardzo wiele mówiącej o samym autorze” (jak się wyraził ówczesny kierownik Aufbau Verlag, Erich Wendt), skraca ów dystans w sposób, jaki potrafi jedynie wybitna literatura. Takiej literatury nie wolno przed czytelnikiem ukrywać, nawet jeśli zyska on głębsze niż zazwyczaj wejrzenie w ludzkie otchłanie cenionego przez siebie autora. Tylko tak bowiem w sposób decydujący zbliżymy się do odpowiedzi na elementarne pytanie: Jak świat zbezczeszczonego i zhańbionego na powrót uczynić szczęśliwym?

Nele Holdack
René Strien
Berlin, kwiecień 2014 roku

Przedmowa

Autor niniejszej powieści w żadnej mierze nie jest zadowolony z tego, co napisał na kolejnych stronicach książki, którą otwiera oto przed sobą czytelnik. Tworząc jej plan, roił sobie, że oprócz porażek powszedniego życia, depresji, dolegliwości, zniechęcenia – słowem: wszelkich owych zjawisk, jakie w sposób nieunikniony zrodziło w życiu każdego Niemca zakończenie tej okropnej wojny, będzie mógł także dać wyraz przejawom rozkwitu. Bohaterskie czyny, wypełnione nadzieją godziny nie były mu jednak sądzone. Książka ta pozostała w gruncie rzeczy chorobliwą relacją, historią apatii, jaka zawładnęła większą, a przede wszystkim bardziej przyzwoitą częścią niemieckiego społeczeństwa w kwietniu roku 1945, apatii, z której wielu po dziś dzień się nie otrząsnęło.

Powód, dla którego nie potrafił tego zmienić, nie zdołał tchnąć w tę powieść lekkości i pogody ducha, nie leży wyłącznie po stronie autora i sposobu, w jaki postrzega on rzeczy, kryje się raczej w ogólnej sytuacji niemieckiego narodu, którą dziś jeszcze, pięć ćwierci roku po zakończeniu działań wojennych, wciąż spowija posępny mrok.

Jeśli mimo owych braków powieść zostaje przedstawiona publiczności, to dlatego, że jest to być może „document humain”, możliwie zgodna z prawdą relacja o tym, co niemieccy obywatele odczuwali, wycierpieli, czynili od kwietnia aż do lata roku 1945. Może już niedługo nie sposób będzie pojąć odrętwienia i bezwładu, które jakże fatalnie zawładnęły pierwszym rokiem po zakończeniu wojny. A zatem jest to historia o chorobie, żadne tam dzieło sztuki – wybaczcie! (Również autor nie potrafił inaczej, on także był „sparalizowany”).

Wspomnieliśmy przed chwilą o „zgodnej z prawdą relacji”. Nic wszakże z tego, co zostało opisane na poniższych stronicach, nie potoczyło się w sposób, w jaki to przedstawiono. Choćby ze względu na swą objętość książka niniejsza nie może opowiedzieć wszystkiego, co się wydarzyło. Wciąż trzeba było dokonywać wyborów, relacjonowanych zdarzeń nie można było przedstawić w formie czysto opisowej, należało je przetworzyć. Nie oznacza to jednak, że całość nie może być przez to „prawdziwa”: wszystko, o czym tu opowiedziano, *mogło* się wydarzyć, choć składa się na powieść, a więc wytwór wyobraźni.

To samo należy stwierdzić o przedstawionych postaciach – żadna z nich nie istnieje poza ramami tej książki, w sposób, w jaki ją odmalowano. Podobnie jak

zdarzenia, także i postacie musiały zostać podporządkowane regułom narracji. Niektóre zostały zmyślane, inne zaś ulepione z wielu rozmaitych fragmentów.

Pisanie tej powieści nie przyniosło autorowi radości, książka ta wydaje mu się jednak ważna. Nieustannie, wśród wzlotów i upadków, za istotne uważał to, co przeżywano po zakończeniu wojny, tak w sferze realnej, jak duchowej. Niemal wszyscy utracili wiarę, a mimo to w końcu odnaleźli nieco otuchy i nadziei – o tym właśnie można przeczytać na kolejnych stronicach.

H.F.

Berlin, sierpień 1946 roku

Część pierwsza
Upadek

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pierwsze złudzenie

W tamte noce, w czas wielkiej klęski, doktora Dolla, skoro tylko udało mu się zasnąć, wciąż nawiedzał ten sam senny koszmar. Niewiele spali w tamte pierwsze noce, zdjęci strachem wciąż wyczekiwali jakiegoś zagrożenia, czy to dla ciała, czy dla duszy. Noc dawno już zapadła – po dniu wypełnionym udręką – a oni nadal siedzieli przy oknach i spoglądali na skrawek łąki, zarośla, wąski cementowy chodnik, czy aby nie zbliża się wróg, aż w obolałych ich oczach wszystko zlewało się w jedno i niczego nie mogli już dojrzeć.

Często któreś z nich pytało:

– Czy nie powinniśmy położyć się spać?

Zazwyczaj nikt jednak nie odpowiadał, siedzieli więc nadal, patrząc przed siebie i odczuwając strach. A wtedy doktora Dolla dopadał nagle sen, niczym zbójca, którego wielka dłoń kładzie się duszącym uściskiem na twarzy. Albo jak gęsta pajęcza sieć, wnikaająca z każdym oddechem w głąb gardła, obezwładniająca świadomość. Zmora...

Zasnąć w ten sposób było nie lada udręką, zaraz potem nawiedzał go senny koszmar, zawsze ten sam. Oto co śnił Doll.

Leżał na dnie ogromnego leja powstałego wskutek wybuchu bomby, na plecach, z ramionami przyciśniętymi do boków, w wilgotnej żółtej glinie. Nie poruszając głową, mógł dojrzeć zwalone do wnętrza leja pnie drzew, a także fasady domów z pustymi otworami po oknach, za którymi nie było już nic. Czasem dręczyła Dolla obawa, że mogłyby zapaść się głębiej i go przygnieść, nigdy jednak żadna z tych groźnych ruin nie zmieniła swego położenia.

Nękała go także myśl, że zaleją go tysiące wodnych żył i źródeł, i wypełnią mu usta żółtą glinianą mazią. Nie było przed tym ucieczki, Doll wiedział bowiem, że o własnych siłach nigdy z dna krateru wydostać się nie zdoła. A jednak również i ta obawa była bezpodstawna, gdyż nie słyszał szumu źródeł ani plusku wody, w tym ogromnym zagłębieniu panowała śmiertelna cisza.

Także i trzecie nurtujące go wrażenie było jedynie iluzją: po niebie nad lejem ciągnęły nieprzerwanie olbrzymie czeredy kruków i wron. Przeszywał go strach, że mogłyby dostrzec leżącą w gliniastej ziemi ofiarę. Nic z tego, wciąż panowała

absolutna cisza, stada ptactwa istniały wyłącznie w jego wyobraźni, musiały przecież dosłyszeć przynajmniej odgłosy ich krakania.

Dwie inne rzeczy nie były jednak urojeniami, dobrze o tym wiedział. Jedną z nich była świadomość, że wreszcie nastał pokój. Bomby nie przeszywały już z przeraźliwym świstem powietrza, nie huknął ani jeden wystrzał. Zapanował pokój, wokół zaległa cisza. Ostatnia ogromna eksplozja strąciła go na gliniane dno tego leja. Nie leżał tam sam. Choć nie dosłyszał żadnego odgłosu ani nie dostrzegł niczego poza tym, co opisano, wiedział jednak, że wraz z nim leży tam cała jego rodzina i cały naród niemiecki, i wszystkie narody Europy, wszyscy równie bezsilni, równie bezbronni jak on, wszyscy gnębieni tymi samymi lękami.

W tych niekończących się godzinach sennej udręki, po której za dnia w energicznym doktorze Dollu pozostawał już tylko lęk, w tych morderczych minutach snu wciąż widział jeszcze i to:

Na brzegu leja siedziała bez ruchu pogrążona w milczeniu Wielka Trójka. Nawet w snach określał ich wyłącznie tym mianem, którego niezatarty ślad wojna wypaliła w jego mózgu. Przypominał sobie potem ich nazwiska: Churchill, Roosevelt i Stalin, choć czasem dręczyła go myśl, że i tu nie tak dawno nastąpiła pewna zmiana.

Trzej Wielcy siedzieli blisko siebie, albo raczej niedaleko od siebie. Siedzieli tak, jakby każdy z nich przybył właśnie ze swojej części świata, i z niemym żalem patrzyli w głąb ogromnego leja, na którego dnie, bezbronni i zbrukani, leżeli Doll ze swoją rodziną, naród niemiecki i wszystkie narody Europy. A kiedy tak siedzieli w milczeniu i patrzyli zasmuceni, Doll z całym płynącym z głębi swego serca przekonaniem sądził, że Trzej Wielcy nieustannie rozmyślają nad tym, jak jemu, Dollowi, i wszystkim innym dopomóc, i o tym, jak pohańbiony świat na powrót uczynić szczęśliwym. Tak, nad tym zastanawiali się bezustannie owi Trzej Wielcy, podczas gdy niezliczone stada wron krążyły nad oswobodzoną krainą, z pól bitewnych całego świata wracając do swych dawnych gniazd, a ciche źródła szemrały bezgłośnie, niosząc żółtawą glinianą maź coraz bliżej jego ust.

On jednak, Doll, nic nie mógł na to poradzić, z przyciśniętymi do ciała ramionami musiał leżeć cierpliwie i czekać, aż smutnie zadumana Wielka Trójka powźmie jakąś decyzję. Była to dlań może najgorsza udręka w owym sennym koszmarze – choć wciąż narażony na liczne niebezpieczeństwa, nic jednak nie mógł zrobić, musiał spokojnie czekać, czekać bez końca, bez końca! Puste fasady domów wciąż mogły się zapaść i runąć na niego, wygłodniałe cztery wrony mogły go, bezbronno, wypatrzeć, żółta glina wypełnić mu usta – on zaś nic nie

mógł uczynić, pozostało mu jedynie czekać, choć mogło się okazać, że będzie już za późno, dla niego i tych, których kochał... Może wszyscy zginą!

Wiele, wiele czasu minęło, zanim ostatnie cienie owej sennej mary opuściły Dolla. Uwolnił się od niej dopiero wtedy, gdy zwrot w jego życiu zmusił go do zarzucenia rozmyślań i powrotu do dawnej aktywności. Znacznie dłużej wszakże zajęło mu uświadomienie sobie, że ów koszmar, wyłaniający się upiornie z najgłębszych zakamarków jego duszy, to jedynie podstępne złudzenie. Choć był dlań udręką, Doll wierzył w jego prawdziwość.

Minęło sporo czasu, nim zrozumiał, że nikt, nikt nie był gotów mu pomóc w wydostaniu się z bagna, w jakim ugrzązł. Żaden człowiek, nikt z Wielkiej Trójki, nie wspominając już o rodakach, nie interesował się doktorem Dollem. Jeśli szejnie w błotnistej mazi, tym gorzej dla niego – lecz wyłącznie dla niego! Niczyjego serca w świecie całym jego los nie poruszy. Jeśli rzeczywiście pragnął powrócić do swej twórczej pracy, sam musiał przezwyciężyć apatię, podnieść się, strząsnąć z siebie błoto i przystąpić do działania.

W owym czasie Doll jednak tego nie rozumiał. Kiedy wreszcie zapanował pokój, on długo jeszcze sądził, że cały świat tylko czeka, by pomóc mu stanąć na nogi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Drugie złudzenie

Rankiem owego 26 kwietnia 1945 roku Doll obudził się wreszcie w dobrym nastroju. Po tygodniach i miesiącach beczynnego wyczekiwania na zakończenie wojny chwila oswobodzenia wydawała się bliska. Miasto Prenzlau zostało zdobyte, w każdej chwili mogli się pojawić Rosjanie. Dzień wcześniej nad miastem krążyły samoloty, i nie były to samoloty niemieckie!

Najlepsze nowiny Doll poznał jednak późnym wieczorem: SS było w odwrocie, oddziały volkssturmu rozwiązano, nikt nie będzie bronić miasteczka przed nadciągającymi Rosjanami! Z serca spadł mu wówczas ogromny ciężar: od tygodni nie wychodził za próg, by nie zwracać na siebie uwagi. Postanowił bowiem nie walczyć w szeregach volkssturmu.

Usłyszawszy tak korzystne wieści, znów mógł stanąć przed drzwiami swego domu, nie martwiąc się o to, co powiedzą sąsiedzi, z których co najmniej trzech mogło go dojrzeć przez ogrodzenie i żywopłot. Wyszedł więc razem z młodą swą żoną na dwór, by cieszyć oko wspaniałym wiosennym dniem. Słońce przygrzewało, a jego ciepło, szczególnie tu, w dole, nad wodą, miało kojący wpływ. Zieleń mieniła się tysiącem łagodnych, radosnych odcieni wczesnego rozkwitu, a ziemia zdawała się uginać pod stopami, nabrzmiała od napierającej roślinności.

Stojąc razem z żoną w błogim nastroju przed domem, spojrzął na dwie długie rabaty bylin, ciągnące się po prawej i lewej stronie wąskiej cementowej drożki prowadzącej do drzwi wejściowych. Również i one już się zieleniły, ba, zakwitły pierwsze szafirki, pierwiosnki i zawilce. Ten radosny widok psuła jednak płatanina drutów, które, po części zerwane, po części wciąż umocowane do szkaradnych palików, zaburzały wiosenny wzrost młodych roślin, a ich podstępnie zwisające końce uniemożliwiały wręcz bezpieczne wchodzenie na cementową ścieżkę.

– Oto moje zajęcie na dzisiaj! – zawołał Doll, zerknąwszy na ów nieporządek.
– Te nędzne zasieki od dawna już mnie irytują! – Przyniósł obcęgi oraz motykę, po czym z zapalem zabrał się do dzieła.

Pracując w słońcu, obserwował przy okazji posesje swoich najbliższych sąsiadów. Wkrótce zauważył ich niecodzienną krzątanie. Nieustannie biegali

tam i z powrotem, walizki i meble przenosili z domów do szop lub odwrotnie, krążyli bez żadnego na pozór celu z łopatami, które tu i ówdzie wbijali na chybił trafił w ziemię.

Jeden z sąsiadów wybiegł spiesźnie na pomost, przystanął i włożył ręce do kieszeni, jakby nagle miał mnóstwo wolnego czasu. Po chwili coś wpadło z pluskiem do wody. Sąsiad niezbyt dyskretnie rozejrzał się wokół, czy ktoś go nie obserwuje – Doll nadal żwawo wywijał motyką – po czym wolnym krokiem ruszył zamyślony w kierunku domu, gdzie niebawem znów przystąpił do gorączkowych zajęć.

Wszystko na powrót ucichło. Ludzie gromadzili się przy płotach i zawzięcie do siebie szeptali. Sporych rozmiarów paczki zmieniały właścicieli, wędrując ponad ogrodzeniem. Na koniec wszyscy pilnie się rozchodzili do innych tajemniczych zajęć.

Doll, który dopiero od kilku miesięcy mieszkał na działce należącej do jego drugiej żony, jako „obcy” został z nich wykluczony – i bardzo się z tego cieszył. Wszystkie bowiem owe jawnie sekretne sprawy zajmowały niemal wyłącznie kobiety oraz bardzo starych mężczyzn, on zaś nimi gardził jako „babskim gadaniem”.

Długo się jednak nie nacieszył swym odosobnieniem, gdyż zjawiły się u niego dwie kobiety, rzekomo przyjaciółki jego żony, których nie mógł ścierpieć. Przystanąły, udając ogromne zdziwienie, że w taki dzień znalazł czas na takie zajęcie. Przecież wkrótce zjawią się tu Rosjanie!

Doll, do którego podeszła teraz także żona, z lekko drwiącym uśmiechem wyjaśnił, że właśnie porządkuje dróżkę, by powitać długo wyczekiwanych gości. Zaskoczone kobiety zapytały, czy naprawdę zamierza czekać tu beczynnym na wroga; z dwójką dzieci, starą babką i młodą żoną nie jest to raczej wskazane. Oni, mieszkańcy przedmieścia, postanowili przeprowić się po zapadnięciu zmroku łodziami na drugi brzeg jeziora, zaszyć głęboko w lesie i poczekać tam na dalszy rozwój wypadków.

– Nie zamierzamy robić niczego podobnego – wyręczyła go żona, odpowiadając przyjaciółkom. – Nie ruszymy się stąd ani na krok, niczego nie będziemy ukrywać; na progu naszego domu powitamy z mężem długo wyczekiwanych wyzwolicieli!

Kobiety żywo zaoponowały, lecz im usilniej starały się argumentować, tym większych nabierały wątpliwości, coraz mniej były przekonane, że ucieczka w głąb lasu rzeczywiście jest bezpieczna. Kiedy wreszcie sobie poszły, Doll rzekł z uśmiechem do żony:

– Zobaczysz, nic nie zrobią. Jeszcze przez parę godzin będą się krzątać bez celu jak stado kur przed nadciągającą burzą, tu coś schowają, tam coś przestawią. W końcu jednak przysiądą zmęczeni i – jak my wszyscy od tygodni – będą już tylko czekać na wybawienie.

Pani Alma w zupełności zgadzała się z mężem, sama jednak nie czuła się ani znużona, ani gotowa na bezczynne wyczekiwanie. Po posiłku oznajmiła Dollowi, który po niecodziennej porannej pracy zamierzał nieco odpocząć na tapczanie, że pojedzie na rowerze do miasteczka, by uzupełnić zapas środków na dolegliwości żółciowe, gdyż w najbliższych dniach nie będzie po temu okazji.

Doll miał pewne wątpliwości, jako że Rosjanie mogli nadejść w każdej chwili i lepiej by było powitać ich razem przed domem. Z doświadczenia wiedział jednak, że daremnie byłoby próbować odwieść młodą kobietę od tego zamiaru, wskazując na czyhające po drodze niebezpieczeństwa. Dziesiątki razy, wśród przerażającego gradu bomb, w pożodze Berlina czy też podczas nalotów myśliwców szturmowych dowiodła, że strach był jej zupełnie obcy.

– Niech i tak będzie! Powodzenia, moja droga! – odrzekł więc z lekkim westchnieniem, zerknął przez okno, gdy odjeżdżała, po czym z uśmiechem położył się na tapczanie i zasnął.

Pani Alma pedałowała z zapałem w kierunku miasteczka. Droga wiodła najpierw mało uczęszczanymi ścieżkami, przy których nie napotykało się prawie żadnych domostw, potem aleją obrosłą z obu stron willami. Ze zdziwieniem stwierdziła, że na ulicach nie ma żywego ducha, wille zaś – być może ze względu na pozamykane bez wyjątku okna – sprawiały wrażenie niezamieszkanym, miejsc niemal upiornych. „Wszyscy pewnie skryli się już w lesie” – pomyślała pani Doll, czując przy tym wzbierające pragnienie działania.

W miejscu, gdzie aleja przemieniała się w pierwszą prawdziwą ulicę miasteczka, natknęła się wreszcie na oznaki życia: ujrzała ogromną ciężarówkę Wehrmachtu. Kilku esesmanów pomagało młodym kobietom i dziewczętom przy wsiadaniu.

– Proszę się pospieszyć, młoda pani! – zawołał jeden z nich do pani Doll tonem niemal rozkazującym. – To ostatni transport Wehrmachtu, jaki opuszcza miasto!

Pani Doll, podobnie jak jej mąż, poczuła zadowolenie z faktu, że miasteczko nie będzie bronione, lecz zostanie poddane bez walki. Nie przeszkodziło jej to jednak w odpowiedzi:

– Jakże to do was podobne, cholerne gnojki, gdy nadchodzą Rosjanie, uciekacie! Do tej pory zachowywaliście się tak, jakbyście byli panami tego

miasta, wszystko nam zezarliście i wypiliście, ale teraz, kiedy robi się groźnie, zmykacie jak tchórze!

Jeszcze poprzedniego dnia nie mogłaby się w ten sposób odezwać do esesmana, nie narażając siebie i swoich najbliższych na najgorsze konsekwencje. W ciągu dwudziestu czterech godzin sytuacja musiała się rzeczywiście zmienić, gdyż esesman odparł nad wyraz spokojnie:

– Proszę wsiadać do samochodu i nie gadać bzdur! Czoło rosyjskiej kolumny pancernej wtargnęło już do miasta!

– Tym lepiej! – zawołała pani Doll. – W takim razie będę ich mogła niedługo przywitać!

Nacisnęła na pedały i ruszyła w głąb miasta, zostawiając za sobą ostatnią bodaj ciężarówkę Wehrmachtu, jaką miała w życiu zobaczyć.

Znów owładnęło nią nieodparte wrażenie, jakby wędrowała przez wymarłe miasto – może tych kilka kobiet przy ciężarówce rzeczywiście było ostatnimi jego mieszkankami, wszyscy pozostali ratowali się już ucieczką. Na ulicach nie dostrzegła ani jednego człowieka, ba, nawet psa czy kota. Pozamykano wszystkie okna, wszystkie drzwi wyglądały na zabarykadowane. A mimo to, przemierzając ulice i coraz bardziej zbliżając się do śródmieścia, odniosła wrażenie, jakby ten wielesetgłowy stwór wstrzymywał jedynie oddech, jakby tuż za jej plecami, tuż obok niej miał zaraz wybuchnąć przeraźliwym rykiem udręczonego strachem wyczekiwania! Jakby za tymi ślepyimi oknami mieszkali jednak ludzie, wprost obłąkani lękiem przed tym, co miało nastąpić, w nadziei, że ta koszmarna wojna naprawdę dobiegła końca.

Wrażenie to jeszcze się nasiliło, gdy zauważyła kilka zawieszonych tu i ówdzie nad drzwiami białych szmatek wielkości chusteczki. Pod wpływem owej upiornej atmosfery panującej w miasteczku pani Doll potrzebowała chwili, by zrozumieć, że te białe szmatki mają oznaczać bezwarunkowe poddanie się. Po raz pierwszy od dwunastu lat ujrzała wiszące na ścianach domów flagi bez swastyki. Mimowolnie przyspieszyła.

Skreśliła za rogiem, a wtedy niepokojące uczucie upiornego lęku natychmiast ją opuściło, bezwiednie się uśmiechnęła. Po wyboistej ulicy miasteczka przemierzało się, w zupełnym na pozór bezładzie, osiem albo dziesięć czołgów. Po mundurach oraz nakryciach głowy stojących w otwartych włazach mężczyzn pani Doll natychmiast poznała, że nie były to czołgi niemieckie, o nie, to czoło rosyjskiej kolumny pancernej, przed którą dopiero co ją ostrzegano!

Zupełnie niepotrzebnie. W promieniach wiosennego słońca czołgi te jeździły wte i wewte, bez trudu pokonywały krawędź chodnika, to znów ocierały się

o pnie lip i wracały na jezdnię, ich przejazd nie budził jednak strachu. Wręcz przeciwnie, wydawał się lekką, niemal radosną zabawą. Ani przez chwilę nie zaważnęło ją poczucie zagrożenia. Przemknęła na rowerze między czołgami i dotarwszy do celu, zeskoczyła z niego przed apteką. Ogarnięta swobodnym nastrojem nie zważała na to, że domy przy tej ulicy bojaźliwie zabarykadowano i zamknięto. Ona zaś była jedyną Niemką pośród samych Rosjan, z których kilku stało w pobliżu, dzierżąc w dłoniach karabiny maszynowe.

Z lekkim wahaniem pani Doll odwróciła wzrok od tej niecodziennej ulicznej sceny i spojrzała na wejście do apteki, jak wszystkie pozostałe starannie zabarykadowane. Jako że na nic się zdało pukanie i wołanie, nie namyślając się długo, podeszła szybkim krokiem do jednego z uzbrojonych Rosjan.

– Słuchaj no, Wanja – rzekła z uśmiechem na twarzy, po czym szarpnęła go za rękaw w stronę apteki. – Otwórz no ten sklep!

Roześmiane spojrzenie jej oczu Rosjanin powitał z pewną obojętnością, przez chwilę miała nieco niepokojące wrażenie, jakby gapił się na nią jak na ścianę domu albo jakieś zwierzę. Wrażenie to szybko się jednak rozwiało, gdyż mężczyzna wcale się nie opierał, w mig zrozumiałwszy jej prośbę, kilkakrotnie uderzył donośnie kolbą karabinu w płycinę drzwi. Wkrótce w przeszklonym okienku pojawiła się lwia grzywa aptekarza, mężczyzny po siedemdziesiątce, lękliwie wypatrującego przyczyny łomotania. Jego twarz, naznaczona zazwyczaj przyjaznym bordowym odcieniem, była teraz bladoszara.

Pani Doll skinęła zachęcająco staruszkowi, do Rosjanina zaś rzekła:

– Już dobrze, dziękuję. Możesz odejść.

Żołnierz, bez drgnienia powiek, nawet się nie obejrzawszy, wrócił na ulicę. Przekręcono klucz w zamku, pani Doll mogła wejść do apteki, w której, oprócz siedemdziesięciolatka, przebywała również jego znacznie młodsza żona oraz ich dwu, trzyletnie dziecko. Gdy pani Doll znalazła się w środku, drzwi zostały natychmiast na powrót zamknięte.

O ile każde poszczególne doznanie owego pierwszego dnia okupacji długo jeszcze ożywało w jej pamięci, o tyle nikło w jej myślach wspomnienie tego, o czym w aptecce wówczas rozmawiano. Owszem, dostała swoje lekarstwo, jak zawsze precyzyjnie odmierzone, pamiętała jeszcze i to, że zapłata została najpierw odrzucona, potem jednak przyjęta z mętnie uśmiechniętym wzrokiem, przypominając zabawę nierozsądnego dziecka. Potem zaś wywiązała się rozmowa, napomknięto na przykład o tym, że w żadnym razie nie może teraz, ze względu na Rosjan, wyruszyć w daleką drogę do domu, że koniecznie musi pozostać w aptece. A jednak nawet sami przekonujący ją do tego rozmówcy

zaczęli kilka chwil później powątpiewać, czy ich dom gwarantuje jakiegokolwiek bezpieczeństwo, czy nie byłoby lepiej schronić się jednak w lesie. Zaczęto czynić sobie wyrzuty, dlaczego już wcześniej nie zdecydowano się na ucieczkę na zachodnie tereny Niemiec – słowem, pani Doll stała się świadkiem takiej samej nieszczęsnej, bzdurnej paplaniny ludzi znudzonych niekończącym się, upiornym wyczekiwaniem, jaką w owych dniach dało się słyszeć w niemal każdym niemieckim domu.

W tym miejscu wszakże, zważywszy na przetaczające się przed oknem apteki czołgi, było to pozbawione jakiegokolwiek sensu. Nie trzeba już podejmować żadnych decyzji – wszystko zostało rozstrzygnięte, czas wyczekiwania minął! A do tego zjawiała się pani Doll, przesycona wiosennym, rozświetlonym promieniami słońca powietrzem, przemknęła pomiędzy czołgami, bez namysłu chwyciła Rosjanina za rękaw, strząsnęła z siebie ostatnie resztki upiornego strachu – i zwyczajnie nie *potrafiła* dłużej ścierpieć tej gadaniny. W końcu poprosiła krótko o otwarcie drzwi, wyszła na ulicę, w jasną poświatę dnia, wsiadła na rower i ruszyła w głąb miasteczka, pedałując wśród coraz liczniejszych czołgów.

Pani Doll była prawdopodobnie ostatnią osobą, która tamtego popołudnia widziała aptekarza i jego rodzinę przy życiu. Kilka godzin później podał on sobie, żonie i dziecku truciznę; był to z pozoru czyn zupełnie irracjonalny, w ostatniej chwili zawiodły zszargane nerwy. Tak wiele zdołali wytrzymać przez wszystkie owe lata, a teraz, gdy wyglądało na to, że może już być tylko lepiej, w każdym razie z pewnością nie gorzej, nie znieśli niepewności najkrótszych choćby godzin wyczekiwania.

A jednak ta sama ręka, która dopiero co z największą precyzją odmierzyła dla pani Doll dawkę narkotyku, nie okazała się równie szczęśliwa przy odważaniu trucizny dla całej rodziny. Bardzo stary mężczyzna i bardzo małe dziecko zmarli. Kobieta wszakże po dłuższych cierpieniach powróciła do zdrowia i choć została sama, nie ponowiła samobójczej próby.

Wkrótce potem uwagę Almy Doll przykuła zupełnie inna scena i skłoniła do zatrzymania roweru. Oto przed największym hotelem miasteczka zebrała się grupa około tuzina dzieci, dziesięcio-, dwunastoletnich chłopców i dziewcząt. Przyglądały się przejeżdżającym czołgom, śmiały się i wykrzykiwały, podczas gdy rosyjscy żołnierze zdawali się w ogóle nie zwracać na nie uwagi.

W ów niemal niesforny nastrój wprawiły zazwyczaj sielsko spokojne dzieci trzymane przez nie butelki z winem. Akurat w chwili, gdy pani Doll zeskoczyła z roweru, jeden z chłopców wyłonił się z hotelowej bramy z naręczem nowych

butelek. Stojące na ulicy dzieci powitały kolegę wybuchem radości, dorównującym niemal rykowi stada młodych wilków. Porzuciły trzymane w dłoniach butelki, nie zważając na to, czy były jeszcze pełne, czy może częściowo lub całkiem opróżnione, i rozbijając je beztrąsko o chodnik, sięgały po nowe, bez trudu tłukły ich szyjki o kamienne stopnie hotelowych schodów, po czym unosiły je do swych dziecięcych ust.

Widok ten natychmiast wzbudził w pani Doll najsroźszy gniew. Nie dość, że jako matka nie znosiła widoku pijanych dzieci, jej złość spotęgowała jeszcze świadomość, że te małolaty hańbią swym pijaństwem pierwszy przemarsz Armii Czerwonej. Pędem ruszyła ku grupce dzieci, wyrywała im z rąk butelki i obficie wymierzała policzki i szturchańce. Chwilę potem cała hałastrą zniknęła za rogiem.

Pani Doll przystanąła, biorąc głęboki oddech. Gwałtowny jej gniew osłabł, pogodnym wzrokiem spojrzała na opuszczoną przez mieszkańców ulicę, na której dostrzegła jedynie czołgi i pojedynczych rosyjskich żołnierzy z karabinami. Następnie uświadomiła sobie, że czas już wracać do domu, z lekkim westchnieniem ruszyła po rower. Nim jednak do niego dotarła, podszedł do niej rosyjski żołnierz i wskazując na jej rękę, wyjął z kieszeni paczuszkę i ją rozerwał.

Spojrzała na dłoń, dopiero teraz zauważyła, że odbierając dzieciom butelki, poraniła sobie skórę; krew sączyła się jej z palców. Z uśmiechem na twarzy pozwoliła uczynnemu Rosjaninowi opatrzeć sobie rękę, z wdzięcznością poklepała go po ramieniu – w jego wzroku kryła się obcość – po czym wsiadła na rower i bez dalszych przygód ruszyła do domu. W miejscu, w którym ledwie godzinę wcześniej stała ciężarówka Wehrmachtu, pojawiły się już rosyjskie czołgi. Czy ciężarówka zdążyła odjechać? Nie miała pojęcia, i pewnie nigdy się tego nie dowie.

Kiedy pani Doll stanęła przed mężem i przekazała mu nowiny, w jej relacji znalazł jedynie potwierdzenie swego postanowienia, by na progu domu oczekiwać zwycięzców i wyzwolicieli. Jako że Rosjanie w każdej chwili mogli się pojawić w tej części miasta, Doll przerwał rozmowę i z niemal niezrozumiałą w tej rozstrzygającej godzinie nieustępliwością powrócił do pracy przy rabatach, by usunąć resztę drucianych sideł oraz pozbyć się ostatnich okropnych palików.

Ani wyjazd, ani powrót młodej kobiety nie pozostały niezauważone przez mieszkańców sąsiednich posesji. Wkrótce zjawili się oni u Dolla, jak zawsze rzecz jasna pod stosownym pretekstem, na przykład by pożyczyć narzędzi, przyglądali się jego pracy i mimochodem usiłowali dowiedzieć, czego pani Doll szukała w mieście i czy może przyniosła jakieś nowiny. Na tak bezpośrednie

pytanie, bez wątpienia jak najbardziej w tej sytuacji uzasadnione, Doll udzieliby bezzwłocznie odpowiedzi, szczerze jednak nie cierpiał owego subtelnego owijania w baweinę i dlatego tym razem nie zamierzał zaspokoic skrywanej w ten sposób ciekawosci.

Sąsiedzi musieliby odejść z kwitkiem, gdyby nie pani Alma, która wyszła przed dom i przyłączyła się do męża. Jak większość młodych ludzi uwielbiała opowiadać o swoich przeżyciach, tym bardziej że były nad wyraz radosne i kojące.

Relacja młodej kobiety istotnie doprowadziła do całkowitej zmiany opinii sąsiadów – nikt już nawet nie myślał o ucieczce do lasu. Wszyscy, idąc śladem Dollów, będą oczekiwać w domach na swych wybawców. Ba, niektórzy zaczęli nawet przebąkiwać o tym, iż może należałoby rzeczy ukryte bądź zakopane zanieść z powrotem na miejsce, by przypadkiem nie urazić zwycięzców swą nieufnością. Tego rodzaju uwagi członkowie rodzin przywitali jednak złowrogimi okrzykami i potrząsaniem głową: „Chyba tego nie zrobisz, Olga!” „Co ty pleciesz, Elisabeth, strzeżonego Pan Bóg strzeże!”. Albo i tak: „Nic nie wiem o schowanych u nas rzeczach, Minnie, coś ci się chyba przyśniło!”.

Owa sąsiedzka rozmowa znalazła swe ukoronowanie w oburzeniu dwóch starców, zapewne już po siedemdziesiątce, których wyobraźnię rozpałała opowieść o pijackich wybrykach przed hotelem. Z początku złość obu staruszków była wprost nie do opisania. Czyż od tygodni, miesiący nie pielgrzymowali do tego właśnie hotelarza – i to niemal codziennie, mimo swego zaawansowanego wieku i dalekiej drogi? Czyż od niepamiętnych czasów nie byli jego stałymi klientami? Tymczasem ten łajdak, ten łotr, ten zdrajca własnego narodu prawie zawsze odmawiał im choćby butelki, ba, choćby kieliszka wina, tłumacząc, że nic mu jakoby nie zostało, że wszystko wypili esesmani?! A teraz się okazuje, że wino wciąż tam było, przypuszczalnie mnóstwo wina, pewnie cała, może i niejedna piwniczka pełna wina, którego im odmówiono wbrew wszelkiemu prawu, a które teraz dzieci rozbijają o uliczny bruk!

Obaj ci starcy stanęli naprzeciw siebie, ich dopiero co poszarzałe od trosk twarze zaróżowiły się winnym blaskiem aż po koniuszki posiwiałych włosów. Pokleпали się nawzajem po brzuchach, tak bardzo sflaczałych i zmizerowanych przez ostatni rok, i wykrzykiwali do siebie drogic ich sercom nazwy ulubionych winnych szczepów. Pierwszy, niski, zawsze ubrany w zielony strój myśliwski, wielbiciel win mozelskich, drugi, wysoki, zawsze bez marynarki, oddany raczej winom francuskim. Kiedy tak, porykując i poklepując się po brzuchach, tańczyli w kółko, sprawiali wrażenie pijanych winem, którego wcale nie posiadali. Nad

wyraz niepewna godzina, ledwie zakończona wojna, nadciągające być może niebezpieczeństwa popadły w niepamięć, każde wspomnienie długo znoszonej udręki wyparła perspektywa wypitki. A kiedy wzburzeni postanowili bezzwłocznie udać się z dwoma ręcznymi wózkami do miasta i przywieźć bezprawnie ukrywane przed nimi wino, upodobnili się w oczach Dolla do tych, którzy zbierali się w tany na stokach buchającego ogniem Wezuwiusza.

Dzięki Bogu mieli u boku żony, a te już się o to postarały, by ich planowana wyprawa spełzała na niczym, tym bardziej że z każdą chwilą narastał łoskot przejeżdżających ciężkich pojazdów, rozbrzmiewający od strony miasta ponad taflą jeziora.

– Jeśli wbrew naszym przewidywaniom – rzekł Doll, wracając do pracy przy rabatach – wszystko potoczy się inaczej, na nas spadnie wina za to, że nie uciekli do lasu. Jak i za wszystko, co jeszcze nadejdzie...

– Przecież ani słowem im tego nie odradzałam – broniła się młoda kobieta.

– Nie chodzi o to, co im mówiłaś – odparł Doll, odrywając obcęgami od palika drucianą klamrę. – Chodzi raczej o to, że nasi drodzy sąsiedzi znaleźli właśnie kozła ofiarnego za wszelkie swe niepowodzenia. – Zwinął drut. – Niczego nam nie darują, możesz mi wierzyć! Już w minionych latach winy za wszystkie nieszczęścia zawsze szukali u innych, nigdy u siebie, czemu teraz miałyby się to zmienić?!

– Zniesiemy to ze spokojem – odpowiedziała młoda kobieta z przekornym uśmiechem. – Zawsze to nas najbardziej nienawidzili w całym miasteczku – odrobinę więcej czy mniej, co za różnica, prawda?

Po tych słowach skinęła głową i wróciła do domu.

Reszta popołudnia mijała z nieznośną powolnością. Raz jeszcze poddali się owej okropnej monotonii wyczekiwania, o której sądzili, że bezpowrotnie minęła – jakże często jednak mieli w nadchodzących dniach i miesiącach wciąż czekać i czekać, i czekać! Doll przerywał czasem pracę i sam lub razem z żoną szedł nad brzeg jeziora, skąd mogli ponad taflą wody obserwować w oddali nitkę miejskiej ulicy. Widzieli wszakże wyłącznie puste, wymarłe domy, pozbawione oznak jakiegokolwiek życia, tylko ich uszy nieprzerwanie wypełniały odgłosy toczenia, huku, trąbienia, ogromnego, niewidzialnego, upiornego pochodu, ciągnącego przez miasto w kierunku zachodnim.

Aż w końcu – gdy zmierzch zbliżał się wielkimi krokami – młoda kobieta oznajmiła, że zaraz poda kolację. Doll, który przez ostatnią godzinę raczej się bawił niż pracował, spakował narzędzia, zaniósł je do szopy i umył się w letniej kuchni. Następnie wszyscy zasiedli w kącie przy okrągłym stole do kolacji: stara

babka, Doll, jego żona i dwoje dzieci. Rozmawiały jedynie babka i jej córka. Sędziwa kobieta, siedząca prawie całkiem sparaliżowana w fotelu, spragniona była nowinek, które córka chętnie jej tego wieczoru przekazała (co nie zawsze się zdarzało). Babka chciała wiedzieć wszystko ze szczegółami, gotowa była wysłuchać rzecz całą po trzykroć i wciąż zarzucała córkę pytaniami w rodzaju: „I co wtedy powiedziała? A co ty na to? A co ona na to?”.

Doll zazwyczaj z upodobaniem przysłuchiwał się owym kobiecym rozmowom, szemrzącym wokół szerokim strumieniem, oczekując w napięciu, jakim zmianom ulegnie ich treść w starej głowie babki w trakcie kolejnego opowiadania. Jego dobry poranny nastrój bez reszty się jednak wyczerpał, toteż z największym jedynie wysiłkiem zdołał tego wieczoru znieść bez słowa sprzeciwu tę „gadanię”. Wiedział, że to niesprawiedliwe, lecz teraz właśnie miał wielką ochotę być niesprawiedliwym.

Nagle siedzący za stołem chłopiec zawołał przytłumionym głosem:

– Rosjanie!!!

Słyszając szmery przy drzwiach, wszyscy zastygli w milczeniu. Drzwi się otwarły, do środka weszło trzech Rosjan.

– Nie ruszać się z miejsc! – nakazał półgłosem Doll, po czym wyszedł powitać gości, unosząc lewą zaciśniętą pięść. U jego boku stanęła żona, nie posłuchawszy jego napomnienia. Doll znów mógł się uśmiechnąć, opadło zeń wszelkie napięcie, całe to gniewne zniecierpliwienie, czas wyczekiwania minął, a w księdze przeznaczenia otwarła się całkiem nowa stronica...

– Towaryszcz! – rzekł z uśmiechem, po czym wyciągnął prawą dłoń na powitanie.

Doll nigdy nie zapomni aparycji owych trzech pierwszych Rosjan, którzy tamtego dnia zawitali w jego domu. Pierwszy z nich był młodym, szczupłym mężczyzną z czarną przepaską na lewym oku. Poruszał się zwinnie, emanował pogodnym usposobieniem, miał na sobie niebieski mundur, a na głowie uszatkę z baranka.

W porównaniu z jego gibką, raczej drobną sylwetką, stojący za jego plecami kolega wyglądał niczym olbrzym, głową zdawał się sięgać belek pod powałą. Miał dużą, poszarzałą, chłopską twarz oraz ogromne zwisające wąsy, których czerń przetykały liczne pasemka siwizny. U tego wielkoluda najbardziej rzucała się w oczy krótka zakrzywiona szabla tkwiąca w czarnej, skórzanej pochwie, przewieszona na jego odzianych w szary strój piersiach. Stojący za nimi trzeci mężczyzna był prostym, bardzo młodym żołnierzem o wciąż jeszcze mało

wyrazistej twarzy. Pod pachą dźwigał karabin maszynowy z łukowato zakrzywioną łódką naboju.

Oto trzech Rosjanie, długo wyczekiwani goście, których Doll wyszedł powitać, unosząc zaciśniętą lewą pięść i wyciągając prawicę, ze słowem „towariszcz” na ustach.

Kiedy stanął przed nimi twarzą w twarz, nastąpiło coś dziwnego. Zaciśnięta lewa pięść opadła, prawą dłoń Doll skrył w kieszeni, jego zaś usta nie powtórzyły słowa, którym miał przecież nawiązać kontakt z trójką gości. Również i uśmiech pierchnął z jego twarzy, przybrał za to ponurą, melancholijną minę. Naraz spuścił wzrok, skupiony dotąd na trzech mężczyznach, i utkwiał go w ziemi.

Doll nie potrafił później ocenić, jak długo trwała owa scena, dwie, trzy minuty czy może ledwie parę sekund. Nagle mężczyzna w błękitnym mundurze wyminął ich i ruszył w głąb domu, pozostali dwaj postąpili za nim. Ani pan Doll, ani jego żona nie poszli ich śladem, stali w milczeniu, unikając nawzajem swego wzroku. Po chwili usłyszeli głos syna:

– Znów tu są!

I rzeczywiście, ponownie ujrzeli trzech Rosjan, tym razem na tyłach domostwa. Wyszli na zewnątrz przez letnią kuchnię; żwawym krokiem przemaszerowali przez liczący jedynie cztery pomieszczenia dom z bali, zajęło im to ledwie chwilę. A teraz szli bez wahania, jakby nabrawszy pewności, nie rozglądając się dokoła, minęli szopę, weszli na pomost, wsiedli do łódki, odbili od brzegu i wkrótce potem zniknęli za gęstwiną nadbrzeżnych zarośli.

– Odeszli! – zawołał chłopiec.

– Przyjdą następni! – oznajmiła młoda kobieta. – To chyba tylko zwiadowcy, sprawdzali, kto mieszka w tutejszych domach. – Zerknęła na męża, który wciąż stał z ponurą, zamyśloną miną, trzymając ręce w kieszeniach. – Chodź! – rzekła. – Zjedzmy szybko zupę, zanim całkiem wystygnie. Potem dzieci i babka położą się do łóżek. My zaś będziemy czuwać, mam wrażenie, że pod wieczór albo w nocy przyjdą następni.

– Słusznie – odparł Doll. Na powrót zasiedli razem do kolacji. Uświadomił sobie wówczas, że również głos jego żony zupełnie się zmienił: stracił całą swą żywą barwę, jaką emanował, gdy relacjonowała popołudniowe wydarzenia. „Ją także coś tknęło – przemknęło mu przez myśl. – Lecz podobnie jak ja nie chce o tym mówić. I dobrze”.

Później wolał sobie wmawiać, że jego żona chyba jednak niczego nie zauważyła, a jej głos brzmiał inaczej, ponieważ znów nastał czas wyczekiwania, tym razem na nowych gości z Rosji. Właśnie teraz owo wyczekiwanie stało się

dla każdego Niemca najtrudniejsze do zniesienia – a w wielu, ba, we wszystkich niemal kwestiach zostało im przecież narzucone, na najbliższe dni, miesiące, może nawet lata.

Między babką i dziećmi wywiązała się jednak ożywiona rozmowa, w której uczestniczyła również młoda kobieta. Oczywiście, dotyczyła głównie trójki gości o bardzo pstrokatym wyglądzie, jakże różniącym się od niemieckich oddziałów, do których widoku przywykli (i może właśnie dlatego nie mogli go już dłużej znieść). Potem zawzięcie roztrząsano pytanie, czy zdołają odzyskać Łódź, czy Rosjanie ją zwrócą?

Doll nie przyłączył się do rozmowy, tego wieczoru nie miał już ochoty wypowiedzieć ani słowa. Był w głębi duszy nazbyt wzburzony. Tylko raz cicho zapytał żonę:

– Czy ty także zauważyłaś, jak na mnie patrzyli?

– O tak! – odparła spieszenie Alma, także półgłosem. – Patrzyli dokładnie tak, jak dzisiejszego popołudnia gapił się na mnie ten Rosjanin przed apteką: jakbym była ścianą albo jakimś zwierzęciem.

Doll skinął lekko głową, małżonkowie nie wracali więcej do tego tematu, ani dziś, ani potem.

On wszakże wciąż miał przed oczami własną postać, stojącą przed ową trójką z uśmiechem na twarzy, słowem „towariszcz” na ustach, z uniesioną pięścią, z prawicą wyciągniętą na powitanie. Jakże to wszystko było niestosowne, jak bardzo powinien się wstydzić! Jak niewłaściwie do tego wszystkiego podszedł, od samego rana, gdy się obudził w radosnym nastroju, a potem rzucił w wir pracy przy rabatach, by drogę dla wyzwolicieli uczynić „bezpieczną”. Jakże błędnie wszystko ocenił!

I ten oto człowiek chełpił się przed sąsiadami, że powita Rosjan na progu swego domu i przyjmie ich jak wyzwolicieli. Miał zastanowić się nad popołudniową opowieścią żony i potraktować ją jak przestrożę, dostrzegł w niej li tylko potwierdzenie swego upartego, bezmyślnego stanowiska. Doprawdy, niczego się przez te dwanaście lat nie nauczył, choć cierpiąc niemało, mocno w to wierzył!

Nie bez racji Rosjanie patrzyli na niego jak na małe, złowrogie, wstrętne zwierzę, człowieka nieporadnie próbującego zaskarbić sobie ich względy, który w swej naiwności sądził, że jednym przyjaznym uśmiechem i ledwie zrozumiałym rosyjskim słowem zdoła wymazać wszystko to, czego świat zaznał od Niemców przez ostatnie dwanaście lat!

On, Doll, był Niemcem, i wiedział, przynajmniej w teorii, że od dnia przejęcia władzy, od czasu prześladowania Żydów słowo „Niemiec”, splamione już podczas pierwszej wojny światowej, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc coraz bardziej traciło swój posłuch i uznanie! Jakże często sam powtarzał: „Nigdy nam tego nie wybaczą!”. Albo: „ Pewnego dnia wszyscy będziemy musieli to odpokutować!”.

On, który doskonale o tym wiedział, który miał świadomość, że określenie „Niemiec” w całym szerokim świecie stało się wyzwiskiem, stanął przed nimi zwiedziony dumną nadzieją, iż sami zauważą, że istnieją też „porządni Niemcy”.

Wszystko, czego się od tak dawna spodziewał po zakończeniu wojny, wszystko to runęło haniebnie wobec spojrzenia owych trzech rosyjskich żołnierzy! Był Niemcem, należał więc do najbardziej znienawidzonego i pogardzanego narodu na całej kuli ziemskiej! Był gorszy nawet od najbardziej prymitywnego plemienia z głębi Afryki, które nie sprowadziło na świat tylu zniszczeń, krwi, łez, nieszczęść, co naród niemiecki. Doll zdał sobie naraz sprawę, że prawdopodobnie życia mu nie starczy, by doczekać chwili oczyszczenia niemieckiego imienia w oczach świata, że być może jego własne dzieci i wnuki będą musiały żyć z piętnem hańby swych ojców. Złudzenie, że wystarczy jedno słowo, jedno spojrzenie, by u innych narodów znaleźć zrozumienie, iż nie wszyscy Niemcy są współwinni, również i to złudzenie się rozwiało.

Uczucie najbardziej bezradnego wstydu, ustępujące często długim okresom najdotkliwszej apatii, wcale nie słabło wraz z upływającymi miesiącami, o nie, wciąż się potęgowało wskutek niezliczonych drobnych doświadczeń. Później, gdy przybył do Norymbergi na proces wojennych zbrodniarzy, gdy tysiące przerażających szczegółów coraz mocniej potwierdzało ogrom niemieckich zbrodni, jego serce chciało się zbuntować, nie potrafił tego znieść, nie chciał, by jeszcze głębiej wepchnięto go w szlam. „Nie! – krzyknął do siebie. – *O tym nie wiedziałem! Nie przypuszczałem, że było aż tak strasznie! Nie jestem za to odpowiedzialny!*”.

A jednak wciąż powracała chwila zadumy. Nie chciał się ponownie poddać tchórzliwej iluzji, nie chciał znów stanąć we własnej izbie jako wzgardzony gospodarz, wzgardzony nie bez racji. „Owszem! – powtarzał sobie. – Widziałem początki, prześladowania Żydów. Później nie raz słyszałem, jak traktowano rosyjskich jeńców wojennych. W głębi serca czułem oburzenie, lecz nigdy nic w związku z tym nie zrobiłem. A gdybym już wówczas wiedział to, co dziś wiem o wszystkich tych potwornościach, pewnie i tak nic bym nie zrobił, czując jedynie bezsilną nienawiść...”.

Z tym właśnie musiał się Doll uporać w samotności: ze świadomością, że współgrzeszył, że stał się współwinny i jako Niemiec nie miał już prawa równać się z jakimkolwiek innym narodem. Wzgardzony, zlekceważony, on, który zawsze był z siebie dumny, miał pod opieką czwórkę dzieci, z których żadne nie potrafiło samodzielnie myśleć, lecz wszystkie tak wiele oczekiwały od życia – a teraz zostały na pastwę tego życia wydane!

Ach, Doll dobrze to rozumiał, gdy wciąż słyszał lub czytał o bezbrzeżnej apatii, jakiej poddawała się ogromna część jego rodaków. Wielu musiało dzielić z nim owe uczucia. Sobie i wszystkim życzył siły, by znieśli to, co złożono na ich barki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Opuszczony dom

Już w pierwszych dniach po wkroczeniu zwycięskiej Armii Czerwonej życie rodziny Dollów znacząco się zmieniło. Do tej pory przyzwyczajeni byli oddawać się własnym zajęciom w odosobnieniu swego domu, teraz zaś, podobnie jak pozostali mieszkańcy, zostali zmuszeni do wypełniania publicznie obwieszczonego obowiązku pracy, by zarobić na chleb, z początku niewielki jego kawałek. Tuż po siódmej rano oboje wyruszali do miasteczka na miejsce zbiórki. Po drodze często przyłączali się do nich sąsiedzi, zazwyczaj jednak udawało im się uwolnić od ich towarzystwa. Mogli być wtedy całkiem sami, do czego przywykli przez wszystkie lata trwania ich małżeństwa.

I tak wędrowali razem o poranku w rzeńskim majowym powietrzu. Doll był zazwyczaj zatopiony we własnych rozmyślaniach i jednym tylko uchem przysłuchiwał się paplaninie swej żony, której przygodnie dorzucane „tak, tak” albo „no, no” w zupełności wystarczało. Ze względu na jej upodobanie do pytlowania bez końca językiem Doll ochrzcił żonę mianem „kipieli”, twierdził bowiem, że przypomina mu niegdysiejsze długie spacery po plaży, podczas których słyszał tuż obok nieustanny szum morza.

Skoro tylko dotarli na miejsce zbiórki, wyznaczone na szkolnym dziedzińcu, wspólnie spędzony czas oraz odgłosy kipieli natychmiast się rozwiewały. Mężczyzn i kobiety rozdzielano, przeliczano, spisano i przydzielano do rozmaitych prac. Przy odrobinie szczęścia mogli podczas wymarszu wykrzyknąć do siebie, jaką nakazano im pracę, dzięki czemu przynajmniej wiedzieli, czym się każde z nich będzie zajmować przez długi, samotny dzień.

– Idę sprzątać! – wołała na przykład kobieta. On zaś odpowiadał:

– Układanie worków!

Po pewnym czasie przydzielono im stałe zajęcia – on został pasterzem, ona zaś tragarzem.

Często widywali się dopiero późnym wieczorem, oboje przemęczeni nadmiarem niecodziennej pracy, starali się jednak nie dać tego po sobie poznać. Doll drwiącym tonem opowiadał o niedolach swego pasterskiego żywota. Pilnował stada liczącego ponad tysiąc krów, które nie pochodziły z tej samej hodowli, a więc nie posiadały stadnego instynktu, oraz baczył, by nie niszczyły

zasiewów zbóż. Pasterzy było wprawdzie ośmiu, lecz pozostali wykazywali nadmierną skłonność do trzymania się jednego skrawka łąki oraz strzępienia sobie języka. Prowadzili męskie rozmowy, zastanawiając się nad tym, jak długo potrwa obecna sytuacja, narzekali, że otrzymywanym kawałkiem chleba nie jest się w stanie najeść jeden człowiek, a co dopiero cała rodzina, przyznawali też, że nieco inaczej wyobrażali sobie pokój, gdy tymczasem naziści znów zajmowali ciepłe posadki – ot, zupełnie bezowocna paplanina, która niezmiernie Dolla nudziła.

Stado coraz bardziej się rozpraszało, zwierzęta przechodziły z pól wyki na zasiewy żyta, Doll zaś jak obłąkany wyklinał na czeredę krów, obrzucał je kamieniami, wywijał kijem, aż w końcu przysiadał bez tchu na kamieniu, zupełnie wyczerpany, zdesperowany, wzburzony, zobojętniały. Często akurat wtedy zjawiał się Rosjanin na koniu, doglądający pracy pasterzy. Pozostali, mądrze wybrawszy miejsce konwersacji, zawczasu dostrzegali zbliżającego się w oddali jeźdźca, a wtedy pilnie wracali do swych zajęć. Wyczerpany Doll był zaś ostro besztany z powodu lenistwa. Nigdy jednak nie potrafił się przemóc i pójść śladem swych towarzyszy. Ludzi, którzy pracują tylko pod okiem swego pana, w rzeczywistości zaś się lenią, uważał za godnych pogardy, ba, za typowych przedstawicieli znieawidzonego stanu żołnierskiego, w którym nawet zajmowanie wygodnych posad budzi respekt i uznanie.

Jedyną zaletą ich zajęcia było to, że zarówno pasterze, jak i gadyły po wieczornym spędzie stada mogli podejść z dowolnej wielkości dzbankiem, a ukraińscy dojarze napełniali go mlekiem po brzegi. Dzięki temu w domu Dollów podawano w owym czasie na kolację zupełę, która tak na młodych, jak i na starych miała równie dobroczynny wpływ.

Biorąc wszakże pod uwagę możliwość pozyskiwania dóbr wszelakiego rodzaju, zajęcie pani Almy było znacznie bardziej intratne, a i ona wykazywała się większą bodaj od męża zręcznością. Wraz z trzydziestką, czterdziestką innych kobiet i dziewcząt przypadło jej zadanie przenoszenia do wielkiej szopy przy stacji kolejowej zapasów przechowywanych dotąd w obozowych barakach, zajmowanych uprzednio przez SS. Droga była daleka, worki zaś dźwigane przez kobiety często wypełnione ciężkimi towarami. Praca ponad ich siły.

Największy jednak gniew budziła w nich okoliczność, że wszystkie te mięsne konserwy, puszki z masłem, serem, mlekiem i sardynkami, puszki z mieloną kawą, paczki z wysmienitą prasowaną liściastą herbatą, kartony pełne czekolady w proszku (a prócz tego całe baterie butelek z winem i koniakiem oraz niezliczone opakowania pełne wyrobów tytoniowych) – otóż, oburzenie

dźwigających je kobiet potęgowała świadomość, że wszelkie owe przechowywane w tak wielkiej obfитоści towary były od lat ukrywane przed cierpiącymi niedostatek kobietami i głodującymi dziećmi, dziećmi, spośród których wiele nigdy w życiu nie spróbowało czekolady – ukrywane po to, by nasycić nimi żarłoczne gęby tych aroganckich, żądnych władzy łobuzów z SS, którym Niemcy zawdzięczały sporą część swego nieszczęścia.

Od chwili, gdy dzieci z butelkami wina w dłoniach upijały się przed największym w mieście hotelem, wśród znakomitej większości społeczeństwa rodziła się oto nowa interpretacja pojęcia własności: wszystkie owe towary właściwie im się należały. Odmawiano im do nich dostępu wskutek egoistycznej żądzy i zachłanności kupców. Słusznie było zatem brać teraz to, co tylko można było jeszcze dostać! Droga z baraków SS do przystacyjnej szopy była długa, worek uwierał, a jego ciężar dawał się we znaki. Nic zatem dziwnego, że co rusz któraś z kobiet zniknęła w przydrożnych zaroślach, a kiedy znów się pojawiała, tym razem nie na czele, lecz przy końcu rozciągniętej kolumny maszerujących, jej worek był już wypełniony jedynie w trzech czwartych, za to w zaroślach leżał odłożony na wieczór niezgorszy zapas.

Pani Alma Doll nie miała w tym względzie poważniejszych skrupułów niż pozostałe kobiety. Podobnie jak u większości z nich, także w jej domu czekały wygłodzone dzieci, które chciałyby poznać smak filiżanki mlecznej czekolady. I za przykładem innych kobiet odkładała własne zapasy. Kiedy jednak zauważyła, że albo jej towarzyszki niedoli, albo przygodni obserwatorzy ograbiali je przed zakończeniem dnia pracy, odważyła się na więcej: ukryta w zaroślach spokojnie czekała, aż wyminie ją cała kolumna tragarzy. Gdy w końcu zniknęła jej z oczu, udawała się spieszenie do pobliskiego domu znajomych i zostawiała tam – do podziału – całą zawartość swego worka. Gdy zbliżała się pora powrotu, ponownie kryła się w zaroślach, a potem – z pustym workiem na ramieniu – dołączała do pozostałych.

Jej nieobecność nie pozostawała oczywiście niezauważona, nie szczędzono jej ostrych docinków i aluzji. Skoro jednak wszyscy w mniejszym lub większym stopniu zachowywali się podobnie, nic złego jej nie spotkało. Co się zaś tyczy rosyjskich strażników, maszerujących na czele i na końcu kolumny, albo niczego nie zauważali, albo, co bardziej prawdopodobne, patrzyli na to przez palce. Wiedzieli bowiem, jak bardzo doskwiera głód, i zachowywali się wielkodusznie – nawet wobec zniecierpliwionego narodu, który kobiety i dzieci tych samych strażników głodził bezlitośnie, nierzadko na śmierć.

Wieczór Alma spędzała razem z mężem. Na niewielkiej kuchence gotowała się „jego” mleczna zupa, młoda kobieta zaś pokazywała w blasku świecy – prądu elektrycznego nie było – swą zdobycz. Wszyscy razem jedli chleb z sardynkami, potem do mlecznej zupy dosypywano czekolady w proszku. Oni nie jedli, oni pożerali, napychali sobie brzuchy do przesytu, wszyscy bez wyjątku, od pięcioletniej Petty aż do starej, niemal całkowicie przykutej do miejsca babki. Nie rozmyślali o nadmiernie przepełnionych żołądkach ani też o niespokojnym i bez tego śnie, nie zaprzęтали sobie głowy dniem następnym, potrzebą odłożenia choćby skromnego zapasu. Myśli tego rodzaju bezpowrotnie przegnali ze swych głów w latach nalotów bombowych. Znów stali się dziećmi, które żyją tylko chwilą obecną, nie troszcząc się o to, co przyniesie jutro – a jednak nie posiadali ani krzty dziecięcej niewinności. Zostali wykorzenieni, on, pasterz krów, i ona, dźwigająca worki; przeszłość wymknęła im się z rąk, a ich przyszłość była zbyt niepewna, by o niej rozmyślać. Pozbawieni celu, unosili się z nurtem życia – po co w ogóle było dalej żyć?

Kiedy Doll wczesnym rankiem wychodził z młodą żoną do pracy, gdy pod wieczór wracał samotnie z pastwiska, mijał po drodze wielki szary dom z zamkniętymi oknami, sprawiający posępne, nieprzyjemne wrażenie. Na jego drzwiach wisiała bardzo stara mosiężna tabliczka, zaniedbana, zmatowiała, z widocznymi gdzieś wykwitami grynszpanu. Na tabliczce można było przeczytać: „Dr Wilhelm – weterynarz”.

Kiedy Doll po raz pierwszy po dniu klęski mijał ów mroczny budynek, żona rzekła do niego:

– Ten też z sobą skończył. Słyszałeś?

– Tak... – odparł krótko tonem, z którego żona winna była wywnioskować, że nie życzy sobie kontynuować tej rozmowy.

– Ale – zawołała mimo to gniewnie Alma – ja się cieszę, że ten staruch nie żyje! Jeśli kogoś w życiu nienawidziłam, to właśnie jego; tak, wciąż go nienawidzę...

– Już dobrze, dobrze – przerwał jej Doll. – Nie żyje, zapominamy o nim. Nigdy więcej nie będziemy o nim wspominać.

I nigdy nie wspominali, owszem, przechodząc w pobliżu, Doll celowo odwracał wzrok na drugą stronę ulicy, podczas gdy jego żona wciąż spoglądała na budynek z rozdrażnioną lub szyderczą miną. Ich zachowanie niezupełnie świadczyło o upragnionym przez Dolla zapomnieniu, mimo milczenia oboje doskonale wiedzieli, że zapomnieć ani nie potrafią, ani też nie chcą. Zbyt wiele bólu zaznali bowiem ze strony zmarłego weterynarza Wilhelma.

Na wywieszce tytułował się weterynarzem, był jednak tak wielkim tchórzem, że rzadko kiedy odważył się ratować chorego konia czy bydło. Chłopi dobrze o tym wiedzieli, wzywali go co najwyżej do szczepienia świń przeciwko różycy, stąd też znany był powszechnie jako „knur Willem”. Był wysokim, przyciężkim mężczyzną po sześćdziesiątce, o bladoszarej twarzy, stale wykrzywionej w grymasie, jakby smakował zółć.

Weterynarz ów nie posiadał jakichkolwiek zdolności, które by go wyróżniały spośród najgorszej nawet przeciętności, prócz jednej: był wyjątkowym smakoszem wina. Pijał także wódkę i piwo, lecz wyłącznie ze względu na zawarty w nich alkohol, dawno już przemienił się w kogoś, kogo można określić mianem „umiarkowanego pijaka”. Każdego dnia musiał spożyć określoną, niezbyt wygórowaną dawkę alkoholu. Niczego jednak nie cenił tak wysoko jak wina, im lepsze było jego pochodzenie, tym bardziej czuł się uszczęśliwiony. Nawet zmarszczki wygładzały się wówczas na jego twarzy, znów pojawiał się uśmiech. Dla człowieka o jego dochodach była to dość kosztowna namiętność, mimo to zazwyczaj wiedział, jak sobie z tym radzić.

Około godziny piątej po południu nie miał już w domu żadnych zajęć, najpilniejsze nawet wezwanie nie było go w stanie skłonić do wyjazdu do chorego zwierzęcia. Zabierał laskę, wkładał myśliwski kapelusik z borsuczym pędzlem oraz spodnie do kolan, po czym ruszał dostojnie ulicą, pretensjonalnie szeroko rozstawiając stopy.

Doktor Wilhelm – knur Willem – miał do pokonania ledwie kilka kroków, by dotrzeć do niewielkiego hotelu, który niegdyś, gdy żył jeszcze oddający się pijaństwu gospodarz, stanowił dlań prawdziwą winną skarbnicę. Po jego śmierci rządy w lokalu przejęła wdowa, a potem stopniowo najmłodsza córka, dziewczę pełne niepojętych kaprysów, ba, opętane przez osobiste antypatie, z których jedna – wcale nie najsłabsza – dotoczyła doktora Wilhelma.

Weterynarz czuł się głęboko strapiony, kiedy córka gospodarza coraz częściej odmawiała podania mu zamówionej butelki wina i nalewała ledwie kwaterkę, gdy tymczasem na innych stolikach zawsze stawiała odpowiednią ich liczbę. A kiedy powoli i rozważnie, jak to miał w zwyczaju, skarżył się swymi gorzkimi jak piołun ustami, kłapiąc niczym dziadek do orzechów, już po pierwszych słowach przemowy przerywała mu prędkim, ostrym językiem:

– Pan chce pić wino codziennie, inni wstępują tu tylko od czasu do czasu – to różnica! Nie może pan przecież sam opróżnić wszystkich naszych zapasów!

Albo w ogóle się nie odzywała. Czasem też rzuciła, sięgając spieszenie po kieliszek:

– Jeśli nie chce pan kwaterki, chętnie ją zabiorę. Wcale *nie musi* jej pan wypić!

Słowem, każdego dnia dawała mu dobitnie do zrozumienia, jak bardzo jego pijackie pragnienia uzależnione są od jej kaprysów. Z westchnieniem goryczy musiał znosić jej wyzwiska oraz coraz mizerniejsze porcje, a jednak wracał tam co dzień, bez godności i bez wstydu.

Z hoteliku weterynarz wędrował dostojnie, szeroko rozstawiając stopy, przez pół miasta aż do niewielkiego budynku dworca, gdzie zazwyczaj krótko przed godziną szóstą zajmował miejsce w poczekalni drugiej klasy. Często miał szczęście zastać przy swoim stoliku bogatego handlarza zboża, który zawsze z ochotą dzielił się swoim winem. Jeśli ów handlarz siedział akurat w towarzystwie jednego bądź kilku klientów przy osobnym stoliku, weterynarz i wówczas nie omieszkał do niego podejść. Rzucał poważnym tonem „Za pozwoleniem” i zazwyczaj otrzymywał zaproszenie, by przyłączył się do zebranego grona. Nie bez powodu, doktor Wilhelm mógł bowiem objawić wtedy drugą stronę swej natury – dysponował mianowicie pokaznym repertuarem najbardziej ordynarnych wiejskich historyjek i dowcipów, które potrafił opowiadać w autentycznym lokalnym dialekcie. Opowieści przerywały nierzadko istne salwy śmiechu, a twarzy narratora nie wykrzywiała zwyczajowa gorzka mina, potęgując tylko wymowę opowiadań tudzież rozochocony nastrój klientów handlarza.

W tamtejszej gospodzie weterynarz zazwyczaj nie miał powodów do narzekań. Od dziesięcioleci był tam stałym gościem. Od dziesięcioleci przesiadywał przy swoim stoliku od około szóstej do ósmej wieczorem, z początku razem z żoną, po jej śmierci samotnie. Gospodarz lokalu nazwiskiem Kurz trzymał go nomen omen krótko, zazwyczaj jednak nie pozwalał staremu klientowi siedzieć o suchym gardle.

W porze kolacji sala szybko pustoszała, również doktor Wilhelm ruszał w dalszą drogę. Nie mógł przewidzieć, co go czeka w najważniejszym hotelu w mieście. Co prawda wino wciąż ochoczo tam serwowano, jednakże gospodarz lubił inkasować za nie pieniądze, im więcej, tym lepiej. Nawet wówczas, gdy ich pobieranie traciło jakikolwiek sens, gdyż niewiele można było za nie kupić, gospodarz coraz drożej wyceniał swoje wino, tak iż zakup choćby jednej butelki przekraczał możliwości finansowe szczepiciela świń, którego dzienny dochód wynosił zazwyczaj niecałe pięć marek.

Doktor Wilhelm był zatem zdany na łut szczęścia. Nierzadko całymi godzinami musiał przesiadywać – jak to podczas wojny – przy szklaneczce cienkusza i rozgoryczony przyglądał się oficerom SS, którzy opróżniali jedną butelkę wina

za drugą. Nigdy nie zapraszali go do swojego stolika – SS zawsze trzymało się z dala od gminnego ludu. Albo też patrzył na nastoletniego przywódcę Hitlerjugend, który razem ze swoją dziewczyną upajał się słodkim trunkiem – także i w tym przypadku stary, sypiący historyjkami jak z rękawa weterynarz nie był do niczego potrzebny.

Trudny był to okres dla starego alkoholika, dla którego pijaństwo stało się życiową koniecznością. Gdy czas umykał, nadciągała noc, rozochoceni goście coraz głośniej hałasowali, a posiwiały, wciąż uśmiechnięty, jowialny gospodarz przypominał o godzinie policyjnej... Gdy musiał przyznać, że tego wieczoru z pewnością nic mu już nie skapnie, a tymczasem tyłu pławiło się w szampańskich nastrojach... Gdy po uiszczeniu opłaty za piwo przeliczał tkwiące w kieszeni marne grosze i banknoty, w nadziei, że może starczyłoby ich jeszcze na kieliszek wódki, choć z góry wiedział, że na pewno zabraknie... Gdy w końcu z ciężkim, gniewnym westchnieniem sięgał po laskę i kapelusz, po czym ruszał w mrok nocy, w drogę powrotną do domu... A kiedy rozmyślał o czekających go godzinach, gdy zwykły sen musiał przywoływać durnymi tabletkami, a tymczasem alkohol tak wspaniale obdarzał tyłoma widziadłami... Wtedy jego zrogowaciała twarz przybierała jeszcze bardziej żółtawy odcień, zazdrość wobec wszystkich o wszystko wpijała weń swoje szpony aż do granic litości, on sam zaś z ochotą i bez zastanowienia zatopiłby świat cały, gdyby tylko zyskał na tym choćby jedną butelkę wina!

Stary weterynarz przeżywał jednak i lepsze chwile. W tym pierwszym w mieście hotelu zjawiali się niekiedy letnicy albo zawodowi wędkarze, zawsze chętni wysłuchać opowieści z owej nietkniętej niemal przez wojnę krainy. Albo też któryś z rolników, spostrzegłszy siedzącego obok starca, uświadamiał sobie, jak długo go już nie wzywał do swej zagrody. Targany wyrzutami sumienia, zapraszał knura Willema do stolika, wdawał się z nim w pogawędkę i częstował go trunkiem, znał bowiem, jak wszyscy, jego słabostkę.

Najpiękniejszych chwil doświadczał jednak wówczas, gdy w hotelu zbierali się stali bywalcy. Niestety, zdarzało się tak raz, najwyżej dwa razy w miesiącu, gdy z miasta powiatowego przyjeżdżał sędzia sądu rejonowego, by w miasteczku poprowadzić wyznaczone posiedzenie. Hotelarz natychmiast chwycił wówczas za telefon, powiadamiał obszarnika, dentystę, handlarza lokalnych produktów *en gros*, a także pana doktora Dolla – pomijał tylko starego weterynarza, o którym wiedział, że tak czy owak pewnie się zjawi.

Doll nie potrafił sobie później przypomnieć, jakim sposobem znalazł się w tym barwnym, przypadkowo dobranym gronie. Z początku – było to jednak wiele lat

wcześniej, za czasów jego pierwszego małżeństwa, gdy prowadził opodal miasteczka niewielkie gospodarstwo – otóż z początku ciekawili go ci jakże różniący się od siebie biesiadni towarzysze, a przede wszystkim przywoływane przez nich opowieści. Brylował wśród nich sędzia sądu rejonowego, przewyższając w tym względzie weterynarza, którego dowcipy były niejednokrotnie zbyt prostackie albo wręcz grubiańskie. Doll wkrótce jednak zrozumiał, że całkiem przeciętni to ludzie. Stary sędzia już drugiego wieczoru musiał powtarzać swe historie, znał ich bowiem ledwie dziesięć czy dwanaście, był jednak gotów opowiadać je i po stokroć. Poza tym coraz wyraźniej objawiała się jego skłonność do ucztowania na koszt innych oraz oszukiwania obsługi. Dentysta miał w głowie wyłącznie historyjki o kobietach, gabinet służył mu jedynie za pretekst, by leżące w fotelu niewiasty seksualnie wykorzystywać. Stary zaś weterynarz to coraz zachłanniejszy, z dniem każdym coraz bardziej otepiały pijak.

Takie oto grono zbierało się przy stoliku. Zwyczajny prostacki motłoch, do tego szczywany gospodarz, myślący wyłącznie o zarobku. Nie, Doll nie zawsze się zjawiał, gdy otrzymywał telefonicznie zaproszenie, przychodził jednak dość często, być może po prostu dlatego, że czasem i on miał ochotę wychylić kielicha, także on lubił posmakować dobrego wina, jego zaś wiejskie otoczenie było jeszcze bardziej nieokrzesane od zebranego w lokalu towarzystwa. Podczas spotkań grał przy tym rolę wspaniałomyślnego gospodarza, w owym czasie bowiem nie narzekał jeszcze na brak pieniędzy. Wszystkie pijaczyny, od chciwego weterynarza po ostrożnego sędziego, raczyły się na jego koszt. W wyjątkowo wesołe noce gruby, posiwiały hotelarz wpełzał do najbardziej ustronnych zakamarków swej piwnicy, skąd przynosił pokryte grubą warstwą kurzu butelki burgunda albo „Mumm extra dry”. Do wina czerwonego podawał wyborny ser, którego pokrojone jak tort kawałki jedli prosto z ręki. Dla starego weterynarza były to błogie godziny, jego przyjaźń wobec Dolla zdawała się niewzruszona.

To się jednak zmieniło, i jak zwykle w przypadku rozpadu męskiej przyjaźni, winę za to ponosiła kobieta. Nie do końca wiadomo, przy jakiej okazji sędzia natknął się na tę młodą promienną osóbkę, w każdym razie gdy któregoś wieczoru doktor Doll przybył nieco spóźniony na spotkanie w lokalu, zastał tam żonę pewnego berlińskiego fabrykanta, który nad brzegiem jednego z okolicznych jezior zbudował sobie dom z bali, by w weekendy oddawać się wędkowaniu.

Tamtego wieczoru mąż ów został w wielkim mieście Berlinie, a jego bardzo młoda żona siedziała sama pośród męskiego towarzystwa. Potrząsała swymi rudoblond lokami, pociągła twarz, a przede wszystkim uroczymi karminowymi ustami uważnie przypatrywała się każdemu z rozmówców – tak, wydawało się, jakby to właśnie jej usta patrzyły na ludzi. Następnie odrzucała do tyłu głowę, jej drobna biała szyja zdawała się tańczyć ze śmiechu – dobry Boże, jak ona umiała się śmiać, jakże była młoda! Doll zepchnął starego weterynarza na bok i zajął miejsce na długiej narożnej sofie obok tej niewiarygodnie młodej osoby. Tym sposobem znalazła się między Dollem a starym sędzią.

Jakże była młoda, cóż za życie kryło się w tym stworzeniu, jakże porywająco potrafiła się śmiać z najdurniejszych nawet historyjek sędziego! Doll sam zaczął opowiadać, a nikt nie robił tego lepiej od niego. Nie był to wyświechtany, setki razy powtarzany repertuar, jak w przypadku sędziego czy weterynarza, o nie, opowieści Dolla spływały ze wszystkich okresów jego życia, jakby dopiero teraz po raz pierwszy przybierały w jego myślach ostateczny kształt. Opowiadał coraz żywiej, jedną historię za drugą, prześcigał wszystkich – i co chwila wołał: „Wina, wina, wina!”.

To był wspaniały wieczór. Dobiegający pięćdziesiątki mężczyzna jest pod wrażeniem, gdy piękna, dwudziestoletnia kobieta zwraca nań uwagę, gdy się nim interesuje. Mimo to w obecności tak zaciekawionej młodej osoby Doll nie zatracił w sobie krytycznego spojrzenia, zauważył, że gdy on snuł z zapalem swe opowieści, stary weterynarz zajmował się na boku własnymi sprawami. Zarówno historie, jak i kobiety już dawno mu zubożyły, interesował go wyłącznie alkohol. Przy stoliku go co prawda nie brakowało, lecz zdaniem knura Willema pito go zbyt powoli. Gdy spostrzegł, że oczy wszystkich zwrócone są na młodą kobietę, ręka weterynarza sięgnęła po butelkę. Szybkim ruchem napełnił kieliszek, opróżnił go, po czym natychmiast zaczął sobie ponownie nalewać...

– Hola! – zawołał Doll, który, choć odwrócony do niego plecami, od razu to zauważył. – Nie tak szybko! Póki jestem tu gospodarzem, to ja dyktuję tempo! – Po czym, wcale uprzejmie, zabrał Wilhelmowi butelkę z rąk.

Oczywiście wszyscy jak jeden mąż natychmiast obścapiли starego pijaka i hulakę, zaczęli mu ostro dokuczać. Szydzili z niego, odgrzebywali najbardziej upokarzające historie na jego temat, rzucali mu w twarz najpodlejsze podejrzenia. Niewiele go to jednak obchodziło, nie czuł z tego powodu wstydu. Przywykł do tego, że za każdy łyk podarowanego alkoholu przyjdzie mu płacić urazą osobistej godności. Trwało to już tak długo, zdarzało na tyle często, że wszelką godność dawno już zatracił. Owszem, pogardzał nimi, w owej chwili wszyscy oni mogliby

na jego oczach szczytnie – nie przejąłby się tym ani trochę, liczył się dlań wyłącznie alkohol. Dlatego pozwalał z siebie szydzić i kpić, nie słuchał ich, zacisnął tylko swą grubą, pokrytą starczymi plamami dłoń na nóżce kieliszka do wina. I pomyślał: „Ha, i tak wypilem dwa kielichy więcej niż oni!”. Oraz: „Jeśli znów nadarzy się okazja, spróbuję raz jeszcze!”.

I nie musiał długo czekać. Przy stoliku siedziała przecież rozkwitająca, młoda, piękna kobieta – ze starego knura Willema mogli sobie dworować co dzień, okazji do flirtu z taką kobietą przepuścić jednak nie sposób. O weterynarzu zupełnie zapomniano. Doll siedział całkiem odwrócony do niego plecami. Trzykrotnie dotknął więc butelki z winem, lecz zaraz potem cofnął rękę. Za czwartym razem sięgnął po nią zdecydowanym ruchem i napełnił sobie kieliszek...

Doll ponownie zerknął przez ramię, po czym odezwał się, tym razem bez krzty uprzejmości w głosie:

– Jeśli nie odpowiada panu tempo, w jakim przy tym stoliku raczymy się winem, może przesiądzie się pan do innego? Wolnych stolików jest tu pod dostatkiem... – A gdy weterynarz spojrział nań z niedowierzaniem, wzrokiem niepewnym, nieomal błagalnym, dodał mocniejszym jeszcze tonem: – Nie rozumie pan? Proszę stąd odejść! Mam już dość pańskiej bezczelności!!!

Stary mężczyzna powoli podniósł się z miejsca. Wolnym krokiem ruszył w stronę stolika w przeciwnym kącie sali. (Jako że zrobiło się bardzo późno, dawno już wybiła godzina policyjna, w lokalu nie było prócz nich żywego ducha). Przez chwilę się wahał, zabrał jednak z sobą kieliszek, przez który tyle utracił, i niósł go ostrożnie niby jakąś relikwię. To przecież ostatni bodaj kieliszek wina, jaki miał wypić tego nieszczęsnego, tak świetnie się zapowiadającego wieczoru. Za jego plecami drwili zeń w najbardziej grubiański sposób, nieomal pękali, ciesząc się z cudzego nieszczęścia, ci tłuści, zapijaczeni kołtuni. Doll oczywiście nie przyłożył ręki, by dodatkowo upokorzyć pokonanego, być może żałował nawet swych gniewnych słów – bądź co bądź starszy był to człowiek. Jeśli nawet w istocie zdjęła go skrucha, szybko się z niej otrząsnął, gdy młoda kobieta niespodziewanie się odezwała:

– Słusznie pan postąpił, panie Doll, ja także nie mogłam już znieść tego starego obłudnika!

Przy stoliku znów raczono się winem, ponownie podjęto ożywioną, coraz mocniej zamroczoną alkoholem rozmowę. O starym weterynarzu zapomniano. Siedział on przy swoim stoliku, wciąż ściskając nóżkę kieliszka, dawno już opróżnionego. Siedział, patrzył, nasłuchiwał i liczył. Przeliczał podawane butelki,

liczył kieliszki wychylane przez gości, a przy każdym kolejnym dręczyła go myśl: „I ja mógłbym się z nimi częstować!”.

Doktor Wilhelm odczekał, aż biesiada dobiegła wreszcie końca, szykowano się do uregulowania rachunku. Następnie opuścił cichaczem lokal i przystanął przed hotelem w ciemnym zakątku ulicy.

Długo musiał czekać, nim się zjawili, każde z nich z własnym rowerem. Dostrzegł białą sukienkę kobiety, prowadziła rower jak po sznurku, podczas gdy mężczyzna zataczał ogromne koła, często musiał się zatrzymywać. Ruszył ponownie, zahaczył o koło swej towarzyszki, swój rower porzucił. Wybuchnął pijanym śmiechem i przytrzymał się kobiety. Doktor Wilhelm zauważył jeszcze, że na rogu ulicy, gdzie winni się byli rozstać, wcale się nie pożegnali. Doll towarzyszył młodej kobiecie w drodze do domu, potykał się, upadał, klął i się zaśmiewał. Skinąwszy głową, wykrzywiając zrogowaciałą twarz, jakby kosztował czystej żółci, weterynarz ruszył w kierunku domu powolnym, dostojnym krokiem, szeroko rozstawiając stopy.

Już nazajutrz uliczki i zaułki miasteczka obieży pogłoski o „orgii”, jaka odbyła się w znamienitym hotelu, a wraz z wozami z mlekiem wkrótce dotarły także na wieś. Doll, przybywszy do miasta na telefoniczne wezwanie młodej kobiety, dowiedział się od niej, że bigoteryjna żona hotelarza „z powodu jej nieobyczajnego zachowania” odmówiła jej wstępu do lokalu. Młoda dama poczuła smutek i oburzenie, po raz pierwszy w życiu stanęła w obliczu owych małomiasteczkowych osądów, wydawanych bez wysłuchania obwinionego, wobec których nie sposób się odwoływać czy bronić.

– A przecież nie mamy sobie nic do zarzucenia! Do niczego nie doszło, nawet do pocałunku! A weterynarz, ta świnka, rozpowiada, że przez cały wieczór siedziałam panu na kolanach, a potem zabrałam pana na noc do siebie do domu! Gdy tymczasem wszyscy wiedzą, że nocował pan w hotelu!

Tak było w istocie, kiedy się bowiem okazało, że Doll nie jest w stanie ani iść na piechotę ani pedałowac na rowerze, jego towarzyszka odprowadziła go z powrotem do hotelu, gdzie wynajął dla siebie pokój.

– Nie, panie Doll, koniecznie musi się pan rozmówić z gospodarzem! Należy uchylić wydany mi zakaz wstępu do lokalu, a tym obrzydliwym plotkom położyć kres! Musi mi pan pomóc, Doll, czuję się bardzo nieszczęśliwa! Jakież to wszystko jest podłe! Miejscowi nienawidzą kobiety tylko dlatego, że dobrze wygląda i lubi się śmiać. Najchętniej z miejsca sprzedałabym nasz weekendowy dom, by nigdy tu już nie wracać!

Oczy młodej kobiety wypełniły się łzami, Doll obiecał jej wszystko, czego sobie życzyła. I bez tego postąpiłby podobnie, i on bowiem poczuł wzbierającą złość i nienawiść. Szybko miał się jednak przekonać, że plotki trudniej sprostować niż rozpuścić. Trzymany w ryzach przez bigoteryjną żonę hotelarza wiał się jak robak; w końcu, gdy rozmowa stała się zażarta, czmychnął z pokoju – i tyle go tamtego dnia widziano. Powołany na świadka obrony sędzia, wyraźnie targany zazdrością wobec młodszego, cieszącego się powodzeniem Dolla, okazywał w swych zeznaniach niepewność. W lokalu nie zaobserwował niczego nieprzyzwoitego, na temat tego, co się potem w nocy wydarzyło na ulicy, nie ma nic do powiedzenia. Zresztą, z tego rodzaju historiami nie chce mieć do czynienia!

– A cóż by miało się wydarzyć na ulicy?! – zawołał oburzony Doll. – Wszyscy przecież wiedzą, że nocowałem w hotelu!

Żona hotelarza ze spuszczoną głową poddała łagodnym tonem pod rozwagę, że pomiędzy wyjściem obojga z lokalu a powrotem pana Dolla do hotelu bądź co bądź minęła ponad godzina!

– To gruba przesada! – krzyknął Doll. – Upłynął może kwadrans, co najwyżej pół godziny!

Właścicielka hotelu oraz sędzia tylko się uśmiechnęli, bigotka zaś dodała, że pół godziny to sporo czasu, nawet w ciągu pół godziny wiele się może wydarzyć...

Po tych słowach także sędzia opuścił pokój, gniewną odpowiedź Dolla, jak można się posunąć do takiej bezczelności, by dwoje ludzi o nieposzlakowanej opinii bezpodstawnie podejrzewać o to, że nie potrafią przez pół godziny przyzwoicie się zachowywać, dosłyszał już na korytarzu. Dłużej nie zwlekał, wyglądało bowiem na to, że może dojść w tej sprawie do procesu, a wcale nie pragnął, by w takim procesie powołano go na świadka.

W miarę upływu czasu agresywność tudzież oburzenie Dolla słabły w zmaganiach z tą świętoszką, która wszelkie jego zarzuty i żądania kwitowała półuśmiechem i dwuznacznymi, wymijającymi stwierdzeniami. Nawet na jego proste pytanie, czy zamierza podtrzymać zakaz wstępu do lokalu dla młodej damy, nie odpowiedziała zdecydowanym tak albo nie.

Nagle Doll wybuchnął śmiechem, po czym zostawił właścicielkę hotelu samą sobie. Z kim bowiem przyszło mu się zmagać? Walka Don Kichota z wiatrakami nie była bardziej beznadziejna niż jego kłótnia z tą kobietą, która z pewnością zawsze głosowała na uwielbianego Führera. Nie, jedyne, co należało jeszcze w tej sprawie uczynić, to rozmówić się z autorem owych kalumnii, z tym starym

plotkarzem, tym pijusem weterynarzem. Już on się z nim policzy! Uniesiony nową falą gniewu, wyruszył na poszukiwanie doktora Wilhelma. Nic jednak nie wskórał, nie zastał go ani w mieszkaniu, ani na mieście, ani też w żadnym lokalu. Jakby starzec się ukrył, przeczuwając nadciągające niebezpieczeństwo – może rzeczywiście tak zrobił!

Doll nie miał zatem innego wyjścia, jak udać się do adwokata, by zlecić wysłanie listów, zarówno do weterynarza, jak i właścicielki hotelu. Od adwokata dowiedział się, że ze względu na toczącą się wojnę oskarżenia prywatne o znieważenie nie są przyjmowane. Tego jednak adresaci nie muszą wiedzieć, stąd też postanowiono mimo wszystko wysłać do nich listy zawierające groźbę wniesienia takiego oskarżenia. Czy mieli własnych adwokatów, czy może o wszystkim już wiedzieli, nie wiadomo, w każdym razie żadna odpowiedź nie nadeszła. A plotki krążyły w najlepsze.

Wszystko to pogłębiło jeszcze rozgoryczenie Dolla, a wyjazd młodej kobiety spotęgował jego gniew. Oto musiała salwować się ucieczką przed zazdrosną zawiścią tych drobnomieszczan. Miał wrażenie, jakby usiłował się przebić przez ścianę z pierza i waty; choćby uderzał w nią ze wszystkich sił, pozostawała niewzruszona. Człowiekowi pogrążonemu w takim nastroju listy sporządzone przez adwokata wydały się nazbyt łagodne i dyplomatyczne. Usiadł i sam napisał list do doktora Wilhelma, w którym zapowiedział, że jako niecnego oszczercę publicznie go spoliczkuje, gdziekolwiek napotka go na swej drodze...

Wysławszy list, poczuł wyrzuty sumienia. Nie zachował się z godnością, zniżył się do poziomu swych przeciwników, miast, jak dotychczas, w milczeniu nimi pogardzać. Miał tego gorzko żałować! Któregoś przedpołudnia wszedł do dworcowej poczekalni – a tam, na sofie, siedział knur Willem przy butelce wina!

Doll najchętniej zawróciłby w progu, pragnąc zachować spokój ducha. Prócz licznych przyjezdnych przesiadywało tam jednak sporo miejscowych, zerkali oni w napięciu to na niego, to na weterynarza. Doll wiedział, że Wilhelm jak jakaś stara kumoszka pokazał list swym kompanom przy stoliku oraz pewnie połowie miasta – groźba, że przeciwnik go spoliczkuje, była już powszechnie znana. Jeśli teraz zawróci, to weterynarz okaże się zwycięzcą, a wówczas nowym plotkom nie będzie końca.

Doll wszedł więc i zajął miejsce naprzeciw swego wroga. Tak zazwyczaj gadatliwy gospodarz bez słowa podał zamówioną butelkę. Miejscowi czekali, aż wszyscy obcy opuszczą salę, ich pociąg powinien nadjechać w przeciagu kwadransa. Tymczasem Doll zacisnął palce na nóżce swego kieliszka, zmagając się z samym sobą. „On nie jest ciebie godzien” – słyszał kołaczący w myślach

głos. „To tylko staruch, gaduła. Co ma wspólnego z twoim honorem?!”. Spiesznie obrzucił wzrokiem przeciwnika, który także siedział w milczeniu, obejmując dłonią kieliszek. „Jeśli nic nie zrobię, uznają mnie za tchórza, wszyscy, przede wszystkim on. Muszę im udowodnić, że nie pozwolę, by mnie bezkarnie obrzucano błotem! Nie ma już odwrotu!”.

Przyjezdni opuścili salę, zostało pięciu czy sześciu miejscowych. Zapadła cisza. Gospodarz Kurz, który bacznie obserwując zebranych, wycierał za ladą kieliszki, zaczął głośną, błahą rozmowę z mistrzem malarskim.

– W Berlinie znów będzie niewesoło – usłyszał Doll, nad miasteczkiem przelatywały bowiem właśnie eskadry wrogich samolotów...

Stanął naprzeciw swego „wroga”. Oparłszy obie dłonie o brzeg stolika, przybliżył się do znienawidzonej, poźółkłej, wykrzywionej od nadmiaru goryczy twarzy i zapytał szeptem:

– Czy będzie pan łaskaw niezwłocznie odwołać przy świadkach swe podłe oszczerstwa?

Gospodarz odezwał się tonem na poły proszącym, na poły gniewnym:

– Proszę tego poniechać, panie doktorze Doll! Nie toleruję w moim lokalu żadnych kłótni! Proszę stąd wyjść, jeśli pan...

Niewzruszony tym Doll dodał cichym głosem:

– Czy może życzy pan sobie, bym publicznie trzepnął pana w twarz? Tak jak się karze dziecko za kłamstwo?

Stary safandula siedział bez ruchu na sofie. Pod wpływem groźnego spojrzenia Dolla jego poźółkła twarz powoli przybierała odcień bladej szarości, bez drgnienia powiek patrzył swymi rybimi, wyzutymi z wszelkiego wyrazu oczami na człowieka, który mu groził. Kiedy Doll umilkł, wydawało się, jakby chciał odpowiedzieć, poruszył wargami, wysunął koniuszek języka, by je zwilżyć, nie wydał jednak z siebie żadnego dźwięku.

– Niechże pan już idzie, doktorze Doll! – rzekł zapalczywie gospodarz. – Widzi pan przecież, że doktorowi Wilhelmowi jest przykro...

Nagle stary weterynarz z niezrozumiałym uporem zaczął potrząsać głową.

– Pssst! Pssst! – powtarzał gospodarz, jakby płoszył kury. – Willemie, chyba nie zamierzasz...!?

Doll wlepił na chwilę wzrok w potrząsającego głową oszczercę, po czym uniósł dłoń i lekko uderzył go w twarz.

Z piersi przyglądających się tej scenie osób dobyło się stłumione „Ach!”.

– No! – odezwał się gospodarz z wyraźną ulgą w głosie, zadowolony, że nie uderzono mocniej i nie wzięto odwetu.

Przez chwilę Doll wpatrywał się w twarz swego przeciwnika z miną groźną, a jednak złagodzoną poczuciem ulgi. Rwące, przemożne siły drzemiące w jego piersi przycichły, nareszcie poczuł się uwolniony od nienawiści i gniewu. Wtedy jednak nastąpiło coś strasznego – i zupełnie niespodziewanego: w pozbawionych wyrazu oczach starego mężczyzny pojawiły się dwie duże, przejrzyste łzy. Przez moment zwiesiły się na brzegach powiek, po czym spłynęły powoli po policzkach. Pojawiły się następne, coraz więcej i więcej, całymi strumieniami toczyły się po zrogowaciałej twarzy, która lśniła teraz od wilgoci. Z gardła wyrwał się szloch.

– Och! Och! Och! – jęczał stary weterynarz. – O mój Boże, on mnie uderzył! Uderzył mnie dłonią po twarzy! I co ja teraz pocznę?! Och! Och! Och! I jak tu spojrzeć teraz komuś w oczy, będę musiał umrzeć! Och! Och! Och!

Kiedy Doll wymierzył policzek, sympatia wszystkich zebranych bez wątpienia była po jego stronie, głębokie, wyrwane z ich gardła „Ach!” tylko to potwierdzało. Wszystko jednak zmieniły łzy w oczach starego lekarza. Doll od pierwszej chwili był przekonany, że to jedynie łzy krokodylowe, wywołane z rozmysłem, by spotęgować wydźwitek chłosty i pozyskać sobie przychylność mieszkańców miasteczka.

– Och! Och! Och! – wciąż szlochał doktor Wilhelm. – Uderzył mnie, akurat dziś, w moje sześćdziesiąte trzecie urodziny! A ja nigdy nic złego mu nie zrobiłem. Zawsze go broniłem, gdy ludzie źle o nim mówili. Byłem mu wdzięczny za to mnóstwo wina, jakim mnie częstował!

Na dźwięk ostatnich słów gniew i nienawiść na powrót wezbrały w sercu Dolla. Wciąż żywo miał przed oczami scenę, kiedy to z powodu samowolnego pijaństwa wyprosił weterynarza od stolika. Oszczerstwa pojawiły się nie dlatego, że wielokrotnie częstował go „mnóstwem wina”, lecz dlatego, że jeden jedyny raz wina mu odmówił.

– Dość już tego! – krzyknął gniewnie. – Plotkarz z pana, stary gaduła, to dlatego dostał pan po twarzy. I dostanie ponownie, mimo tych udawanych łez, jeśli nadal będzie pan rozsiewał te swoje kłamstwa! – Po czym groźnie uniósł rękę.

Doll nie wziął jednak pod uwagę obecności zebranych w sali osób. Dobrze znali starego knura Willema, istotnie, znali go od lat i mieli o nim jak najgorsze zdanie. A jednak w obliczu jego łez i skarg natychmiast zatracili w sobie rozsądek oraz dotychczasowe przekonania. Szlochający starzec zawsze gra na uczuciach, to dlatego razem z gospodarzem jak jeden mąż przystąpili do Dolla.

– Naprawdę już wystarczy! Przecież nie uderzy pan ponownie starego człowieka! Najlepiej będzie, jeśli natychmiast opuści pan lokal, może pan zabrać z sobą napoczętą butelkę wina!

Chwilę potem Doll został odciągnięty od swego przeciwnika, podano mu kapelusz, gospodarz wepchnął mu do aktówki naprędcę zakorkowaną butelkę z winem. Doll znalazł się nagle na placu przed dworcem. Zatraskany gospodarz spojrział nań zaczerwienionymi oczami i rzekł:

– Nie powinien pan tego robić, panie Doll, całe miasto zwróci się teraz przeciwko panu! Porządny człowiek na coś takiego sobie nie pozwala. Cóż, może wszystko się jakoś ułoży...

Niestety, nie wszystko się ułożyło. Gospodarz miał rację – Doll stracił resztki sympatii mieszkańców miasteczka, stał się tym, kim miał już na zawsze pozostać: najbardziej znienawidzonym człowiekiem w okolicy.

Doktor Wilhelm zaś postąpił w tym przypadku z diabelską wprost zręcznością. Jego zmacony goryczą umysł podsuwał mu tym razem doskonałe rady. Po wyjściu Dolla nadal zalewał się łzami i zapewniał, szlochając, że nie przeżyje takiej hańby. Musi odebrać sobie życie, i to w dzień swoich urodzin...

Podano mu wino, w nadziei, że to go uspokoi, mnóstwo wina – a potem odprowadzono do domu. Wieść o zadanej mu krzywdzie obiegła pędem całe miasto, wzbudzając dlań sympatię nawet tam, gdzie nigdy jej nie zaznał. Nie bez powodu wciąż podkreślał, jaka to przykrość go spotkała akurat w dniu urodzin. Nawet po kilku dniach wciąż dostawał prezenty – żywność, wino, wódkę – i to od ludzi, którzy gdyby nie owo zdarzenie, z pewnością nie zawracaliby sobie głowy urodzinami pijaka.

Tymczasem wojna nie ustawała, ciągnęła się rok jeszcze i dwa. Ludzie mieli teraz większe zmartwienia niż sprawa Dolla, kładąca się cieniem na jego życiu.

Także i samego Dolla zaprzętały zgoła inne myśli. Tamtego roku rozpadło się jego małżeństwo. Targały nim rozmaite troski, tym mocniej więc go zabolalo, gdy na widok weterynarza poczuł dawną, z pozoru przewyciężoną ongiś nienawiść, wzbierającą z niegdysiejszą siłą, niezmienioną przez upływ czasu, wciąż tę samą starą hańbę...

Po długiej nieobecności w miasteczku pojawiła się młoda kobieta, tym razem ubrana w czerni. Doll dowiedział się, że od dłuższego już czasu jest wdową. Gdy na wieść o tym ludzie kierowali w jego stronę zaciekawione spojrzenia, dostrzegali w jego twarzy wyłącznie obojętność. I Doll rzeczywiście odczuwał obojętność. Nawet jeśli dwa lata wcześniej w przepojonej namiętnością godzinie

zapałał do tej kobiety uczuciem, już dawno popadło ono w zapomnienie, już o niej nie rozmyślał...

Życie w małym miasteczku rządzi się wszakże własnymi prawami. W wielkim mieście ludzie czasem się spotykają, by nigdy więcej się nie zobaczyć. Tu jednak mieszkał ten odszczepieniec Doll, człowiek, który mimo posiadanych pieniędzy potrafił przez swą butną naturę wzbudzać jedynie podejrzenia. I oto zjawia się młoda kobieta, wdowa lat dwadzieścia trzy, nie więcej, matka pięcioletniego dziecka, mimo żałoby malująca lakierem paznokcie, usta zaś purpurową szminką. Małe miasteczko wiedziało, na jaką opinię zasługuje taka kobieta, miało też zresztą wyrobione zdanie na temat Dolla!

Mając przeciwko sobie pozostałych mieszkańców, wykluczeni z ich życia, szpiegowani, podejrzewani, oczerniani, musieli któregoś dnia na siebie trafić.

– Dzień dobry! – rzekł z wahaniem Doll. – Dawno się nie widzieliśmy...

– Owszem – odparła. – Wiele się od tamtej pory wydarzyło.

– Racja! – Wrócił myślami do przeszłości, spoglądając na młodą kobietę. W stroju żałobnym wydała mu się jeszcze piękniejsza. – Straciła pani męża...

– Tak – przytaknęła. – Mam za sobą trudny okres. Mój mąż przez ponad rok chorował, sama musiałam go pielęgnować. I na każdy dźwięk alarmu schodzić z chorym do piwnicy, gdy mieszkanie na poły spalone...

– Ciężkie czasy! – przyznał, po czym gniewnie się zaśmiał, widząc ciekawskie spojrzenie przechodzącej obok „pani kapitanowej marynarki”. – Ale ta dziura się nie zmieniła, dziś wieczorem znów będziemy na ustach wszystkich.

– Z pewnością! Odprowadzi mnie pan kilka kroków? Skoro mają klaskać, niechże i mają powód! Zje pan dziś ze mną obiad? Akurat dostałam ze wsi kurę; tak to się odbywa – uśmiechnęła się – bez kartek.

– Dobrze! – zgodził się. – Chętnie. Nikomu już nie muszę się tłumaczyć.

– Wiem.

I tak to się zaczęło, i toczyło się dalej. Spotykali się z przekory, na znak sprzeciwu, z poczucia osamotnienia. Każde z nich wreszcie znalazło kogoś, z kim naprawdę mogło porozmawiać, kto nie był zdrajcą. Z czasem zrodziła się między nimi szczerą sympatia, nawet miłość. Krążące w miasteczku plotki już dawno im zobojętniały. Zamieszkali razem w niewielkim domu należącym do młodej kobiety, nie bacząc na opinie mieszkańców, oburzonych tak rażąco nieprzyzwoitością. Doll zbywał milczeniem dobiegające go zewsząd głosy o tym, co wszystkim wokół rozpowiadał weterynarz Wilhelm: „A widzicie?! Każde moje słowo okazało się *szczerą prawdą*. Było mu zupełnie obojętne, że jego wróg zatryumfował.

Później jednak, gdy się pobrali, nie w tej nędznej dziurze, lecz w wielkim Berlinie, kiedy siedzieli razem w kuchni niemal doszczętnie spalonego mieszkania i wypisywali adresy, przygotowując okolicznościowe zawiadomienia – wówczas znów się w nich obudził ów demon nienawiści, nie pozwalając obojgu zapomnieć o żadnym z wrogów. Każdy otrzymał zawiadomienie: knur Willem i bigoteryjna żona hotelarza w pierwszej kolejności! Nie potrafiliby powiedzieć, czego się właściwie po swych anonsach spodziewali. Sam jednak fakt, że się pobrali – na przekór wszystkim, wymierzając tym policzek ich pruderii – uznali za swój tryumf.

Rzadko kiedy wracali z Berlina do miasteczka. Zapominali o nim pośród wielkomięjskiego zamętu, w narastającej pomroce, rozjaśnianej jedynie przez przerażający blask rozedrganych płomieni buchających w zajętych przez ogień ulicach. Siedzieli obok siebie w przepelnionych schronach przeciwlotniczych, słysząc odgłosy nadlatujących samolotów i czując drzenie nękających ich bombardowań... Trzymali się w ramionach, młoda kobieta uspokajała: „Już po wszystkim!”. A wtedy rozległ się ogłuszający trzask i huk, rozbłysło żółtawe światło, po chwili zgasło... Ich usta wypełnił wapienny pył, poczuli, jakby pożerali własną śmierć.

Kiedy przez zniszczone torowiska i dworce wydostawali się z Berlina, gdy pociąg unosił ich coraz dalej w głąb lasów, które nie nosiły żadnych śladów dewastacji, gdy pod wieczór wstępowali do gospody, by naprędce wypić jeszcze kwaterkę, zanim pokonają końcowy odcinek drogi do domu – ich oczom ukazywało się życie toczące się niezmiennym rytmem. Gospodarz stał się może trochę bardziej skąpy przy wydzielaniu zapasów i nieco bardziej bezczelny wobec gości. Na swym stałym miejscu na sofie nadal przesiadywał stary weterynarz o zrogowaciałej twarzy.

Gdy tylko Doll spostrzegł tego człowieka, natychmiast obudziła się w nim dawna nienawiść. Wezbrała z żywiołową gwałtownością, dopiero później przywracając wspomnienia wszelkiego zła, jakie im był wyrządził, jako dodatkowe, choć zupełnie niepotrzebne jej uzasadnienie. Dla Dolla owa nienawiść pozostawała niezrozumiała. Jakże trudne były to czasy, po każdym bombardowaniu czuł, jakby na nowo darowano mu życie. Niepojęta była owa nikczemna nienawiść, a jednak trzeba się było z jej obecnością pogodzić. Przyjął ją do siebie, pozwolił jej się w sobie rozpanoszyć, a teraz musiał ją znosić, być może przez resztę swego życia.

Tak, przez resztę życia – lecz nie własnego! Kiedy bowiem w drodze do pracy przechodzili razem z żoną obok zamkniętego, posępnie groźnego domu starego

weterynarza, gdy wracając samotnie do domu, mijał starą, powyginaną wywieszkę pełną plam grynszpanu, ich widoku unikał nie dlatego, że nadal żywił do zmarłego nienawiść. Nie, wraz z jego śmiercią nienawiść się rozwiązała, w jej miejsce pojawiło się coś na kształt pustki, mgliste wspomnienie uczucia, którego musiał się wstydzić. W czasach przewrotu żadne z uczuć nie miało racji bytu, nienawiść przeminęła, pozostała pustka, nuda, obojętność, wszystkich dzielił dystans. Nigdy człowiek nie był taki samotny. Nigdy nikt nie był bardziej samotny. Została przy nim tylko ta młoda kobieta. Lecz także i jej dał do zrozumienia: „Już dobrze. Nie będziemy więcej o tym wspominać. Na tym koniec”.

Nie, jeśli Doll odwracał wzrok od tego wymarłego domu, miał po temu całkiem inny powód. Wciąż łamał sobie głowę nad taką oto kwestią: Ujrzałem go w dworcowej gospodzie, łyzy całymi strumieniami spływały mu po policzkach, on zaś się żalił, że musi odebrać sobie życie z powodu doznanej hańby. Życia sobie jednak nie odebrał, nędzna sierota, a na swej hańbie, zupełnie bez honoru i wstydu, zbił nawet interes! Przez całe życie doktor Wilhelm był tchórzem, bał się uderzenia końskim kopytem, ubodzenia przez byka, ugryzienia przez psa, stał się zwykłym szczepicielem świń w niegroźnym wieku. Knur Willem! Przydomek ten nie bez racji mu nadano, nigdy się też przeciw niemu nie buntował. Tym szyderczym przezwiskiem bezlitośnie się do niego zwracano podczas pijackich biesiad, jemu zaś zawsze brakowało godności i odwagi...

A jednak ów doktor Wilhelm – rozmyślał dalej Doll – miał odwagę uczynić to, na co ja odwagi w sobie nie znalazłem, choć z dniem każdym tracę kolejną część godności, poczucia własnej wartości, wstydu, wiary i nadziei. Nie potrafię, a przecież zawsze sobie wmawiałem, że jestem dość mężnym człowiekiem. On zaś, ten tchórz, to zrobił. On, tchórz, którego uderzyłem w twarz, znalazł w sobie odwagę, której ja nie posiadam.

Z głową wypełnioną takimi myślami Doll przechodził obok opuszczonego domu. Udęczony, za wszelką cenę próbował się z nich otrząsnąć, bezskutecznie. Spojrzeć w tamtą stronę czy lepiej nie patrzeć? Usiłował wyobrazić sobie pokój, w którym człowiek ów spędził ostatnią godzinę swego życia, w którym „to” zrobił. Doll wiedział, że pod koniec życia stary weterynarz nic już prawie nie posiadał poza łóżkiem, stołem i krzesłem, wszystko poszło na alkohol. Próbował wyobrazić sobie człowieka siedzącego na tym jedynym ocalałym krześle, leżący przed nim na stole pistolet – czy po twarzy popłynęły mu wówczas łzy, czy skamlał może „Och! Och! Och!”?!

Doll potrząsnął głową, nie chciał zmagać się dłużej z własnymi myślami, nazbyt były bolesne.

Jedno w każdym razie nie ulegało wątpliwości: starzec ze zrogowaciałą skórą zostawił Dolla samego, pełnego wyrzutów sumienia i niepewności. W owych dniach tak wiele rzeczy niewzruszonych stawało się wątpliwymi. Wspominając los starego weterynarza, Doll zatracił w sobie nawet dawną nienawiść oraz przekonanie, że to *on* jest człowiekiem odważnym. Prawdopodobnie wcale taki nie był, ot, zwyczajna ułuda. Karmił się iluzjami, oszukiwał samego siebie, a teraz wszystko to się rozwiało! Nic już z Dolla nie zostało!

Jakże chciał omijać to miejsce. Zmuszony był jednak przechodzić obok tego opustoszałego domu ze względu na położenie pobudowanego na półwyspie miasteczka. Zmuszony był snuć owe udręczone myśli. Zmuszony przyznać, że był nikim, że nigdy niczego nie osiągnął, i także w przyszłości, cokolwiek ona przyniesie, niczego nie osiągnie, pozostanie nikim! Już na zawsze absolutnie nikim!

Łatwo powiedzieć do młodej żony: „Już dobrze, on nie żyje. Zapomnimy o nim. Nigdy więcej nie będziemy o nim wspominać!”.

Było to jednak kłamstwo. Nic nie było w porządku, nic nie mogło popaść w zapomnienie. Cóż jednak znaczyło dziś kłamstwo?! Kobieta mogła pomyśleć, że on wciąż żywi nienawiść do tego starca, tak samo silną jak dawniej. On zaś nie potrafił już nienawidzić, lecz kłamać, owszem, to możliwe. Kłamstwo bardziej zresztą odpowiadało jego niedociągnięciom.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Panowie naziści

Doll niedługo zajmował się pilnowaniem stada. Istny łańcuch przypadków sprawił, że rosyjski komendant mianował go burmistrzem miasteczka oraz całej pobliskiej krainy. Tak to się właśnie działo w tych odmienionych czasach: oto najbardziej znienawidzony w mieście człowiek zostaje regentem jego mieszkańców.

Wszystko zaczęło się od pewnego zdarzenia. Którejś nocy mianowicie przez okalający działkę Dolla płot przerzucono plecak. Plecak żołnierza Wehrmachtu, w którym znajdował się mundur wyższego rangą dowódcy SS. Dla kochanych sąsiadów, którzy podrzucili Dollowi to kukułcze jajo, posiadanie tego stroju stało się pewnie nazbyt niebezpieczne z uwagi na coraz dokładniejsze przeszukania domostw. Dlaczego nie włożyli do plecaka paru dodatkowych kamieni i nie zatopili go w pobliskim jeziorze – to osobna kwestia. Bez wątplenia świadczyło to zarówno o przyzwoitości sąsiadów, jak i o popularności Dolla.

Doll oczywiście nie miał pojęcia o leżącym na jego działce podarku. Długo nie mógł zasnąć, w końcu zapadł w swój tradycyjny już, krótki sen człowieka stroskanego. Obudził go, tym razem przed świtem, rosyjski patrol, wrogo do niego nastawiony. Z początku nie mógł zrozumieć, czego od niego chcą. Minął nieprzyjemny kwadrans, zanim pojął, co ów plecak oraz ukryty w nim mundur SS mogą dla niego oznaczać: na Dollów padło podejrzenie, że ukrywają oficera SS! Przetrzęsnięto cały dom, działkę, szopy, i choć nie natknięto się na żaden ślad zbiega (którego w istocie nie było), Dolla wsadzono na zaprzężony w dwa konie wóz myśliwski i zabrano do miasta, prosto do siedziby komendanta. Z prawej i lewej pilnowali go żołnierze uzbrojeni w pistolety maszynowe. Mieszkańców miasteczka widok ten z pewnością nie natchnął współczuciem, raz, że sami mieli dość własnych zmartwień, dwa, że spotkało to właśnie doktora Dolla. Nie żalowali go ani trochę.

W komendanturze nie spotkało go nic złego. Zastał tam oficera prowadzącego przesłuchania oraz tłumacza w cywilu przekładającego zeznania. Choć odkrył tajemnicę owego perfidnie podrzuconego mu plecaka, nie odważył się zwrócić uwagi Rosjan na sąsiedni dom, w którym mieszkała żona dowódcy SS. Była ona

zresztą równie złośliwa co głupia, gdyż właściciela munduru z pewnością da się przecież ustalić.

Kwadrans później Doll mógł wracać do domu, w objęcia wyczekującej go z niepokojem rodziny.

Nazajutrz przypadał „dzień zwycięstwa”, dzień wolny od pracy. Wszyscy mieszkańcy mieli się stawić na placu przed komendanturą, rosyjski dowódca zamierzał wygłosić przemówienie. Kiedy Doll wraz z żoną weszli na plac, stał tam razem z tłumaczem ten sam oficer, który go poprzedniego dnia przesłuchiwał. Doll uprzejmie się przywitał, oficer i tłumacz uczynili podobnie, po czym zaczęli się mu bacznie przyglądać i wymieniać szeptem uwagi. Po chwili Doll został przywołany skinieniem, tłumacz w imieniu oficera zapytał go, czy nie zechciałby przemówić do niemieckiej społeczności na temat znaczenia dnia zwycięstwa.

Doll odparł, że nigdy dotąd nie wygłaszał publicznych przemówień, niemniej ufa, że potrafiłby to zrobić nie gorzej od innych. Po tych słowach zaprowadzono go do siedziby komendantury – jego żona musiała zostać na zewnątrz wśród oczekującego tłumu – i pozostawiono w pokoju na piętrze. Przez szklane drzwi widział przemawiającego na balkonie komendanta, tłumacz szepnął mu do ucha kilka słów kluczowych, do których winien nawiązać. W pokoju zapadła cisza, na zewnątrz wciąż rozbrzmiewało wystąpienie komendanta. Był to niewysoki mężczyzna o bladej, brązowawej, ładnej twarzy, miał posturę prawdziwego jeźdźca. Zdjął białe rękawiczki, które zazwyczaj nosił, trzymał je teraz w dłoni, czasami nimi potrząsał, podkreślając w ten sposób wypowiedziane właśnie zdanie. Komendant mówił przez dwie, trzy minuty, po czym robił przerwę, oddając głos tłumaczowi. Tłumaczenie nigdy jednak nie trwało ani minuty, jak to zwykle bywa w przypadku kiepskich tłumaczy. Od czasu do czasu z oddali dobiegały odgłosy braw.

„Hola, czekajcie no! – zawołał w myślach Doll. – Nie dalej niż trzy tygodnie temu krzyczeliście jeszcze »Heil Hitler«, gięliście karki przed esesmanami, a w volkssturmie załatwialiście sobie posady. Już ja wam zaraz wyjaśnię, co sądzę o waszym obecnym »Brawo«!”

Uznał, że zrobiło się dość ciepło. Racja, był przecież piękny majowy dzień, choć dochodziła dopiero dziesiąta, na jego czole połyskiwały krople potu. Tłumacz znów się ku niemu nachylił i zapytał, czy może jest podenerwowany? Może chce szklanek wody?

Z uśmiechem na twarzy odpowiedział, że wolałby raczej szklaneczkę wódki. Natychmiast zaprowadzono go do oficerskiej kantyny, gdzie nalano mu całą

szklankę bardzo mocnej wódki.

Pięć minut później stał przy balustradzie balkonu, za nim, nieco cofnięci, komendant oraz jego tłumacz, który miał teraz przekładać mowę Dolla. Na balkonie było zresztą obecnych kilku innych oficerów, których Doll miał w nadchodzących tygodniach dość dobrze poznać. W tej jednak chwili nie zwracał na nich uwagi, widział jedynie zebranych w dole ludzi, ogromny tłum swych współmieszkańców, którzy wyczekująco unosili ku niemu głowy.

Z początku wszystkie ich twarze stopiły się w jedną szarobiałą kreskę, biegnącą ponad ciemną, szeroką wstęgą odzienia. Potem zaś, po wypowiedzeniu pierwszych zdań, zaczął naraz rozróżniać poszczególne oblicza. Kiedy nieco zmartwiony wsłuchiwał się w brzmienie własnego głosu, który, mało zazwyczaj donośny, zdawał się teraz wypełniać cały rozciągający się przed nim plac, dostrzegł naraz swoją żonę, stojącą niemal tuż u jego stóp. Z właściwą sobie beztronską paliła papierosa, ludzie odsunęli się od niej nieco w bok, choć zgromadzony na placu tłum zbił się w gęstą ciżbę. A więc i teraz, świadomie bądź mimowolnie, potwierdzali tylko ową alienację, w której żyła rodzina Dollów, również i on, stojący w tej chwili na oczach wszystkich na balkonie komendantury.

Skinął ku niej nieznacznie, nie przerywając przemówienia, ona uśmiechnęła się i uniosła w pozdrowieniu dłoń z papierosem. Jego wzrok powędrował dalej, zatrzymał się na siwobrodej twarzy rajcy miejskiego, narodowego socjalisty, mistrza budowlanego, człowieka wprawdzie cichego, lecz podstępnie wykorzystującego partyjną pozycję do eliminowania swych bliższych i dalszych konkurentów. Niedaleko od niego stał niski mężczyzna o równie szczwanym co brutalnym wyrazie twarzy: to on inkasował partyjne składki, a przy tym był szpiclem bonzów, owych bonzów, którzy jak jeden mąż uciekli do zachodniej strefy...

Zostało jednak dość pomniejszych: tu sekretarz poczty służący jako wachmistrz w oddziałach volkssturmu, tam szkolny nauczyciel, wzbudzający postrach denuncjator, gospodarz Kurz, tyran i jak się właśnie okazało, także szpicel, oraz – oczy Dolla rozbłysły – stojące blisko siebie z niemal drwiącymi minami, jakby oglądały inscenizację jakiejś szmiry, dwie kobiety, żona i córka owego dowódcy SS, którego mundur wczoraj z rana doprowadził go niemal do zguby.

Doll pochylił się nieznacznie, zaczął mówić szybciej, głośniejszym głosem, perorował o czasach, które właśnie minęły, o beneficjentach, o winnych i biernych uczestnikach. W trakcie swego wystąpienia, gdy zebrani z uporem wznosili

okrzyki „Brawo!” i „Święta racja!”, jakby nie brali jego słów do siebie, Doll przekonał się, jakże inaczej wyglądali ci mieszkańcy. Nie były to jedynie pobladłe twarze naznaczone przez strach, troski, strapienia i nocne czuwanie, nie byli to wyłącznie ci, którzy chcąc uniknąć pierwszego uderzenia, całymi dniami kryli się po lesie, skutkiem czego nosili teraz wypłowiałe i podniszczone ubrania – nie, wszyscy spowili się nagle w wytarte, żebracze szaty, wszyscy zdawali się strąceni kilka stopni niżej w społecznej hierarchii, z jakichś powodów porzucili utrzymywaną przez całe życie pozycję i bez poczucia wstydu stanęli pośród innych bezwstydnym. Gdyby tylko mogli ujrzeć samych siebie... Zawsze tak wyglądali, gdy tylko zostawali z sobą sam na sam. Nie istniało już nic, w imię czego warto by się jeszcze z tym kryć, oto naród, który znosił swą klęskę bez żadnego honoru, bez krzty wielkości.

Był tam otyły hotelarz o zazwyczaj zaczerwienionej, tłustej, uśmiechniętej twarzy, teraz pobladłej, pokrytej od dawna niegoloną brodą. I jego żona bigotka, skąpa hotelarka, która nawet z największego biedaka potrafiła wycisnąć parę fenigów i najchętniej sprawdzała wagę każdej torebki, ona, chodząca zawsze w czarnych lub szarych workowatych sukniach, zarzuciła teraz wokół twarzy białą niegdyś chustę, przywodzącą na myśl chusty cierpiących na ból zębów z pism Wilhelma Buscha. Jej wątłe ciało skrywał błękitny fartuch z rodzaju tych, które noszą praczki, dłonie zaś owinęła brudnymi bandażami.

„Naród ten, skoro sam dał za wygraną, jest stracony” – pomyślał Doll. W ferworze przemowy nie miał czasu zastanowić się nad sobą, a przecież sam znalazł się w podobnym położeniu. Wzniósł toast za pomyślność siódmego maja, Armii Czerwonej i jej generalissimusa Stalina, widział, jak krzyczą i wiwatują (prócz sprawiedliwości i wolności obiecano bowiem także chleb i mięso), jak unoszą ramiona, wielu wciąż jeszcze prawe, w sposób, jaki od lat im wpajano.

Wydawało się, że przemówienie spodobało się także komendantowi i jego oficerom. Dolla zaproszono wraz z żoną do oficerskiej kantyny. Kieliszki z wódką zdawały się jeszcze większe, sam alkohol jeszcze mocniejszy – a opróżniono ich niemało. Kiedy Doll wracał z żoną do domu przez skąpane w promieniach słońca ulice, oboje chwiali się na nogach, Doll znacznie bardziej. Na szczęście drobnomieszczanie nadal siedzieli przy obiedzie. A wszyscy potępiali przechodzącego pod ich oknami człowieka z powodu jego przemowy, jako zdrajcę, który przeszedł na stronę wroga, choć przecież wszyscy oni z ochotą zajęliby jego miejsce!

Nieco dalej za miastem, w okolicy pozbawionej niemal domostw, na prowadzącej przez rzadki liściasty las drodze, noszącej oficjalnie nazwę

„Kuhdamm”, Doll zaczął się potykać. Alkohol sprawił, że w końcu upadł na ziemię i zasnął. Pani Doll wołała do niego, on jednak nadal leżał bez ruchu. Nie odważyła się schylić i go podnieść, ona także nie czuła się pewnie na nogach. Spróbowała więc kopnąć go w bok, lecz nawet i kopniak, przy którym sama się omal nie przewróciła, nie zdołał obudzić śpiącego.

Znalazła się w trudnym położeniu. Od domu dzieliło ich dobre dziesięć minut drogi, nawet jeśli miała odwagę przejść ten odcinek sama, wzdrygała się na myśl o pozostawieniu leżącego na ulicy męża, co z pewnością stałoby się dla mieszkańców miasteczka doskonałą okazją do nowych plotek. Na szczęście dla Dollów na drodze zjawiło się dwóch rosyjskich żołnierzy. Pani Alma przywołała ich gestem, po czym rozwlekłą pantomimą wyjaśniła, co zaszło i co należy zrobić. Nie wiadomo, czy Rosjanie to pojęli, w każdym razie okazali wyrozumiałość dla śpiącego pijaka. Wzięli go na ramiona i ponieśli do domu. Roześmiani pożegnali się z młodą kobietą...

Jeśli sądziła, że zdoła uniknąć plotek, to grubo się myliła. W takiej miejscinie wszystko ma swoje oczy i uszy, nawet „Kuhdamm”, miejsce, przy którym „właściwie brak jakichkolwiek domostw”. A czego oczy nie ujrzały, należało sobie dopowiedzieć. Wkrótce od domu do domu zaczęła krążyć pogłoska, przekazywana dalej z drwiną i poczuciem tryumfu: „Ten Doll, co to chciał się swoim przemówieniem podlizać Rosjanom, łatwo dał się nabrać! Słyszała pani o tym? Jeszcze pani nie wie? No więc, proszę posłuchać: ta jego mowa tak się Rosjanom nie spodobała, że nieźle złoili mu skórę! Tak mocno go sprali, że nie dał rady wrócić do domu o własnych siłach, musieli go nieść dwaj rosyjscy żołnierze! Długo tam sobie poleży – dobrze mu tak!”.

Taką właśnie opowieść podawano sobie z ust do ust, wierzyli w nią wszyscy, na małomiasteczkową modłę, nawet ci, którzy w godzinach południowych widzieli pana i panią Doll przemykających pod oknami swych domów. Ogromny był ich tryumf. Nieledwie tydzień później tym boleśniejsza spadła na mieszkańców wieść, że ów stłuczony na kwaśne jabłko Doll został przez rosyjskiego komendanta mianowany burmistrzem.

Od tej pory trudno byłoby znaleźć kogoś, kto by po chwili namysłu nie stwierdził, że tak naprawdę zawsze miał o Dollu wysokie mniemanie i życzył mu wszystkiego, co najlepsze. Kiedy mieszkańcy z pół tuzina razy opowiedzieli o tym swym sąsiadom i znajomym, sami zaczynali w to wierzyć, gotowi zwymyślać od kłamców i oszczerców każdego, kto wspomniałby ich niegdysiejsze słowa o tym samym Dollu.

Doll niechętnie przyjął posadę burmistrza, właściwie dopiero wtedy, gdy otrzymał taki rozkaz. Nigdy nie był osobą publiczną, a już na pewno nie urzędnikiem, fakt, iż jeden jedyny raz, upojony alkoholem, wygłosił przemówienie, nie oznaczał jeszcze, że nadal miał ochotę udzielać się jako publiczny mówca. Tym bardziej że w owym czasie, jak już wspomniano, znalazł się w głębokim kryzysie wewnętrznym. Niewiara, zwątpienie w samego siebie oraz we własne otoczenie zadreęczały go, głębokie zniechęcenie paraliżowało jego siły, nikczemna zaś apatia niweczyła zainteresowanie wszelkimi zdarzeniami na tym świecie. Nadto instynkt podszeptował mu, że urząd ten, który kładł w jego ręce szczęście i nieszczęście jego współmieszkańców, jemu samemu przyniesie jedynie kłopoty i zmartwienia, a także ogrom pracy. „Jeśli zostaniesz burmistrzem – oświadczyła jego żona – ja wskoczę do jeziora!”. Kiedy jednak otrzymał rozkaz, poniechała tego zamiaru i została z nim, żyjąc odtąd wyłącznie dla niego i usiłując umilać mu tych kilka zaledwie godzin, które spędzał w domu. Dawne życie rodzinne bezpowrotnie jednak minęło.

Doll słusznie bowiem przewidział, że stanowisko burmistrza przyniesie mu niewiele radości, za to mnóstwo kłopotów i zmartwień. Przytłoczył go nadmiar pracy, której trudno było podołać, i choć jego okręg, obejmujący miasteczko oraz trzydzieści wiejskich gmin, nie zaliczał się do rozległych, musiał pracować od świtu do późnej nocy – dłużej nawet niż nadburmistrz największej światowej metropolii. Wiele trzeba było wznieść od nowa, wiele uregulować, urządzić i rozsądzić, a pomocnych narzędzi było jak na lekarstwo. Wszystko zostało zagrabione albo zniszczone przez nazistów i oddziały SS, w mieszkańcach zaś stłumiono chęć współpracy. Byli tak źli, tak małostkowi, tak egoistycznie nastawieni, że trzeba im było wydawać rozkazy, nakłaniać, często też grozić wymierzeniem kary. Za jego plecami robili wszystko, co w ich mocy, by szkodzić wspólnej sprawie. Ba, niejednokrotnie wyrządzali nawet szkody z czystej złośliwości, nie odnosząc z tego żadnych indywidualnych korzyści.

Wszystko to Doll z grubsza przewidział, krnąbrność i złośliwość mieszkańców raczej zachęcały go do działania. Wsparcie znajdował u oficerów Armii Czerwonej – kreślili i przygotowywali dalekosiężne plany, nie myśląc wyłącznie o terażniejszości. Doll nie zdołał jednak przewidzieć jednego: że ponownie zatraci w sobie poczucie własnej wartości, że również i ta praca zniweczy w nim część jego wewnętrznej istoty. Uczucie to wraz z upływem czasu potęgniało, nawet teraz, w najbardziej pracowitym okresie życia, Doll miał wrażenie – a razem z nim pewnie i niejeden Niemiec – jakby go obrabowano z ostatniej krzty wewnętrznego bogactwa. Nadzy winni tam stać, wyzuci z wszystkiego, w obliczu

kłamstw, które przez całe życie włączano im do głów jako najświętszą prawdę i mądrość, winni utracić cały swój skarb miłości i nienawiści, wspomnień, poczucia własnej wartości, godności. W owych godzinach Doll często powątpiewał, czy pustka w jego sercu kiedykolwiek się znów wypełni.

Przez dwanaście lat był przez nazistów szykanowany i prześladowany, przesłuchiowano go, aresztowano, zakazywano rozpowszechniania jego książek, to znów zakaz ów uchylano, szpiegowano jego rodzinę, słowem: odebrano mu wszelką radość życia. Z mniejszych czy większych przykrości, z wszystkich podłości, niegodziwości, okropności, jakie w ciągu owych dwunastu lat widział, o jakich słyszał, jakie wyczytał między wierszami chełpliwych wiadomości i artykułów, zrodziło się trwałe uczucie: uczucie bezmiernej, śmiertelnej nienawiści do tych tępicielei niemieckiego narodu, nienawiści tak głębokiej, że nie tylko kolor „brunatny”, o nie, nawet samo słowo „brunatny” napawało go obrzydzeniem. Doszło do tego, że wszystko, co brunatne, maniakalnie w swym otoczeniu przemałowywał.

Jakże często powtarzał żonie: „Tylko cierpliwości! Kiedyś się wreszcie doczekamy! A gdy to nastąpi, *ja* niczego nie puszczę w niepamięć, nikomu nie daruję, nie zamierzam być wielkoduszny – bo i któż zachowuje się wielkodusznie wobec jadowitego węża?!”.

Wyobrażał sobie, jak wyprowadzi z mieszkania szkolnego nauczyciela i jego żonę, jak będzie oboje przesłuchiwać, dręczyć, a w końcu ukarze tych dwoje, którzy nie mieli skrupułów, by z siedmio- i ośmioletnich dzieci uczynić szpiclów własnych rodziców! – Gdzie twój ojciec zawiesił portret Führera? – Co twoja matka mówi do ojca, gdy do drzwi puka człowiek z dzieła pomocy zimowej? – Jak rankiem zachowuje się twój ojciec: mówi „Dzień dobry” czy „Heil Hitler”? – Czy z waszego radioodbiornika słychać czasem język, którego nie rozumiesz?

O tak, nienawiść do tego wychowawcy młodzieży, który siedmiolatkom pokazał zdjęcia przedstawiające okropnie okaleczone zwłoki, nienawiść ta zdawała się głęboko zakorzeniona.

I ten oto Doll został burmistrzem, odwet zaś, o którym jakże często mówił, którego wyobrażeniami żywił swoją nienawiść, przypadł mu po części w obowiązek. Miał między innymi za zadanie podzielić tych nazistów na nieszkodliwych, biernych uczestników wydarzeń oraz aktywnych zbrodniarzy, miał ich wykurzyć z nor, w których się naprędce ukryli, usunąć ich z ciepłych posadek, które z równie wielką zręcznością co bezczelnością zajęli, odebrać im wyłudzone, zagrabione, wymuszony szantażem majątek, zarekwirować zgromadzone przez nich zapasy żywności, a w ich przestronnych mieszkaniach

umieścić uchodźców – wszystko to należało teraz do jego obowiązków. Choć prawdziwi „przywódcy”, główni winowajcy, już dawno uciekli na zachód, to jednak i pomniejsi narodowi socjaliści budzili obrzydzenie. Wszyscy oni – święcie oburzeni albo ze łzami w oczach – zapewniali, że wstąpili do partii wyłącznie pod przymusem lub co najwyżej z przyczyn ekonomicznych. Wszyscy byli gotowi złożyć stosowne oświadczenia, najchętniej niezwłocznie potwierdziliby je najświętszymi przysięgami przed Bogiem i całym światem. Wśród owych dwustu, trzystu narodowych socjalistów nie znalazł się ani jeden, który by wstąpił do partii „z wewnętrznego przekonania”.

– Niechże już pan podpisze oświadczenie – powtarzał wówczas zniecierpliwiony Doll. – Niczego to wprawdzie nie zmieni, lecz jeśli ma to pana uszczęśliwić...! W tym gabinecie od dawna wiemy, że tak naprawdę istniało na świecie jedynie trzech narodowych socjalistów: Hitler, Göring i Goebbels! To wszystko, następny!

Burmistrz Doll wraz z protokolantem oraz kilkoma policjantami (z początku były to czasem dość podejrzane typy) odwiedzał następnie domy i mieszkania narodowych socjalistów. W szafach znajdował całe góry pościeli, prawie nieużywanej, gdy tymczasem mieszkająca na poddaszu matka ewakuowana z Berlina, gdzie wskutek bombardowania straciła dach nad głową, nie wiedziała, w co odziać swoje dzieci. Ich szopy wypełnione były aż po powałę suchym drewnem i węglem, lecz na drzwiach wisiała solidna kłódka, broniąc wstępu tym, którzy nie mieli na czym ugotować zupy. W piwnicach tych brunatnych chomików stały worki ze zbożem („To przecież tylko karma dla kur!”), ze śrutą („Dostałem na talon z urzędu dla mojej świni!”), z mąką („To nie jest prawdziwa mąka, tylko zamieciony pył z młyna!”). Regały w ich spiżarniach ugięły się pod ciężarem zapasów, lecz do każdego towaru przyklejali stosowne kłamstwo. Na twarzach mieli wypisany strach o swoje drogocenne życie, lecz nawet i on nie zdołał ich teraz powstrzymać przed obroną swych kosztowności: Wszystko zostało zdobyte legalnie! Stali nawet przy wozach, na których wywożono ich zachomikowane skarby, nie wazyli się co prawda na groźby, lecz ich oblicza wyrażały święte oburzenie z powodu wyrządzonej im niesprawiedliwości!

W trakcie owych konfiskat Doll obnosił się zawsze z gniewną i zaciekłą miną, napełniało go jednak wyłącznie uczucie wstrętu i znużenia. On, który najchętniej zamknąłby się we własnym świecie, który nawet w małżeństwie bronił swego świętego prawa do samotności, musiał teraz przez cały niemal dzień przebywać wśród ludzi, rozmawiać z nimi, wymuszać, patrzeć na płynące łzy, słuchać

szlochów, protestów, żalów i prośb. Jego głowa przypominała często wypełnioną łoskotem otchłań.

Czasem przemykała mu przelotna myśl: „Gdzie się właściwie podziała moja nienawiść? To przecież ci sami naziści, którym poprzysiągłem zemstę, ich zaś haniebnych niegodziwości nigdy nie chciałem zapomnieć ani wybaczyć. A teraz stoję oto, nie czując nic prócz obrzydzenia, i tęsknię tylko za moim łóżkiem, w którym chciałbym spać, spać, spać, i o wszystkim zapomnieć – byleby tylko już więcej na to bagno nie patrzeć!”.

W trakcie tych przeciążonych pracą dni i tygodni nigdy jednak nie miał dla siebie czasu. Nie potrafił myśleć wyłącznie o sobie, jego umysł wciąż zajmowały inne sprawy. Niekiedy dręczyło go niepokojące wrażenie, jakby wszystko się zeń wysączało, aż któregoś dnia zostanie z niego jedynie pusty, pokryty skórą szkielet. Nie miał jednak czasu na dalsze rozmyślenia, nie miał pewności, czy rzeczywiście nie czuje już nienawiści do nazistów, czy może po prostu jest nazbyt znudzony, by w ogóle żywić jakiegokolwiek uczucia. Nie był już człowiekiem, a jedynie burmistrzem, pracującą maszyną.

W jednym jedynym przypadku w sercu Dolla zdawała się wciąż odżywać przeszła nienawiść. Z dawien dawna żył w miasteczku niejaki pan Zaches, mieszkali tu również jego rodzice i dziadkowie, był zatem prawdziwym autochtonem, cieszącym się poważaniem wśród mieszkańców. Ów Zaches do dnia tak zwanego przejścia władzy prowadził niewielki, nędznie prosperujący sklepik z piwem. Z wody źródlanej, dwutlenku węgla i kolorowych esencji wytwarzał też ulubioną przez dzieci lemoniadę, a wśród klientów restauracji rozprawdzał wyroby tytoniowe. Wszystko to jednak nie wystarczało na utrzymanie rodziny. Musiał więc zaprząć obie chabety, rozwożące do tej pory wyłącznie piwo, do wszelkiego rodzaju prac transportowych. Z dworca woziły bagaże i skrzynie, a z lasu drewno, drobnym rolnikom pomagały orać pola. Mimo to Zaches wiódł żywot nędzarza, przez cały czas groziło mu bankructwo, rezygnacja każdego klienta oznaczała prawdziwą katastrofę, dzień zaś zapłaty uiszczanej na rzecz browaru to był sądny dzień dla wszystkich członków jego rodziny.

Wraz z „przejściem władzy” wszystko radykalnie się zmieniło. Jak wielu przedsiębiorców, którym przed rokiem 1933 groziła upadłość, Zaches wstąpił do partii, zaślepiony frazesami o zerwaniu kajdan wyzysku oraz obietnicami powszechnego dobrobytu. Polityka rzecz jasna w ogóle go nie interesowała, dbał tylko o własne dochody, a te po roku 1933 rzeczywiście wzrosły. Z początku niepostrzeżenie, potem z coraz większą zuchwałością udaremniał plany swych

konkurentów, którzy nie okazali dość rozsądku, by na czas wstąpić w szeregi partii. Zmuszał właścicieli gospód, by zaopatrywali się wyłącznie u niego, tym zaś, którzy okazywali się uczynni, sam wyświadczał czasem przysługi. Usuwał drobne polityczne przeszkody, wstawiając się u burmistrza, zapewniał profity, bezwzględnie wykorzystywał swą pozycję we wszelkich możliwych komisjach, zarządach i radach. Kto się mu sprzeciwił, tego kazał szpiegować, po kryjomu gromadził materiały na jego temat, potem mu groził albo coraz mocniej zaciskał sidła, w zależności od tego, co akurat wydawało się bardziej korzystne.

Interes rozkwitał. Prócz koni pociągowych trzymał teraz osobny zaprzęg do rozwożenia skrzyń z butelkami oraz beczek. Z usłużnego, zawsze uprzejmego biedaka przemienił się w członka partii narodowosocjalistycznej, pana Zachesa zasiadającego w jednym czy drugim zarządzie, człowieka, który potrafił przemawiać z zaciętością w głosie, wiedząc, że stoją za nim duże pieniądze oraz partia decydująca o szczęściu i nieszczęściu, o życiu i śmierci obywateli. Zaches stał się otyły, jedynie niezdrowa, blada cera oraz przeszywające, nieprzyjemne spojrzenie jego ciemnych oczu świadczyły o minionych latach ubóstwa. Wybuch wojny nie wpłynął na wysokość jego olbrzymich dochodów, mimo że w jego sklepie zaczęło brakować poszukiwanych produktów – wręcz przeciwnie, więcej zarabiał na obrocie skąpym, choć kiepskim towarem. Nadto wymarsz na front tak wielu mężczyzn otworzył przed nim drogę do licznych nowych stanowisk, a biorąc przykład z jakże wielu narodowych socjalistów, nie czuł się zobowiązany do przestrzegania zarządzeń o reglamentacji żywności. Ze wsi przywoził wszystko, co potrzebne, słoninę, jaja, drób, masło i mąkę, a czego sam nie zdołał przejeść, sprzedawał po wygórowanych cenach, przekonany, że starego członka partii nic złego za to nie spotka.

Tak też było w istocie – aż do wkroczenia Armii Czerwonej. Zaches został aresztowany jako jeden z pierwszych. W jego przypadku oświadczenie, iż wstąpił w szeregi partii wyłącznie ze względów ekonomicznych, z pewnością nie było kłamliwe, niemniej przez lata całe na tyle samolubnie działał na szkodę własnego narodu, że względy ekonomiczne w żadnej mierze nie umniejszały jego winy. A jednak znów miał więcej szczęścia, niż na to zasługiwał. Wkrótce trzeba mu było ponownie przyznać pewien zakres swobody, gdyż okazał się potrzebny w miejskiej mleczarni. W młodości Zaches wyuczył się fachu mleczarza, nawet w trudnych czasach służył tam czasem pomocą, stąd też doskonale się do tego nadawał. Chcąc nie chcąc, należało go tam zatrudnić, choć nikt tego nie pochwalał. A najmniej sam Doll. Wyżywienie dzieci i matek wymagało jednak, by polityczny interes odsunąć na dalszy plan.

Po pewnym czasie do uszu burmistrza dotarły niepokojące pogłoski. Wezwał do siebie Zachesa, niegdysiejszego handlarza piwa, a obecnie kierownika mleczarni.

– Proszę posłuchać, Zaches! – przemówił do tego bladego, lecz nadal otyłego człowieka, który nie śmiał mu spojrzeć prosto w oczy. – Ludzie sporo mi opowiadają o wielkim składzie towarów, jaki trzymasz pan podobno w ukryciu. Jak to jest naprawdę?

Zaches rzecz jasna zapewnił, że żadnego składu nie posiada. Otwarcie przyznał się, że w siedmiu miejscach w ogrodzie zakopał skrzynie z winem i wódką. Wszystkie zostały odkopane, stąd nie ma już żadnych ukrytych zapasów.

Mimo owych prostodusznych wyjaśnień Zachesa Doll obrzucił go przenikliwym spojrzeniem i odparł:

– O tych siedmiu kryjówkach wiedzą w mieście wszyscy. A mimo to uparcie krąży pogłoska, że to, co w nich znaleziono, to zaledwie drobnostka wobec wielkiego, nieodkrytego jeszcze...

– Ależ nie ma żadnego składu, panie nadburmistrzu – zaklinał się Zaches. – Wszystko zostało zabrane. Nic więcej nie posiadam.

– Niech pan to jeszcze raz powtórzy, Zaches, i patrzy przy tym na mnie!

– Że co? – Zaches poczuł się zmieszany tak niecodziennym poleceniem. – Mam...?

– Ma pan mnie, obojętne czy jako nadburmistrza, czy zwykłego burmistrza, raz jeszcze zapewnić, że nie istnieje żadna kryjówka, patrząc mi przy tym prosto w oczy!

Tego Zaches jednak nie potrafił. Już przy trzecim czy czwartym słowie odwrócił wzrok, i choć przywołany do porządku, po chwili ponownie zaczął błądzić. Zmieszał się, zająknął, aż w końcu umilkł...

– No tak – rzekł burmistrz powoli po dłuższej chwili milczenia – teraz już wiem, że pan kłamie. W pogłosce kryje się więc ziarno prawdy.

– Ależ skąd, panie nadburmistrzu! Na życie mojej matki...

– Ach, niechże pan sobie daruje, Zaches! – odparł Doll z obrzydzeniem. – Proszę się zastanowić, używając przy tym rozumu... Pan zawsze był nazistą...

– Ale nigdy prawdziwym, panie nadburmistrzu! Wstąpiłem do tej przeklętej partii tylko dlatego, że miałem nóż na gardle. Tylko dlatego, że w przeciwnym razie musiałbym ogłosić bankructwo, to szczerą prawdą, panie nadburmistrzu!

– Nie ma pan najmniejszych szans na odzyskanie swej własności, a już na pewno nie skorzysta pan z ukrytych przez siebie zapasów! Lecz sprawy przybrały taki oto obrót – przekonywał Doll – że wszystkie odnalezione przeze mnie dobra

my, Niemcy, możemy zatrzymać dla siebie. W tym mieście, Zaches, są setki ludzi, którym brakuje najpotrzebniejszych rzeczy, dobrze pan o tym wie. Jest też nowy szpital, leży w nim już osiemdziesięciu chorych. Jak dobrze zrobiłby niektórym kieliszek wina, jakże szybko poprawiłby się nastrój przygnębienia, gdybyśmy mogli rozdać choćby kilka papierosów! Niechże pan będzie człowiekiem, Zaches, niech pan choć raz pomyśli nie tylko o sobie, lecz także o tych wszystkich, którym się kiepsko wiedzie. Niechże im pan pomoże! Proszę pomyśleć, uczyni pan wielkoduszny gest. Niech pan powie, gdzie mieści się pańska kryjówka!

– Z chęcią pomógłbym tym ludziom – odparł otyły mężczyzna ze łzami wzruszenia w oczach. – Ale nic więcej nie posiadam, naprawdę nic mi już nie zostało, panie nadburmistrzu! Niech mnie piekło pochłonie, jeśli cokolwiek jeszcze ukrywam...

– Przez dwanaście lat prowadził pan dostatnie życie, Zaches – ciągnął Doll, zdając się głuchy na jego gorliwe zapewnienia – a nigdy nie pomyślał pan o bliźnich. Teraz sam pan już co nieco wie – a to dopiero sześć tygodni, Zaches, sześć tygodni! – jak ciężka jest praca, do której człowiek nie nawykł, jak wielkim cierpieniem jest głód. Niechże przynajmniej raz pomyśli pan o innych, o tych, którzy muszą się bez tego wszystkiego obejść. Niech pan całemu miastu udowodni, że niesłusznie pana obmawiają, że potrafi się pan zachowywać przyzwoicie! Niech mi pan wyjawí swoją kryjówkę!

Przez chwilę wydawało się, że Zaches się waha, lecz zaraz potem znów powrócił do swoich zapewnień i okropnych przysiąg. Przez godzinę burmistrz męczył się rozmową z dawnym handlarzem piwa. Im dłużej to trwało, tym mocniej był przekonany, że ten człowiek coś jednak ukrywa, może nawet bardzo wiele, nie sposób jednak było cokolwiek z niego wydobyć. Zdemoralizowany i zepsuty do szpiku kości. Nie pomogły nawet groźby, co się z nim stanie, jeśli cokolwiek zostanie odnalezione. Pal licha mleczarnię, do najciemniejszego lochu go wsadzą, trzymać będą o chlebie i wodzie, całymi dniami będzie musiał dźwigać ciężkie worki ze zbożem.

– Długo pan tak nie wytrzyma, Zaches. Jest pan taki nabrzmiały od alkoholu! I pewnie ma pan też cukrzycę! To zupełnie bezsensowne kłamstwo przypłaci pan pewnie życiem!

Wszystkie owe słowa na nic się zdały, nie zdołał nakłonić tego człowieka do ujawnienia kryjówki. Siedział niby mały, złośliwy chomik na swoich zapasach, i wolał raczej dać się zabić niż z nich zrezygnować. Zmarnowana godzina... Wzruszając ramionami, Doll polecił odprowadzić mężczyznę z powrotem do

mleczarni. Ani przez moment jednak nie wątpił w to, że owa kryjówka rzeczywiście istnieje, prawdopodobnie wypełniona cennymi towarami. W końcu, w natłoku setek innych spraw, burmistrz poniechał dalszych rozważań o handlarzu piwem.

Jak duża i świetnie wyposażona była owa kryjówka, Doll dowiedział się kilka dni później z ust szefa policji.

– Niech pan się uda na Seestraße, panie burmistrzu, i zobaczy, co Rosjanie wynoszą z piwnicy Zachesa!

– No, no! – odparł Doll, siląc się na obojętność, choć serce przepełniały mu smutek i złość. – Czyli kryjówkę jednak odnaleziono? Zawsze byłem przekonany o jej istnieniu, odkąd przesłuchałem tego człowieka. Właściwie to sam chciałem jej poszukać, a jednak się nie przemogłem...

– I tak by pan nie znalazł – pocieszył go szef policji. – Ten Zaches już ponad rok temu zamurował swoją piwnicę. Ech, ci naziści, widać, jak głęboko wierzyli w zwycięstwo swojego Führera! Nie, nikt nie zdołałby tej kryjówki odnaleźć, ktoś zdradził jej umiejscowienie.

– Kto taki?

– Dawna pomoc domowa Zachesa. Ma oczywiście nadzieję, że coś tam od Rosjan dostanie. Lecz oni na to gwizdzą, wiedzą, ile są warci tacy donosiciele!

W ciągu dnia Doll dowiedział się, jak bogate zapasy zgromadził ten skromny członek NSDAP, a wtedy na powrót ogarnął go gniew. Poleciał natychmiast przyprowadzić z mleczarni Zachesa.

– No, Zaches! – rzekł do mężczyzny, który o wszystkim już wiedział, gdyż takie wieści szybko się w małym miasteczku rozchodzą. – Odkryto pański składzik. Ileż to dni temu stał pan tutaj i zaklinał się na życie własnej matki, że niczego nie ukrywa?! Ty zakłamanym draniu!

Zaches nie odpowiedział, spuścił tylko głowę, jego wzrok błędził to tu, to tam, ani razu nie spojrzał na burmistrza.

– Wie pan, jak bardzo zaszkodził pan miastu, zaszkodził pan wszystkim Niemcom?! – Burmistrz zaczął wyliczać: – Furgon pełen tytoniu, cygar i papierosów. Dwa furgony wina i wódki. A wszystkie te dobra zostały skradzione niemieckiemu narodowi. Miał je pan rozdzielić wśród ludzi, lecz pan oczywiście wciąż kłamał, twierdząc, że nie ma żadnego towaru. I wszystko zatrzymał dla siebie, zgodnie ze starym dobrym hasłem pańskiej partii: dobro indywidualne przed dobrem wspólnym!

Zaches jeszcze bardziej pobladł i poszarzał, usiłował przetrwać tę rozszalałą burzę gniewu, nie odezwał się ani słowem.

– Ale to nie wszystko – wyliczał dalej Doll. – Do tego furgon pełen pościeli, gdy tymczasem w szpitalu brakuje prześcieradeł, ręczników. Pięć dużych radioodbiorników, trzy maszyny do pisania, dwie maszyny do szycia, lampa kwarcowa i cały wóz pełen ubrań i innych rzeczy. Tfu! Ty łotrze, ty zdrajco własnego narodu, ileś tego nakradł!

Doll coraz gniewniej patrzył na Zachesa, oburzony jego tępą drętwotą. Poprzednio nie zdołał wydusić zeń choćby iskierki życia, jakiegokolwiek znaku ludzkich uczuć – i tym razem było podobnie!

– Wie pan – ciągnął Doll, pogrążony w myślach – czy pan się w ogóle zastanawiał, jak bardzo niweczy pan tę resztkę poważania, jakim być może cieszą się jeszcze Niemcy?! Kiedy idę do komendantury po prośbie, bo znów brakuje jedzenia dla małych dzieci, gruźlików, ciężko chorych, bo w szpitalu nie ma już więcej wolnych łóżek – wie pan, co słyszę wówczas w odpowiedzi? „Burmistrz sam musi poszukać. Niemcy mają wszystko, tylko trzymają w ukryciu. Wszyscy Niemcy to kłamcy i oszuści. Burmistrz, wystarczy poszukać!”. I rzeczywiście, Rosjanie mają rację! Jakże mieliby w to nie wierzyć, skoro coś takiego znajdują u ciebie, ty nikczemny draniu?! A teraz setki ludzi nadal będą cierpieć, boś ty, łajdaku, na czas nie otworzył gęby!

A wtedy ów zbesztany i zwymyślany człowiek po raz pierwszy i zarazem ostatni otworzył usta i wypowiedział zdanie, zdanie w iście narodowosocjalistycznym duchu, doskonale oddające sposób myślenia członków partii:

– Ja bym panu burmistrzowi wyjawiał moją kryjówkę, gdyby mi pan obiecał oddać część tych rzeczy, choćby i niewielką...

Burmistrz Doll stał przez chwilę bez ruchu, wstrząśnięty tym bezwstydnym, przerażającym egoizmem, który pozwalał dostrzec cierpienia innych, jeśli tylko sam ich nie doznawał. Powrócił wówczas pamięcią do rozmowy, jaką niedawno odbył z adiutantem komendanta. Adiutant ów opowiadał, jak to szeregowi żołnierze Armii Czerwonej wyobrażali sobie, że Niemcy żyją podobnie jak ich własny naród: wskutek wojny popadli w najstraszliwszą nędzę, groziła im śmierć głodowa... Tylko w ten bowiem sposób mogli wytłumaczyć doszczętne plądrowanie przez Niemców ich ojczyzny. Potem jednak wraz z pochodem armii dotarli do niemieckiej krainy – i co ujrzeli na własne oczy? Rolnicze wioski tak okazałe i bogate, jakich w swej ojczyźnie zupełnie nie znali, stajnie wypełnione dorodnym bydłem, zdrową, sytą ludność. A w solidnych kamiennych domach rolników znaleźli nie tylko ogromne radioodbiorniki, lodówki, wszelkie wygody życia, nie, pomiędzy nimi zobaczyli również tanie, nędzne maszyny do szycia

z Moskwy, barwne chusty z Ukrainy, ikony z rosyjskich kościołów, wszelkie owe zrabowane, skradzione dobra. Oto bogaty człowiek ograbił biedaka, który nic nie posiadał. W sercach czerwonoarmistów zbudził się wówczas dziki gniew na tych Niemców oraz głęboka pogarda dla narodu, który zatracił poczucie wstydu, nie potrafił pohamować własnej żądz, chciał wszystko zagarnąć, wszystko pojąć na własność, nie bacząc, czy tamci od tego nie szeszają.

I oto prawdziwy przedstawiciel tego narodu stał teraz przed swym burmistrzem. Tacy właśnie byli, w końcu przestało ich obchodzić, kto ostatecznie szesznie: Rosjanie czy Niemcy. U tych, którzy kierowali się w życiu głównie partyjnymi hasłami, nie sposób było znaleźć choćby śladu owego poczucia wspólnoty, charakteryzującego cały naród. Ze wszystkiego zapragnęli zrobić interes, który przyniesie im profity, nieistotne, czy zrujnuje on tysiące. Ten jeden człowiek reprezentował tak wielu. Doll polecił policjantowi go wyprowadzić, tym jednak razem do lochu, trzymać o chlebie i wodzie; jego posadę w mleczarni obejmie ktoś inny. Przez cały dzień będzie pod surowym nadzorem dźwigał worki, może ten zdrajca własnego narodu niebawem szesznie!

Dawny handlarz piwa Zaches odszedł; Doll nigdy więcej go nie zobaczył, nie poznał też dalszych jego losów. Wkrótce potem bowiem Doll zapadł ciężko na zdrowiu, przeżycie to z pewnością przyspieszyło rozwój choroby.

Mężczyznę zabrano, burmistrz został w izbie sam. Siedział przy biurku, głowę podparł dłońmi. Poczł, jak uchodzi z niego wszelki gniew, napełnia go zaś głęboka, bezimienna rozpacz. Gniew łatwiej było znieść niż tę rozpacz pozbawioną jakiegłkolwiek nadziei. Odkrył naraz, że w otchłaniach owej rozpaczycy zatraciła się nawet jego nienawiść. Mozolnie przywołał w pamięci wszystko, czego zaznał od nazistów: długoletnie prześladowanie, aresztowanie, inwigilacja, groźby, niezliczone zakazy. Na próżno – nie żywił już do nich nienawiści. I uświadomił sobie przy tym, że nie odczuwał jej od dłuższego już czasu. Kiedy przeprowadzał konfiskaty majątków członków partii, gdy działał przy tym ostro i zdecydowanie, robił to wyłącznie w poczuciu obowiązku. Z niejakim przerażeniem uzmysłowił sobie, że nie inaczej postępował w przypadku ludzi do partii nienależących. Wszyscy, wszyscy oni w równym stopniu byli dlań godni pogardy. Nie potrafił ich dłużej nienawidzić, byli jedynie małymi złośliwymi zwierzątkami. Tak, właśnie tak postrzegali go z żoną pierwsi rosyjscy żołnierze, a teraz on patrzył w ten sam sposób – i to na wszystkich Niemców.

Sam jednak do nich się zaliczał, był Niemcem, a słowo to stało się w świecie wyzwiskiem. Był jednym z nich, nic go spośród nich nie wyróżniało. Istnieje stare powiedzenie, które nic nie straciło ze swej wymowy: razem pojmani, razem

powieszeni. On także jadł chleb zagrabiony plądrowanym narodom. A teraz obróciło się to przeciw niemu! O tak, wszystko to prawda, nie mógł ich nienawidzić, choćby dlatego, że sam był jednym z nich. Pozostała mu jedynie bezsilna pogarda – sobą zaś gardził nie mniej niż innymi.

Jakie to słowa usłyszał w komendanturze? Wszyscy Niemcy to kłamcy i oszuści. Splot przypadkowych zdarzeń sprawił, że został burmistrzem tego miasteczka, a teraz każdego dnia na nowo udowodniano mu prawdziwość owego stwierdzenia. W jego głowie kotłowały się wspomnienia: znów ujrzał przed sobą kobietę, matkę dwójki małych dzieci. Łzy płynęły jej po twarzy, spadające na Berlin bomby zabrały jej wszystko, została z pustymi rękami, ani łóżka, ani garnka, nic, w co mogłaby odziać swe dzieci.

– Niechże się pan zlituje, panie burmistrzu, nie może mnie pan tak odprawić! Jakże mam wrócić do moich dzieci?!

Burmistrz także nic nie posiadał, a jednak postanowił działać. Poszukał miejsca, gdzie partyjni towarzysze przechowują swe dobra, z ich nadmiaru uszczknął coś dla owej kobiety, niewiele, lecz musiało wystarczyć. Nazajutrz jednak stanęła przed nim druga zapłakana kobieta, sąsiadka obdarowanej, matka z dziećmi na utrzymaniu, równie anemiczna, mówiąc, że tamta, dopiero co zaopatrzona, w nocy ukradła jej, sąsiadce, parę rozwieszonych na sznurku szmat! Niemcy przeciw Niemcom, każdy tylko z myślą o sobie, wciąż walczący przeciwko wszystkim i całemu światu.

Burmistrz przypomniał sobie również furmana, który miał zawieźć do domu starców rzeczy pewnego sparaliżowanego człowieka. Kiedy dotarł na miejsce, na wozie brakowało wszelkich przydatnych przedmiotów, zostały skradzione albo przez samego woźnicę, albo – wedle jego zapewnień – przez przechodniów. Niemcy przeciw Niemcom!

Powrócił też pamięcią do podłego lekarza, który pałając żalosną chęcią zemsty z dawnych lat, uznał chorą kobietę za zdrową, ba, za zdatną do ciężkiej pracy. Lekarz, który dostępne w skąpych ilościach lekarstwa hojną ręką przydzielał znajomym, nigdy jednak zwyczajnym ludziom czy własnym wrogom. Ci mogli cierpieć, ba, cierpieć powinni, coraz mocniej, dotkliwiej! Niemcy przeciw Niemcom!

Pamiętał, jak sobie nawzajem wykradali konie ze stajni i drób, i mozolnie utuczone króliki, jak się zapuszczali do cudzych ogrodów, wrywali z ziemi warzywa, a z drzew zbierali niedojrzałe jeszcze owoce, łamiąc przy tym dorodne konary, z pożytkiem dla nikogo, ze szkodą dla wielu. Jakby na wolność wypuszczono hordę szaleńców, którzy bez żadnych zahamowań ulegali swym

obłąkańczym instynktom. Wiedział o ich denuncjacjach, całkiem irracjonalnych nierzadko oskarżeniach, których fałszywość była oczywista, wysuwanych z czystej złośliwości, byleby tylko sąsiada nastraszyć, wpędzić go w przerażenie! Niemcy przeciw Niemcom!

Doll siedział przy swoim burmistrzowskim biurku z głową podpartą dłońmi, pusty, wyzuty z wszelkich doznań. Złudna to myśl, że cały świat tylko czeka na to, by pomóc niemieckiemu narodowi wydostać się z tego bagna, z tego ogromnego bombowego leja, do którego wojna ich wszystkich cisnęła. Ułudą było również sądzić, iż on, burmistrz Doll, będzie postrzegany inaczej niż pozostali jego rodacy. Podobnie jak oni wszyscy był jedynie małym, złośliwym zwierzęciem. Nie podawano mu ręki, unikano wzrokiem, traktowano jak powietrze.

I mieli powód, by nienawidzić Niemców, by nimi pogardzać, wszystkimi bez wyjątku. Doll także przecież nienawidził, choćby starego weterynarza i kilku innych, żywił też powszechną nienawiść do wszystkich nazistów, do każdego z osobna. A jednak owa nienawiść, mała czy przeogromna, opuściła go, gdyż sam był równie godny nienawiści jak znienawidzeni.

Nic mu nie pozostało, Doll był wewnątrz pusty – owładnęła nim głęboka apatia. Apatia spowijająca go przez ostatnie miesiące, na pewien tylko czas przykryta przez ożywioną, acz wymuszoną działalność w roli burmistrza. Spojrzał na biurko, pełne spraw wymagających bezzwłocznego załatwienia – jakież to jednak miało jeszcze sens? Skazani zostali na zagładę, on i wszyscy pozostali! Wszelkie wysiłki stały się daremne!

Drzwi otworzyła sekretarka.

– Ktoś z komendantury do pana. Ma pan niezwłocznie udać się do komendanta, panie burmistrzu!

– Tak, dobrze – odparł. – Wyruszam natychmiast...

A jednak tego nie zrobił, przez dłuższą chwilę tkwił nieruchomo w miejscu. Sekretarka jeszcze kilka razy musiała mu przypomnieć o wezwaniu komendanta. Nie myślał o niczym konkretnym, co by go wyrwało ze stanu apatii, również i ta droga pozbawiona była sensu, podobnie jak pozostałe, dla Niemca bowiem wszystkie drogi zatracały się w nicości...

Nie, siedział bez ruchu, bez wyraźnie sprecyzowanych myśli. Jeśliby chciał nakreślić stan swego ducha, rzekłby prawdopodobnie, iż spowiła go mgła, mgła szara, nieprzenikniona, przez którą nic nie było się w stanie przebić, ani wzrok, ani dźwięk. I nic więcej...

W końcu, na usilne napomnienie sekretarki, wstał i ruszył do siedziby komendantury, którą odwiedzał już setki razy. Było mu to równie obojętne jak wszystko, co mógł teraz zrobić. Nie o to chodziło. O nic już nie chodziło – nie chodziło nawet o pana doktora Dolla. Poczł się bowiem do głębi zraniony, w samym środku swego istnienia, utracił swój instykt samozachowawczy.

Wkrótce potem Doll ciężko się rozchorował, przestał być burmistrzem. Żona, również chora, zawiozła go do szpitala okręgowego...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przyjazd do Berlina

Pierwszego września owego bezlitosnego roku 1945 pan i pani Doll wyruszyli do Berlina. Niemal dwa miesiące przeleżeli w szpitalu, nawet teraz nie czuli się w pełni zdrowi. Pognał ich jednak niepokój, że przez dłuższą nieobecność mogą stracić swe berlińskie mieszkanie.

Pociąg, który miał odjechać w południe, odprawiono dopiero o zmroku; wagony, o potłuczonych szybach i brudnych przedziałach, były przepełnione. Wszyscy w złośliwych nastrojach rzucili się do pogrążonych w mroku przedziałów, wybuchali gniewem przy najdrobniejszym słowie, a każdego konkurenta zabiegającego o miejsce do siedzenia postrzegali jak osobistego wroga.

Dollom udało się co prawda znaleźć dwa miejsca siedzące, zaraz jednak zostali niemal zgnieceni przez siedzących obok oraz stojących wokół nich pasażerów. Skrzynie uderzały ich po nogach, plecaki boleśnie ocierały im twarze. Wokół panował tak gęsty mrok, że nie sposób było cokolwiek dojrzeć, wśród smrodu, jaki mimo rozbitych szyb w oknach wypełniał przedział, dawała za to o sobie znać nienawiść wszystkich do każdego. Zaduch był iście piekielny, wciąż przybierał na sile wraz z dosiadającymi się po drodze pasażerami, którzy zapełnili przedział ponad wszelką możliwą miarę, łącząc w myślach każdego, kto zajmował miejsce siedzące.

Dosiadali się głównie grzybiarze z Berlina, siedzącym podróżnym stawiali na kolanach kosze pełne grzybów i zniechęceni mruclili pod nosem, że zaraz je zabiorą. Z powodu ogólnego ścisku nikt ich jednak nie ruszał. Pani Doll trzymała na kolanach cztery, Doll zaś trzy kosze.

Nie protestowali jednak, nie odpowiadali pasażerom i w ogóle nie mieszcali się do rozmów. Byli zbyt osłabieni i chorzy, by wdawać się w tego rodzaju kłótnie. Podtrzymywała ich na duchu myśl, że uda im się zatrzymać mieszkanie, szczególnie Dollowi jawiła się ona jako ostatnia sposobność, by rozpocząć nowe, inne życie.

Doll wiedział, że owa myśl o mieszkaniu była płonna, nie chciał jednak odbierać losowi nadziei na jego ocalenie – jak czasem mawiał drwiąco do żony, która wskutek ustawicznych dolegliwości żółciowych popadła w zniechęcenie,

dostając się w szpony swego depresyjnego nastroju: „Wkrótce przyjdzie nam pewnie umrzeć, lecz w wielkim mieście można to zrobić w najmniej zauważalny i najwygodniejszy sposób. Pomyśl tylko o gazie!”.

W odróżnieniu od innych Dollowie wieźli z sobą niewiele bagażu. Mieli zaledwie jeden miejski kuferek, w którym oprócz odrobiny chleba zmieściły się puszka z mięsną konserwą oraz torebka z ćwiercią funta kawy ziarnistej, do tego dwie książki i trochę przyborów toaletowych. Doll miał na sobie cienki letni garnitur, pani Doll natomiast pożyczyła od koleżanki jasny letni płaszcz. W kieszeni miał Doll ledwie trzysta pożyczonych od znajomego marek. Jedyłą kosztownością, jaką posiadali, był pierścionek z brylantem, tkwiący na palcu młodej kobiety.

Pociąg monotonnie zatrzymywał się na każdej stacji, a kiedy już ruszał, toczył się powoli. Dollowie ponurym wzrokiem patrzyli na ogniste kreski i punkty wyrzucane w mrok nocy z komina opalanej brunatnym węglem lokomotywy – podczas wojny widzieli zbyt wiele fajerwerków, by znaleźć w nich upodobanie. Każde ich wspomnienie sprawiało ból. W blasku tańczących światełek mogli jednak rozpoznać stojące na stopniach postaci, skulone i odwrócone plecami do gęstego strumienia iskier. Zawartość ich plecaków musiała być bardzo cenna, skoro trzymając się jedną ręką zimnego mosiężnego drążka, narażali się na upadek oraz przypalenie i osmalenie swych kosztownych ubrań.

W większości plecaków tkwiło jednak nie więcej niż garść ziemniaków albo torebka mąki, albo parę funtów grochu, pożywienie wystarczające w najlepszym razie na tydzień. A jednak zwieszali się w deszczu iskier i zimnie, z niemal oziębiającym oddaniem pozwalali osmalić sobie odzież. Wszyscy podróżujący byli to prości ludzie, na ich pakunki czekały już pewnie żony z licznym potomstwem. Speculanci, którzy za swoje towary zdobywali rzeczy kosztowniejsze: masło, słoninę, jajka, którzy przywozili całe worki ziemniaków i mąki, ci nie podróżowali z narażeniem życia, lecz w zamian za część zysku wynajmowali kierowców ciężarówek, na tych nie czekały głodujące dzieci...

Któż jednak był spekulantem, a kto nie? Kiedy Dollowie w zupełnie ciemności przedziału podjadali chleb i mięso, mimo panującego smrodu niektórzy wyczuli woń pożywienia i zaczęli uszczypliwie rozprawiać, kto dziś może sobie pozwolić na jedzenie mięsa. Tu z pewnością dzieją się rzeczy podejrzone, trzeba by się temu lepiej przyjrzeć, i to przy świetle!

Państwo Dollowie nie odezwali się ani słowem, spiesznie skończyli jeść, co mieli jeszcze w dłoniach, resztę schowali z powrotem do kufierka i mocniej do siebie przywarli. Pani Doll otuliła ich oboje pożyczonym płaszczem, robiło się

coraz chłodniej. Wzięli się w ramiona, całkiem do siebie przyłgnęli. Gdy pani Doll z resztki tytoniu skręciła papierosa, natychmiast rozległ się ostry głos:

– To już trzecia, która tu pali! Ciągłe powtarzam: jedni mają wszystko, inni nigdy nic nie dostają, choćby nie wiem co się działo!

Rozmowa zeszała na kwestie ogólniejsze: wciąż obecne spekulancstwo i układy. O Dollach na chwilę zapomniano. Szeptali do siebie o swoim berlińskim mieszkaniu. Od marca nie mieli o nim żadnych wieści. Teraz, gdy zbliżali się do celu, gdy znów mieli przed sobą jakiś cel, tym ciężiej im było na sercu. W mieście toczyły się zacięte walki, podobno mnóstwo budynków zostało od tego czasu zniszczonych – może ich mieszkanie w ogóle już nie istnieje?

– To by dopiero było! Cała ta podróż, w takim zimnie, a tu się okazuje, że mieszkania już nie ma! Śmiechu warte!

– Mam przecucie, że wszystko się zachowało w niezmiennym stanie. A pokój Petty bez większego trudu doprowadzimy do porządku, niewiele tam zniszczeń!

– Ach, ty moja pocieszycielko!

– A jak myślisz, ilu mam w Berlinie dobrych znajomych?! Kiedy żył jeszcze mój były mąż, pomogliśmy wielu ludziom – teraz oni mogą coś dla nas zrobić! Myślę przede wszystkim o Benie. Ben miał matkę Angielkę, teraz z pewnością się odwdzięczy. Ernst – pierwszy mąż młodej kobiety – wyciągnął go z kacetu, tego nigdy mi nie zapomni!

– Miejmy nadzieję, Almo! Bądźmy dobrej myśli, choć to nic pewnego. Pewne jest tylko to, że mamy siebie, że zawsze będziemy razem! Że nic nie może nas rozdzielić! Absolutnie nic!

– To prawda! – przyznała. Wzdrygnąwszy się z zimna, jeszcze mocniej wtuliła się w jego ramiona. – Ale zimno! – szepnęła.

– Tak, strasznie zimno – przytaknął Doll, jeszcze mocniej przyciskając ją do siebie.

Berlin! Berlin, znów ten Berlin! Ukochane miasto, w którym oboje dorastali – choć on trzydzieści lat wcześniej niż ona. To rozświetlone, rozedrgane, niespokojne miejsce! Z pozoru wiecznie zanurzone w odurzającym wirze przyjemności i rozrywek – lecz tylko wówczas, jeśli nie brać pod uwagę rozległych, mrocznych, robotniczych przedmieść. Berlin, miasto pracy! Znów do niego wracali, by od nowa ułożyć sobie życie; jeśli gdziekolwiek na świecie mieli na to szansę, to właśnie tutaj: w tym leżącym w gruzach, spalonym, wykrwawionym Berlinie!

Było pół do trzeciej w nocy, gdy Dollowie wysiedli z pociągu na stacji Gesundbrunnen, godzina policyjna trwała do szóstej. Po dworcu hulał lodowaty wiatr, wybito bodaj wszystkie szyby. Nic nie chroniło przed zimnem, przed wiatrem! Próbowali ukryć się to tu, to tam, lecz wszędzie marzli do szpiku kości. Nawet w zachowanej jeszcze o dziwo poczekalni na peronie wcale nie było ciepłej. Wiatr wdzierał się do wnętrza przez rozbite w oknach szyby, ludzie siedzieli na ziemi zbici w duże grupy, zrozpaczeni, otępiali, wyczekując nadejścia poranka.

Pani Doll wcisnęła się między siedzących, by się nieco osłonić przed podmuchami dojmującego wiatru. Ledwie jednak przysiadła na brzegu swego kuferka, natychmiast ją stamtąd przegnano: nie wolno tarasować przejścia! A wówczas ona, osoba zawsze błyskotliwa, wesoła, wojownicza, bez słowa sprzeciwu usiadła na obrzeżu ludzkiej ciżby. Wpełzła pod swój płaszczyk, próbując się chronić przed lodowatym wiatrem, uderzającym w nią z całym impetem.

Doll wygrzebał z kieszeni ostatnie okruchy tytoniu i drżącymi z zimna palcami skręcił z nich nierównego papierosa, po czym zaczął chodzić tam i z powrotem. Przez chwilę stał w ruinach budynku dworca i spoglądał na pogrążone w mroku miasto. Miał wrażenie, że w słabej poświacie księżycy widzi jedynie gruzowisko.

– Niech pan nie wychodzi na zewnątrz! – przestrzegł go dobiegający z mroku głos. – Nadal trwa godzina policyjna. Patrole strzelają czasem bez ostrzeżenia.

– Nie mam zamiaru! – odparł Doll, po czym cisnął w zgliszcza niedopałek swego ostatniego papierosa.

„Cóż za początek – pomyślał. – Człowiek zawsze ma niewłaściwe wyobrażenia, spodziewane trudności okazują się całkiem proste, trudne zaś to, o czym w ogóle się nie pomyślało. Te dwie lodowate godziny na doszczętnie zniszczonym dworcu, brak papierosów – a do tego chora Alma! Ma taką poźólkłą twarz...”

Odwrócił się i podszedł do niej.

– Dłużej nie wytrzymam – wyznała. – Musi tu gdzieś być jakiś oddział urazowy albo lekarz, który może mi pomóc. Chodź, popytamy i poszukamy. Jestem jak sople lodu, czuję okropny ból!

– Nie możemy jeszcze wyjść na miasto. Trwa godzina policyjna! Patrole podobno strzelają czasem bez ostrzeżenia.

– A niech sobie strzelają! – odparła zdeterminowana. – Jeśli któreś z nas postrzelą, będą nas musieli zaprowadzić w jakieś ciepłe miejsce, gdzie pomoże nam lekarz.

– A zatem ruszajmy – rzekł łagodnym tonem. – Zobaczmy, czy jest tu gdzieś jakaś pomoc, może znajdziemy lekarza. Masz świętą rację: lepiej tu nie siedzieć w tym lodowatym zimnie i nie zamarznąć na śmierć.

Opuścili budynek, weszli między zgliszcza. Słaby blask księżycy raczej mylił, niż oświetlał im drogę. Doll ze względu na kiepski wzrok prawie nic nie widział.

– Chodź! – rzekła i ruszyła przodem. – Tam prowadzi chyba jakaś ulica! Według oznakowania musi się przy niej mieścić oddział urazowy. Miejmy nadzieję, że jeszcze istnieje.

Niepewnym krokiem ruszył za nią. Nagle potknął się o jakąś przeszkodę i runął w ciemną przepaść.

– Och! – zawołała młoda kobieta. – Zraniłeś się?

– No, no, a cóże to? – dobiegł z ciemności wzburzony głos prawdziwego Berlińczyka. – Chłop się przewróca, a kobita to co?! Tosz to afront niesłychany jest!

– I co by mi pomogło – zapytał Doll i mimo bólu się roześmiał – gdyby moja kobita tyż tu wpodła?! Gdzie właściwie jesteśmy?

– Stacja metra Gesundbrunnen – odpowiedział jakiś inny głos. – Ale pierwszy skład odjeżdża dopiero o szóstej trzydzieści.

– Dziękuję! – odparł Doll. Ruszyli dalej, tym razem trzymając się pod rękę. – To było iście berlińskie powitanie, może trochę bolesne, ale za to jakże prawdziwe. Niczym zdobywca ucałowałem ziemię tego miasta, a tym samym objąłem je w posiadanie. A i sam Berlin nieźle mi odpowiedział.

– Bardzo się potłukłeś?

– Nie, tylko trochę stałem sobie skórę z dłoni i poobijałem kości.

Zanurzyli się w mrocznym morzu ruin, tu, na samo dno otchłani ulic światło księżycy już nie docierało. Szli powoli, po omacku torując sobie drogę. Ulica opustoszała, wszędzie panowała grobowa cisza, wokół rozlegał się tylko stukot ich kroków.

– Już z daleka usłyszymy odgłosy każdego patrolu – stwierdził Doll. – Zdążymy się ukryć.

– Czekaj – przerwała mu. – To chyba oddział urazowy. Zapal zapałkę.

Rzeczywiście natknęli się na urazówkę, lecz wszędzie panowała ciemność, ani dzwonienie, ani pukanie do drzwi nie przywróciło życia mrocznym pomieszczeniom parteru.

– Pewnie dzwonek nie działa – uznał w końcu Doll. – I co teraz? Wracamy na dworzec?

– Nie, nie, tylko nie tam! Może znajdziemy jakiegoś lekarza albo posterunek policji. Tak, najlepiej posterunek policji. Na pewno pozwolą nam usiąść i się nieco ogrzać.

I tak błądzili dalej wśród grobowej ciszy miasta, w żadnym oknie nie paliło się choćby pojedyncze światełko. W końcu dotarli na posterunek policji. Długo dzwonili do drzwi, wreszcie wyszedł do nich policjant.

– Czego państwo chcą? – zapytał szorstko.

– Właśnie przyjechaliśmy z daleka, moja żona jest chora. Urazówka jest zamknięta. Pozwoli pan, że przesiedzimy u pana do godziny szóstej i się trochę rozgrzejemy?

– Na to nie mogę pozwolić, to zabronione – odburknął policjant.

Uciekli się do próśb i błagań. Nikomu to przecież nie przyniesie szkody, będą się zachowywać bardzo cicho!

Funkcjonariusz policji pozostał jednak nieprzejednany.

– Nie mogę pozwolić na coś, co jest zabronione! A poza tym, co robicie o tej porze na ulicy? Przecież trwa godzina policyjna!

– Dlatego niech nas pan aresztuje, panie posterunkowy! – poprosiła młoda kobieta. – Wtedy będziemy mogli posiedzieć w środku!

Lecz i na tę propozycję policjant nie przystał, szybko zamknął za sobą drzwi, oni zaś zostali sami na ciemnej ulicy.

Spojrzeni po sobie, na swe bezradne, blade oblicza. Naraz spostrzegli, że zaczyna świtać, że wkrótce nastanie dzień.

– Niedługo pewnie szósta. Po prostu chodźmy przed siebie. Może zaraz nadjedzie tramwaj.

Po jakimś czasie siedzieli w omnibusie rozwożącym do fabryki pracowników porannej zmiany. Omnibus ten co prawda nie przejeżdżał w pobliżu ich domu, lecz zawiózł ich do stacji szybkiej kolejki, której pierwszy skład miał wkrótce odjechać. Pojawiła się jednak nowa przeszkoda: pracownica okienka biletowego zasnęła, a kasownik przy bramce uniemożliwił wejście komukolwiek bez biletu, to przecież wbrew przepisom!

– A jeśli ktoś dopiero za godzinę usiądzie w okienku?

– Wtedy przez godzinę nikt tędy nie przejdzie! Przepis to przepis!

– Ale my musimy do pracy! – protestowało wielu.

– Co mnie to obchodzi?! Obowiązują mnie przepisy!

– Zobaczymy! – zawołał jakiś miejscowy. – Chodźcie za mną!

Ruszyli przez boczne wejście, przeszli przez płot, a potem, w półmroku, przez tory, przewodzące prąd szyny, znów przez mur. Dollowie posuwali się najwolniej,

ona poczuła nagle ból w nodze, jemu zaś wciąż doskwierały stłuczenia odniesione podczas upadku. Bez tchu dotarli na peron, tylko po to, by zobaczyć czerwone światła odjeżdżającego porannego pociągu.

I znów czekanie i marznięcie, jazda i potworne zmęczenie, przesiadka i ponowne wyczekiwanie. Jakże gnało ich teraz do domu! Jak bardzo pragnęli znaleźć się we własnym łóżku! Nic, tylko leżeć bez ruchu i ogrzać się, i zasnąć! O niczym już nie myśleć! Zgasnąć!

W końcu dotarli na miejsce, wysiedli.

– Za pięć minut będziemy w domu! – powiedział ożywiony.

– Idąc tym tempem, dotrzemy tam pewnie za dwadzieścia minut – odparła. – Chciałabym wiedzieć, co z moją nogą. Miałam tam tylko niewielkie zadrapanie... O Boże, mostu też już nie ma, w marcu jeszcze tu stał!

I tak coraz mozolniej wlekli się bez końca, zmuszeni ze względu na zburzony most do nadłożenia drogi. Ich oczom ukazały się zniszczenia, dawne, o których już wiedzieli, i nowe, dokonane od czasu ich wyjazdu z Berlina. Szli w milczeniu, nie odzywając się słowem, tak wiele ich było. „I co ja z nią pocznę – pomyślał Doll – jeśli mieszkanie przepadło? Jest chora i zupełnie zniechęcona”.

Skręcili za rogiem, popatrzyli przed siebie. Tym razem to on był szybszy.

– Widzę na naszym balkonie skrzynki na kwiaty! Są nawet szprosy w oknach! Alma, nasze mieszkanie ocalało!

Spojrzeni po sobie z przytłumionym uśmiechem.

Nie mieli kluczy, musieli najpierw poszukać portiera. Złe wieści, bardzo złe wieści! Niski portier przepadł, nie pojawił się od kwietnia, może zginął podczas walk, może dostał się do niewoli, jego żona nie miała pojęcia. Żadnego.

– Uciek? Myśli pan, że zwiózł? O nie, chłop mój taki nie jest, żeby zostawić żonę i dziecka, łon nigdy taki nie był, panie Doll! I niby czego miołby to robić? Nigdy nikomu krzywdy nie zrobił! Klucze do mieszkania? Nie, nie mom. Wprowadził się tam ktoś przysłany z mieszkaniowego, dopiero pare dni temu, jakoś tancerka albo śpiewoja, albo ktoś z teatru, nie wim ja. Matka z dzieckiem, oczywista, jest i bachor! Jakós sie urządzili w pokojach ode frontu, tak. A z tyłu nadal mieszko stara Schulzowa, co to pozwołoł jej pan czasem tam spać, gdy na wieś jechał, coby ktoś miał na sprzęty baczenie. No cóż, jak ich pilnowoła, to sama pani zobaczy, pani Dollowa, nie bede se jęzora strzemić. Tak czy siak, pani wielki gor do gotowania przepadli, zabrali go z volkssturmu. A co z odkurzoczem i ksiożkami, wioderkami, czy z szofek w kuchni wszytkie zapasy poznikoły, tego jo nie wim, pani Dollowa, musi pani pytać te Schulzowej, jeśli sie uda ją pani dorwać. Niby goda, że tu mieszko, ale czy jo wim, gdzie sie ona naprawdę

podziewo? Czasem to jej nie widuje przez tydzień cały, czynszu tyż nigdy nie płaci!

Powoli, ach, jakże powoli Dollowie pokonali cztery stopnie dzielące ich od mieszkania. Nic nie rzekli, słysząc wszystkie owe złe nowiny, których fala dosłownie ich zalała, nie zamienili też ze sobą ani słowa. Jedyne ich twarze pobladły, bardziej jeszcze niż wskutek choroby oraz bezsennej nocnej podróży o głodzie i chłodzie...

Długo, och długo dzwoniли do drzwi, zanim coś się w mieszkaniu poruszyło – w ich własnym mieszkaniu! Stracili wiele cierpliwości, nim jakaś młoda, skąpo odziana kobieta o ciemnych włosach wpuściła ich do środka (działo się to jednak z samego rana, około ósmej).

– Państwa mieszkanie? To *moje* mieszkanie, przydzielone mi zgodnie z regulaminem przez urząd mieszkaniowy. – Nic na to nie poradzimy, szanowna pani. Trzy pierwsze pokoje należą do mnie, wyłożyłam kilka tysięcy marek, by móc tu jako tako zamieszkać. – Pozostałe dwa pokoje doszczętnie spłonęły, szanowna pani z pewnością dobrze o tym wie, skoro to pani mieszkanie. Duży pokój na tyłach zajmuje pani Schulz, lecz w tej chwili jej nie ma, nie wiem, czy dziś jeszcze wróci. W każdym razie wszystko zamknęła na klucz. – Tak, przykro mi, szanowna pani, bardzo tu zimno, a ja stoję w samej tylko koszuli, wracam do łóżka. – Najlepiej niech pani o wszystkim opowie w urzędzie mieszkaniowym, szanowna pani. Do widzenia!

Drzwi się zatrzasnęły, zostali w korytarzu sami. Doll wziął żonę pod rękę – ciężko zwiesiła się na jego ramieniu – i powoli poprowadził ją w głąb mieszkania. Wszystko było jednak pozamykane, nie zdołali się dostać do któregokolwiek pokoju. Poprowadził ją zatem do kuchni i posadził na jedynym krześle (dawniej były ich trzy?) między kuchenką a stołem.

Usiadła więc jego młoda żona, choć młodo w tej chwili nie wyglądała, tępo patrzyła przed siebie, niczego jednak nie dostrzegając, twarz miała chorobliwą, pożółkłą. Doll ujął jej zimne dłonie, pogładził je i rzekł:

– Tak, to nie jest dobry początek, moja droga! Lecz nie damy za wygraną, jakoś przez to przebrniemy. Tacy jak my są nie do zdarcia!

Słyszając te pocieszające słowa, pani Doll próbowała się uśmiechnąć, najbardziej matowym, mizernym, wzruszającym uśmiechem, jaki Doll kiedykolwiek ujrzał na jej twarzy. Następnie uniosła głowę i rozejrzała się po kuchni, długo, nad wyraz długo lustrowała każdy pojedynczy przedmiot, po czym zaczęła się żalić:

– Moja kuchnia! Spójrz, czy jest tu cokolwiek, co nie należy do nas! A w przedpokoju zbywa mnie szorstko jakiś babsztyl, nie proponując mi w moim

własnym mieszkaniu choćby krzesła! – Wydawało się, że się rozplacze, jej oczy pozostały jednak suche. – Nie zauważyłeś? Przez uchylone drzwi dostrzegłam w jej pokoju nasz stolik radiowy i duży żółty fotel, w którym tak bardzo lubiłeś przesiadywać! Czekaj, natychmiast pójde do urzędu mieszkaniowego!

A jednak nie poszła, pozostała na miejscu, odrętwiała znów patrzyła przed siebie. Zawsze była wymagającą, promienną kobietą. A teraz siedziała w tym lichym płaszczyku, i do tego nieswoim, w którym wcale nie było jej do twarzy, trzymane na kolanach kosze grzybiarzy podarły jej rajstopy, na rękach zaś i twarzy wciąż widniały ślady długiej, nieprzyjemnej podróży koleją...

„Wszystko stracone, martwe, jak my wszyscy!” – pomyślał ponuro Doll, nie przestając odruchowo głaskać jej dłoni. Potem jednak uzmysłowił sobie, że teraz kolej na niego, że musi coś uczynić, nie mogą przecież siedzieć bez końca w kuchni. Po chwili namysłu zaprowadził ją na dół do życzliwej żony gospodarza. Choć znów znaleźli się w kuchni, przynajmniej było w niej ciepło. W rondelku zaparzone resztkę ziarnistej kawy. Pokrojono chleb, z puszki wyjęto resztę mięsa i starannie ułożono na półmisku. Owa namiastka śniadania napełniła ich odrobiną nadziei.

Jedynie młoda kobieta sprawiała wrażenie zubożniałej. Teraz, niezwłocznie, Doll powinien odwiedzić ich przyjaciela, Niemca-Anglika Bena. Kiedy napomknął, że woli pójść po śniadaniu, zaczęła okazywać zniecierpliwienie. Wie doskonale, że Ben wcześniej wstaje i zawsze punktualnie wychodzi do pracy. Jeśli natychmiast nie wyruszy w drogę, Bena już nie zastanie, nie spotkają go przez cały dzień, a przecież ona musi z nim niezwłocznie pomówić!

Doll chciał zaprotestować, lecz młoda kobieta zdawała się rozgorączkowana i zdeterminowana, on zaś czuł się tak śmiertelnie znudzony i nieskory do jakiegokolwiek kłótni, że istotnie zaraz ruszył do mieszkania Bena.

– Mam nadzieję, że za pół godziny będziesz z powrotem! – zawołała doń energicznie. – I przyprowadź z sobą Bena. Czekam na was ze śniadaniem!

W pół godziny nie sposób było wrócić, gdyż kursujący tu niegdyś tramwaj nie jeździł. Doll musiał przejść cały odcinek pieszo. Nie, nie przejść – a wlec się!

Dom, którego szukał, przynajmniej się zachował, lecz przy drzwiach brakowało tabliczki z nazwiskiem, nikt też nie odpowiadał na dźwięk dzwonka. W końcu dowiedział się od portiera, że poszukiwany mężczyzna się wyprowadził, ledwie kilka dni wcześniej. (Do naszego mieszkania ktoś się przed paroma dniami wprowadza, Ben zaś się wyprowadza; wielce obiecujący początek w Berlinie, nie ma co!). Dokąd się przeniósł, tego portier nie chciał wiedzieć. „Nie mogę tak wrócić do Almy!” – pomyślał Doll. Zadawszy sobie nieco trudu, odnalazł

w budynku starszego człowieka, który znał nowy adres Bena, gdzieś daleko za miastem, na zachód, kilka godzin drogi od centrum. „Wykluczone, by tam teraz jechać. Wracam do Almy i śniadania!”.

Rzeczywiście czekała ze śniadaniem, wystarała się nawet o kilka papierosów, po pięć marek sztuka; Doll, którego Rosjanie wspaniałomyślnie zaopatrywali jak dotąd w tytoń, uznał to za czyste szaleństwo. Wiadomość o przeprowadzce Bena Alma przyjęła ze spokojem.

– Pojedziemy do niego po śniadaniu, choć kiepsko z moją nogą. Wierz mi, mam dobre przeczucia: Ben nam pomoże, tej historii z kacetem nigdy nie zapomni! Zobaczysz – ciągnęła Alma coraz bardziej ożywiona – pewnie daleko już zaszedł. Dowodzi tego przeprowadzka do drogiej zachodniej dzielnicy. Z pewnością ma tam willę. I ucieszy się, że będzie mógł nam pomóc!

Odświeżeni gruntownym myciem oraz pokrzepieni śniadaniem pożegnali uprzejmą, lecz wciąż przygnębianą żonę gospodarza.

– Niedługo tu wrócę – obiecała pani Doll – a w urzędzie mieszkaniowym wyjaśnię sprawę z tą bezczelną osobą na górze. Żeby w moim własnym mieszkaniu nie zaproponować mi choćby krzesła! Ona stąd wyleci!

„A z czego zwrócimy jej te »kilka tysięcy marek«, włożonych przez nią w urządzenie mieszkania? – zastanawiał się Doll. – Nigdy zresztą, nawet wliczając Pettę i babkę, nie dostaniemy zgody na zajęcie całego siedmiopokojowego mieszkania”.

Żonie jednak o tym nie wspomniał. Co ma być, to będzie. Nie ma najmniejszego sensu czymkolwiek się irytować ani snuć planów na przyszłość. Jak dotąd wszystko samo się układało, choć rzadko kiedy po ich myśli.

Orzeźwienie wodą i kawą nie na długo się zdało, noga pani Almy rzeczywiście musiała być w kiepskim stanie, ledwie poruszali się naprzód. Doll wciąż się napominał, by iść u boku chorej żony, lecz nim się obejrzał, znów wyprzedzał ją o dziesięć czy dwadzieścia kroków. Kiedy w poczuciu winy zawracał i podchodził do niej, witała go uśmiechem.

– Idź! – mówiła. – Jeśli całkiem stracę cię z oczu, zagwiżdżę. To musi być prawdziwa męka, człapać za takim żółwiem jak ja. Ruszaj!

Po zimnej nocy słońce rozgrzewało swym ciepłem, owym przyjemnym, jesiennym ciepłem, niemającym w sobie nic deprymującego, przynoszącym jedynie ukojenie. Tu, przy willowych ulicach, drzewa nosiły jeszcze liście. Były rzadsze i zmieniły kolor, lecz miło było ujrzeć zdrowe drzewa wśród tych wszystkich ruin. Wiele willi zostało co prawda zniszczonych, lecz w otoczeniu

krzewów i drzew, zielonych trawników i kwiatów nie przedstawiały aż tak strasznego widoku.

– Ben z pewnością ma już własny samochód – powiedziała pani Doll do męża, który właśnie po raz kolejny wrócił do swojej „żółwicy” – i pewnie nie raz nas nim przewiezie. Przed nami cała ta śliczna jesień, beztrudnie się nią wreszcie nacieszymy, tylko we dwoje. Ben na pewno wystara się dla nas o ciężarówkę, a wtedy będziemy mogli zabrać z kryjówki meble i twoje książki, i znów się przytulnie urządzać. Zobaczysz, jaki bajeczny dom ci wyczaruję! Dzięki znajomości z Benem z pewnością będziemy przyjmować licznych angielskich gości, a ty zaprosisz swoich znajomych literatów... Będę wam przyrządzać najprzedniejsze koktajle – świetna przecież ze mnie barmanka! Ben już się wystara o składniki!

Ben! Ben! Ben! Jakaż ona jeszcze dziecinna! Wszystkie nadzieje swego ufnego dziecięcego serca skupiła na przyjacielu, o którym przez całe tygodnie i miesiące nawet nie pomyślała! Istne dziecię, pełne wiary i ufności, których żadne rozczarowanie nie zdołało jak dotąd wykorzenić.

W końcu znaleźli się w dużym salonie ogromnej willi, z okien roztaczał się przed nimi widok na ogród, sięgający aż do budynków garaży, gdzie szofer mył właśnie samochód – samochód Bena, przynajmniej w tej kwestii przewidywania Almy się spełniły. Ich przyjaciel zaszedł zaskakująco daleko, oficjalne tabliczki przy ogrodowej bramie świadczyły o tym, że Ben piastował wysokie stanowisko.

Wciąż jednak się nie pojawił, jakieś ważne spotkanie zatrzymało go na kilka minut na parterze willi. Wokół Dollów, zupełnie zagubionych we wspaniałym pokoju pełnym antycznych mebli, krążyło tymczasem trzech dekoratorów wnętrz, szeptali między sobą, składali cieniuteńkie materiały na firany, wchodzili na drabiny i naciągali sznurki. Kiedy Doll ujrzał wokół siebie ów nowy przepych, jakiego nie widział od miesięcy, od lat, poczuł ze zdwojoną, ba, dziesięciokrotnioną siłą własne rozdarcie. Spojrzał na śnieżnobiały tiul, to znów zerknął na swój jasny letni garnitur pełen okropnych plam, wciąż noszący ślady nocnej jazdy. Tani płaszczyk Almy oraz jej podarte rajstopy ostro kontrastowały z ozdobnym brokatem krzesła, na którym siedziała.

Tak, przemienili się w żebraków – Doll odczuł to szczególnie dotkliwie w tej willi, która także za najlepszych lat należała do *bardzo* bogatego człowieka. Nie minęło przecież wiele czasu, odkąd sam uznawał się za dość zamożnego. Nagle jednak uświadomił sobie wyraźnie, że on i jego żona byli teraz jedynie uchodźcami, których ciągnące się bez końca kolumny pełne lamentujących i głodujących ludzi niewiele wcześniej musiał jako burmistrz przeprowadzać

przez podległe mu miasteczko. Oto Dollowie, odarci z wszystkiego, z całym dobytkiem zamkniętym w jednym kuferku, bez domu, zdani na pomoc przyjaciół, obcych, może nawet na pomoc publiczną. Burmistrz, właściciel domu z bogatym inwentarzem, z zawsze pełnym kontem w banku, znośnie odżywniony – i nagle nic, nic, nic!

„O Boże! – pomyślał Doll. – Oby tylko Alma nie powiedziała zbyt wiele! Żeby tylko nie poprosiła o cokolwiek tych dwu kobiet! Nie zniosę tego, jeszcze nie jesteśmy żebrakami!”

Do pokoju bowiem weszła właśnie żona Bena w towarzystwie swej przyjaciółki. Goście zostali zlustrowani nieco zdziwionym spojrzeniem, potem Alma zaczęła opowiadać...

Nie, nie miała najmniejszej okazji opowiedzieć zbyt wiele. W ogóle do tego nie doszło. Stało się bowiem coś, czego Doll miał w nadchodzącym czasie jeszcze wielokrotnie doświadczyć: ledwie Alma przeszła do właściwego opowiadania, wyraźnie dało się zauważyć, że obie kobiety nie mogą spokojnie usiedzieć na miejscu, że aż je świerzbią języki, że same chcą mówić!

Gdy Alma zrobiła pauzę, obie przyłączyły się do rozmowy. Bez tchu, naprędce, na zmianę skarżyły się, jak źle im się wiodło, jak niemal umarły z głodu, jak wiele utraciły... Tak, w tym wspianym budynku, siedząc na antycznych krzesłach obleczonej brokatem, Dollowie dowiedzieli się, jak przerażająco marnie wiodło się właścicielom – i nadal się wiedzie.

Potem wszedł do pokoju pan domu, spieszenie, tylko na pięć minut, pomiędzy dwoma ważnymi spotkaniami. Ucałował dłoń pani Almy i wyraził ubolewanie, iż życie stało się takie ciężkie, takie nieznośne! Nie mógł poczęstować swych gości nawet papierosem, tak marnie jego dom był zaopatrzony. Tak, noga pani Doll rzeczywiście kiepsko wygląda, jakby doszło do zakażenia krwi, najlepiej, gdyby Doll zawiózł ją od razu do szpitala...!

Kwadrans później Dollowie znów stali na ulicy, dzięki Bogu przetrwali wizytę u najdroższego i najwdzięczniejszego przyjaciela Almy. Słońce wciąż jasno i przyjaźnie przeświecało przez rzadkie listowie drzew, trawnik przed willą mienił się barwą głębokiej zieleni, rozkwitały jesienne astry. Doll wziął żonę pod rękę (miała przeraźliwie bladą, chorobliwą cerę) i rzekł wesoło:

– Wiesz, co teraz zrobimy? Ukoimy nasze nerwy, po prostu będziemy cieszyć się życiem, twoja chora nóżka też się zagoi. A dokąd pójdziemy? Kiedy wspomniano o szpitalu, uświadomiłem sobie, że w pobliżu, niecały kwadrans drogi stąd, mieści się sanatorium, w którym już kilkakrotnie leczyłem moje nerwy. Znają mnie tam, na pewno nas przyjmą.

– Rób co chcesz, zdaję się na ciebie – odparła Alma. – Tylko spraw, żebym wkrótce mogła się położyć.

I tak rozpoczęli marsz do sanatorium, który wskutek trudności z poruszaniem się pani Doll zajął im nie kwadrans, lecz prawie godzinę. O najlepszym przyjacielu Benie w trakcie owej drogi przez mękę w ogóle nie rozmawiano, tylko raz pani Doll wyrwało się z głębi serca:

– Już nigdy więcej nie będę dla ludzi tak przyzwoita i wspaniałomyślna jak dawniej! Nigdy więcej!

– Dzięki Bogu! – odparł Doll i spojrzał czule na żonę. – Dzięki Bogu, Almo, to coś niezupełnie od ciebie zależy. Ty zawsze, mimo najgorszych doświadczeń, pozostaniesz osobą przyzwoitą!

Sanatorium, duży, okropny budynek z czerwonego kamienia i cementu, wciąż jeszcze stał – byłoby wręcz nie do zniesienia, gdyby i tu czekało ich rozczarowanie. Usiedli w gabinecie.

– Okaż cały swój urok, Almo – szepnął Doll. – Muszą nas przyjąć, bo... dokąd pójdziemy?

Pani Doll wyjęła spiesznie puder, róż i szminkę, podkreśliła, jak tylko mogła, swój urok.

– Oczywiście, że panią przyjmimy, malutka! – oznajmiła jasnowłosa lekarka, gładząc ją po włosach. – Co się tyczy pani męża, musimy najpierw wysłuchać opinii tajnego radcy. Dla pani mam w każdym razie wolne łóżko na moim oddziale.

Pojawił się tajny radca. Doll odniósł wrażenie, że jest jeszcze bardziej pożółkły, pomarszczony, stroskany oraz znacznie inteligentniejszy niż dawniej.

– Dla pana Dolla mam wolny pokój – oznajmił po krótkim namyśle. – Niestety, dla młodej damy w tej chwili żadnego; może uda się coś znaleźć za trzy, cztery tygodnie.

Dollowie, którym dopiero co oszczędzono najcięższych zmartwień, spojrzeli po sobie skonsternowani, a następnie zerknęli na jasnowłosą lekarkę. Ta jednak w obecności swego szefa przybrała skrytą i pokorną minę. Próżno by do niej apelować, los znów się obrócił przeciwko Dollom. Daremny był wszelki protest. Jedno niepowodzenie za drugim, muszą wrócić na ulicę...

– Z żoną się teraz nie rozstanę – oznajmił Doll po dłuższym milczeniu. – Chodź, Almo. Do widzenia, panie tajny radco. Do widzenia, pani doktor!

Znalazłszy się na ulicy, tym razem nie zauważyli, że słońce nadal świeci, a drzewa wciąż dźwigają listowie. Wszystko przesłoniło pytanie „Co dalej?”. Prawda, mieli jeszcze innych przyjaciół, mieli nawet w mieście krewnych, jak

mogliby jednak, biorąc pod uwagę stan zdrowia młodej kobiety, poważyc się na długą wędrówkę, by ostatecznie stanąć przed zbombardowanym być może domem?

– Co dalej? Co dalej? – powtarzała. A odwróciwszy się w stronę sanatorium, dodała: – Jakże ja nienawidzę tego człowieka, i tej jego chytrze uprzejmej miny! Oczywiście, że mają wolne łóżka – dla nas obojga. On jednak znał twoją pierwszą żonę, od razu wyczułam, że mnie z nią porównał i odrzucił. I dokąd teraz pójdziemy? O Boże, muszę się w końcu gdzieś położyć, choćby na parę godzin, wtedy od razu odzyskam siły.

– Myślę, że po prostu wrócimy do naszej dobrej pani portierowej. Na pewno ma jakąś sofę albo kanapę, na której będziesz mogła wypocząć. Ja tymczasem poszukam czegoś innego!

Tak też zrobili, nic zresztą innego nie przyszło im w tej chwili do głowy. Ruszyli w niekończącą się drogę powrotną, jechali przepełnionymi składami metra, w których nikt nie pomyślał, by ustąpić miejsca chorej kobiecie, mozolnie wchodzili i schodzili po schodach, popychani, potrącani, lżeni z powodu swej powolności. Doll dźwigał kuferek z ostatnią piętą chleba, mięso i kawa się skończyły. Dochodziło południe, nie mieli ani mieszkania, ani kartek żywnościowych, ani żadnej nadziei, że je zdobędą. Po ekstrawaganckim zakupie papierosów przez Almę nie mieli nawet dwustu marek.

„Stoimy na skraju nicości – pomyślał Doll. – Tylko jak to zrobić? Trucizna jest dla nas nieosiągalna. Woda? Za dobrze oboje pływamy. Stryczek? Odrażające! Gaz – ale nie mamy już nawet kuchni z gazową kuchenką”. Do wspierającej się na jego ramieniu żony powiedział zaś głośno:

– Dzielnie wytrwałaś! Zaraz będziemy w domu!

– W domu – odparła i uśmiechnęła się, tylko odrobinę ironicznie. A zaraz potem dodała z nutką żalu w głosie: – Zobaczysz, że urządzę dla nas wspaniały dom!

– Wierzę ci. Wspaniały dom... Już się z niego cieszę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nowe brzemie

Wreszcie dotarli na miejsce, poczuli się niemal jak w domu. Alma Doll leżała na kanapie w mieszkaniu portierki, przykryta pierzyną, gdyż nagle zaczęła marznąć. Szczękała zębami. Doll przysiadł na skraju kanapy, trzymał ją za rękę i zatroskany spoglądał w jej wychudłą twarz.

Przestała dygotać z zimna, długo leżała bez ruchu, jakby śmiertelnie wyczerpana. Otworzyła oczy.

– Najdroższy – powiedziała – czy będziesz zły, jeśli jeszcze raz cię stąd wygonię? Chyba potrzebny mi lekarz...

– Ależ chętnie pójdę – zapewnił. – Wcale nie jestem zły. Natychmiast ruszam szukać lekarza.

Przytuliła jego głowę, pocałowała go. Poczuł, jak te wysuszone, spierzchnięte usta pod wpływem pocałunku odżyły, znów wypełniły się krwią i wygładziły.

– Sprawiam ci mnóstwo kłopotów – szepnęła. – Wiem, wiem wszystko. Ale znów dojdę do siebie, znasz mnie. Pozwól tylko twojej Almie wygrzebać się z choroby, a znów będzie cię rozpieszczać, przecież wiesz!

– Ty moja droga pieśczożko! – odparł czule. „Tak, wiem, wiem wszystko”. Ponownie ją pocałował. – A teraz ruszam.

– Nie musisz iść daleko! – zawołała za nim. – Przy tej ulicy mieszka sześciu, ośmiu lekarzy.

Owszem, mieszkali tam dawniej, może nadal mieszkają, okazało się jednak, że żaden nie ma teraz czasu na domową wizytę. Jeden mógł przyjść dopiero późnym wieczorem, drugi następnego dnia. Doll nie mógł pozwolić, by jego żona tak długo cierpiała. Ruszył dalej, schodami w górę, schodami w dół, na wpół przytomny ze zmęczenia, głodu i wewnętrznego napięcia, czuł żar obrzmiałych stóp...

W końcu znalazł lekarza, który gotów był przyjść niezwłocznie. Nie był to akurat najlepszy wybór, specjalizował się bowiem w dolegliwościach skórnych i chorobach płciowych, lecz w tej chwili nie miało to dla Dolla żadnego znaczenia. Najważniejsze, że przyprowdzi jej lekarza! „Nie mogę do niej wrócić, zaznawszy kolejnego niepowodzenia! Dość już na dziś niepowodzeń. Całe nasze życie składa się z samych tylko porażek”.

Twarz owego lekarza sprawiała wrażenie, jakby miał skórą pokrytą była cienkim pergaminem, napiętym do granic możliwości. Człowiek zjawia, o powolnych, ostrożnych ruchach, jakby w każdej chwili miał się połamać, mówiący cichym, niemal bezdźwięcznym głosem, jakby szeptał we mgle...

Szli ulicą obok siebie. Lekarz niósł w torbie swe przybory.

– Pan jest pisarzem, doktorze Doll? – zapytał niespodziewanie. Doll przytaknął. – Ja także jestem pisarzem – wyznał lekarz, wciąż mówiąc w ów bezosobowy, cichy sposób. – Wiedział pan o tym?

Doll usiłował sobie przypomnieć, jakie nazwisko widniało na wywieszce. Zapamiętał jednak tylko „choroby skóry i organów płciowych”.

– Nie – przyznał. – Nie wiedziałem.

– A jednak! – powtórzył lekarz. – Swego czasu byłem nawet bardzo znanym pisarzem. I to nie tak dawno temu. – Przerwał na chwilę, po czym rzekł niespodziewanie: – Moja żona zabiła się na szosie.

„Cóż za upiór! – pomyślał wstrząśnięty Doll. – Że też akurat takiego człowieka przyprowadzę do łóżka Almy! Miejmy nadzieję, że się go nie wystraszy!”

Przy łóżku chorej lekarz zachowywał się jednak zupełnie normalnie. Wydawało się nawet, jakby na jego papierowej twarzy pojawił się uśmiech, gdy ujrzał śliczne dziecięce oblicze młodej kobiety.

– A cóż to nam dolega, moje dziecko? – zapytał łagodnie. Nie badał jej zbyt długo, po chwili oznajmił, kierując swe słowa raczej do Dolla niż do jego młodej żony: – Zakażenie krwi, początkowe stadium. Najlepiej będzie, jeśli młoda pani niezwłocznie uda się do szpitala. Wypiszę skierowanie.

– A co będzie z moim mężem?! – zawołała pani Alma. – Nie pójdę do żadnego szpitala. Nie zostawię teraz męża samego!

– Znasz przecież naszą sytuację, moja droga – przekonywał ją Doll. – To chyba na razie najlepsze rozwiązanie. W szpitalu będziesz mieć swoje łóżko! I jedzenie! I spokój! I opiekę! Zgódź się, Almo!

– A ty? A ty? – powtarzała. – Gdzie ty się podziejesz, kiedy ja będę mieć spokój i łóżko, i opiekę? Czy sądzisz, że mój stan się poprawi, gdy tobie będzie źle? Nigdy! Nigdy!

Dziwnie usposobiony lekarz siedział z pochyloną głową, przysłuchując się bez słowa tej rozmowie. Sięgnął wreszcie po swoją torbę i rzekł bezdźwięcznie, bez echa: – Zrobię pani teraz zastrzyk, żeby minął ból i mogła pani na chwilę zasnąć. Zajrzę do pani ponownie dziś wieczorem.

– Ale wieczorem musimy zwolnić tę kanapę! – wtrącił Doll. – Należy do pani portierowej. Dziś wieczorem być może znajdziemy się na ulicy!

Lekarz nie odpowiedział, zrobił tylko zastrzyk. Doll dostrzegł na twarzy żony wyraz odprężenia, nieomal szczęścia, i to niezwłocznie, skoro tylko poczuła ukłucie. (Nie był to pierwszy zastrzyk morfiny, jaki jej podano. Znała je od czasu swych dolegliwości żółciowych). Uśmiechnęła się, jej ciało powoli się wyprężyło, po czym przyłgnęło do materaca.

– Boże! Jak dobrze to robi! – szepnęła i zamknęła oczy.

W ciągu pięciu sekund zapomniała o mężu i bólu, o rozczarowaniach i głodzie. Zapomniała znacznie więcej. Zapomniała, że jest mężatką i matką. Została sama na sam z sobą, w sobie. Wokół jej ust zagościł uśmiech, na długo. Doll widział, jak cicho oddycha, domyślił się, że nawet oddech sprawia jej teraz przyjemność.

Lekarz spakował strzykawkę.

– Odprowadzę pana, doktorze! – zaproponował Doll. Miał wrażenie, że czuwanie przy unoszącej się gdzieś w dal żonie nie jest w tej chwili konieczne. W ciągu minionych mrocznych tygodni i miesięcy nie czuł się tak bardzo samotny jak teraz.

– Zajrzę ponownie dziś wieczorem – powtórzył lekarz, jakby nie słyszał ani jednego słowa Dolla. – Między ósmą a dziewiątą. Proszę dopilnować, by nie zamknięto drzwi.

Doll poniechał ponownego sprzeciwu, wydał mu się całkiem daremny wobec obojętnego na słowa lekarza. Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. A potem lekarz znów zaczął swoje:

– Dziś wydaje mi się to odległą przeszłością, lecz wówczas naprawdę byłem bardzo znanym pisarzem!

W stwierdzeniu tym nie kryła się ani odrobina zarozumiałości, zabrzmiało ono raczej jak fragment toku myślowego, który uporczywie go prześladował. Podobnie zresztą jak następne zdanie:

– Zastrzyk, który podałem pańskiej żonie, wziąłem z mojej porcji samobójczej. Zawiera skopolaminę, około jednej trzeciej. Będzie spać, gdy pan wróci.

– Tak, zamierzam popełnić samobójstwo – dodał po chwili – może jutro, może dopiero za rok. – Podał Dollowi matową, wilgotną dłoń. – Jesteśmy na miejscu. Dziękuję panu za odprowadzenie. Nie byłem oczywiście tak popularny jak pan. W każdym razie wstąpię do państwa dziś wieczorem, proszę pamiętać o drzwiach. Dziś na pewno nie popełnię samobójstwa – dorzucił, odchodząc. – Pan oczywiście wie, że pańska żona jest uzależniona?!

Doll czuwał przy żonie. Zapadła w głęboki sen. Jej twarz emanowała beztroską i wesołością, spała jak dziecko. Przez otwarte okno wnikały do wnętrza promienie jesiennego słońca oraz świeże powietrze, ulicę wypełniał radosny gwar

bawiących się dzieci. Radości tej Doll jednak nie podzielał, był znużony i wyczerpany z wszelkiej nadziei. Do tego dokuczał mu głód. Dawno już zjedli ostatni kawałek chleba. Nic więcej nie mieli.

„Ach! – pomyślał Doll. – Dlaczego nie kazałem sobie podać takiego zastrzyku?! Na chwilę o wszystkim zapomnieć! Ten na poły szaleniec byłby to zrobił. Nazywa się Pernies. Pamiętam, był niegdyś znanym człowiekiem. Chyba nie czytałem żadnej z jego książek, więcej bodaj pisał o sztuce, niż sam ją uprawiał. A teraz popełni samobójstwo, jego żona zabiła się na szosie!”

Doll zerwał się z krzesła. Prawie zasnął, a przecież musiał coś zrobić. Niecałe trzy godziny pozostały do zapadnięcia zmroku, a oni nie mieli dachu nad głową!

Wstał. Wychodząc na korytarz, nie wiedział jeszcze, dokąd zmierza. Ponownie wszedł na górę do ich dawnego mieszkania.

Drzwi otwarto mu natychmiast. W progu, miast bezczelnej tancerki, ujrzał tym razem panią Schulz, kobietę, której Alma powierzyła na czas ich nieobecności opiekę nad rzeczami, a której uczciwość tak usilnie podawała w wątpliwość żona gospodarza.

Błada, nieco tłusta twarz majorowej Schulz rozbłysła na widok Dolla.

– Jest pan nareszcie, panie doktorze! Broniałam pańskiego mieszkania jak lwica. – Czemu nie przyjechał pan dwa tygodnie wcześniej?! Będzie miał pan teraz kłopot z urzędem mieszkaniowym i z tą tutaj. – A gdzie się podziewa pańska żona? – Śpi? Dziękować Bogu, że zasnęła, zdążę tymczasem przygotować dla niej pokój. Będą się państwo musieli w tę pierwszą noc zadowolić *jedną* kanapą, drugą zabrali, ale wystarczy tam pójść, a ją panu oddadzą! – Zapali pan papierosa? Co? Nie ma pan już ani jednego? Proszę, niech pan weźmie całą paczkę! – Ach, proszę nic nie mówić, zdobędę tyle, ile tylko zechcę, także amerykańskie, po pięć marek sztuka, niemiecki pieniądz... Proszę zaczekać, właśnie parzyłam kawę, gdy się pan zjawił, wypije pan teraz ze mną filiżankę. Nie, żadna tam lura, prawdziwa kawa! Zapłaciłam czterysta marek za funt. Tanio, mój drogi, kupuję tylko tanio. Zjemy do tego białego chleba, mam tu jeszcze puszkę sera, znajdzie się też, jak sądzę, trochę masła.

Ach, proszę nawet nie mówić. Stracił pan wszystko? Cóż, mój drogi, nie ma pan pojęcia, jak ja sobie radzę, nie zostało mi dosłownie nic! Jedyne to, co mam na sobie. – Nie, nie, dziś jest pan moim gościem! – Czy nie powinniśmy już obudzić młodej pani? Racja, trochę jej zostawimy. – Ależ spokojnie może pan zjeść wszystko, znów coś przyniosę, dziś jeszcze. Wszyscy mnie rozpieszczają... I nie muszę płacić jak na czarnym rynku. Tak, pikowana kołdra zniknęła,

skradziono ją. Nawet wiem, kto to zrobił, ale skoro nie mam dowodów, nie chcę rzucać pustych oskarżeń.

Pewnie pan słyszał, że mężczyzna zniknął? Oczywiście, że aresztowany, to przecież nazista. Powinni zabrać także jego żonę, była jeszcze gorsza od niego! Kazałam wymurować ścianę i ją nieco pomalować, gdzieś sobie zanotowałam, ile to kosztowało, później panu powiem. Niewiele, pewien rzemieślnik wyświadczył mi przysługę. Obie ramy okienne z celofanem i sklejką są pożyczone, ale z tym nie ma pośpiechu, spokojnie mogą tam na razie zostać.

Ależ oczywiście, pokój jest do państwa dyspozycji, to przecież państwa pokój, i stoją w nim państwa meble! Także naczynia do państwa należą. Mogę spać u znajomej, a tej mizernej śpiewaczki razem z jej rodziną może się pan pozbyć, interweniując w urzędzie mieszkaniowym. Swoją drogą, całkiem porządni ludzie – ale co to ma do rzeczy? W dzisiejszych czasach każdy musi zadbać przede wszystkim o siebie! Jakże się ona pana boi! Nie mają nic, nawet łyżki ani filiżanki... Nawiasem mówiąc, dzbanek na herbatę, w którym teraz parzymy kawę, nie należy do pana, wszystkie państwa dzbanki zostały zniszczone podczas nalotu. Podarowała mi go pewna starsza kobieta, nie chce oczywiście żadnych pieniędzy. Pomyślałam o funcie cukru i chlebie. To niewiele, mój drogi, cukier jest teraz po sto, a chleb po osiemdziesiąt. A dzbanek musicie przecież jakiś mieć! Jeszcze o tym porozmawiam z pańską żoną.

Spokojnie może pan zjeść cały chleb, jest smaczny, ale człowiek się nim nie naje. Zaraz przyniosę świeży. Może uda mi się też zdobyć marmoladę. – Gdyby się pan zjawił wczoraj, mogłabym pana poczęstować ciastem, prawdziwym maślanym plackiem drożdżowym, grubo posypanym cukrem. Szkoda. Już wiem, na niedzielę każę upiec dla państwa ciasto. Mój piekarz robi to bardzo tanio...

I tak bez końca, Doll siedział tylko i się przysłuchiwał. „Tak, cóż, dziękuję” – tyle w zupełności wystarczało. Zawitał oto do portu, nareszcie, nareszcie, znalazł dla nich przystań, choć przecież ogarnęło go bezdenne zwątpienie. Siedział wygodnie w fotelu, wyciągnąwszy przed siebie zmęczone nogi z piekącymi stopami, zjadł kromkę białego chleba, trzy kromki, siedem kromek, popijał kawę, wypalił papierosa, po czym znów zabrał się do jedzenia. A pani Schulz nie przestawała mówić...

Siedziała naprzeciw niego, kobieta po czterdziestce, niemal już przekwitła – czego nie chciała jednak przyjąć do wiadomości – ubranie miała nieco pomięte i niechlujne, lecz bez wątplenia była damą. Albo raczej damą była dawniej – ktoś bowiem dziś jeszcze zasługuje na to niegdysiejsze miano?

Za oknem zapadł zmrok, przy łóżku Dollów pali się duża elektryczna stojąca lampa, z radia płyną ciche dźwięki tanecznej muzyki. Był u nich lekarz, ów obleczony pergaminem upiór, już sobie poszedł. Raz jeszcze bodaj napomniał, że kobieta powinna udać się do szpitala, lecz potem bez dalszych ceregieli zrobił im zastrzyk. Teraz oboje czują się odprężeni i rozluźnieni, morfina mami ich, że wszelkie kłopoty zniknęły.

Na stoliku obok kanapy leży sporo papierosów, stoi dzbanek z prawdziwą herbatą, masło, cukier – nie brak też białego chleba. Są dobrze zaopatrzeni, mają dach nad głową, słuchają wyszukanej muzyki. Ze ścian spoglądają na nich obrazy, oryginały, nic wstrząsającego, ot, porządna przeciętność.

Dollowie jeszcze nie śpią. Tym razem lekarz podał im czystą morfinę. Cicho z sobą gawędzą, wciąż snują plany... Planu? Zupełnie stracili poczucie rzeczywistości, to czyste marzycielstwo, wszelka nadzieja ledwie się pojawia, od razu się spełnia. Mieszkanie do nich należy, mają kartki żywnościowe, ciężarówka przywiezie z miasteczka Pettę oraz ich rzeczy. Jutro zabierze się do pisania książek, naraz jego głowa pełna jest planów, odniesie światowy sukces...

Salon młodej pani stanie się *salonem Berlina*. Alma istną kaskadą słów opisuje suknie, jakie każe sobie uszyć, jakie dawniej posiadała. On nie musi nic mówić, może oddawać się własnym marzeniom. Oczywiście, razem z żoną i dzieckiem wyruszy w podróż dookoła świata, o której roił już przed wybuchem wojny. Znienawidzony czas mordowania dobiegł końca, jeszcze parę miesięcy, a będą mogli wyjechać z tego zrujnowanego miasta do pogodniejszych krajów, gdzie zawsze świeci słońce, gdzie cytrusy dojrzewają na drzewach...

I tak leżeli, śniąc na jawie, porwani euforią, odurzeni. Wreszcie zdołali uciec przed jakże gorzką rzeczywistością. Oboje snują tysiące pragnień, wszelkie przeszkody zniknęły. Spoglądają na siebie, delikatnie się uśmiechają, nie jak małżonkowie, lecz tak, jak czynią to młodzi zakochani albo dzieci...

Wiatr czasem targa celofanem, kiepsko umocowanym w okiennej ramie, w spalonym budynku trzaskają drzwi. Zza okna dobiegają tajemnicze odgłosy. Sypiący się gruz? Szczury, szukające w piwnicach śladów okropności? Oto zniszczony świat, do którego odbudowy potrzebna będzie wszelka wola i każda para rąk. Oni jednak oddają się marzeniom. Niczego już nie kochają, właściwie już nie żyją. Niczego nie posiadają, sami są niczym. Najdrobniejsza choćby przeciwność losu może ich zdmuchnąć w otchłań i zetrzeć na wieki. Oni jednak marzyć nie przestają.

– Daj mi jeszcze jednego papierosa! Zdobędziemy następne. Mam przecucie, że od jutra będzie się nam dobrze powodziło.

Lecz potem – nie wybiła jeszcze północ – dopada ich niepokój. Działanie zastrzyku mija, kojące złudzenie się rozwiewa.

– Nie mogę zasnąć! – Ból jest nie do wytrzymania! Musimy ponownie wezwać lekarza. – Za późno. Godzina policyjna! Nie wolno nam wychodzić na ulicę! – Co za nonsens! A gdybym zaczęła rodzić? Albo leżała na łożu śmierci?! – Dobrze, że tak nie jest! Jutro z samego rana pójde do tego lekarza! – Jutro rano? Tak długo przy tych bólach nie wytrzymam, pójde do niego od razu! – Alma! Teraz? Z taką nogą? Lepiej będzie, jeśli sam pójde! – Nie, pójde ja. Jeśli rzeczywiście zjawi się jakiś patrol, *mi* nic nie zrobią! – Ale domy są przecież pozamykane! – Już ja sobie poradzę. Znasz przecież swoją Almę. Na pewno mi się uda!

Poszła, zostawiła go samego. Wciąż dobiegały dźwięki muzyki, wciąż jasno paliła się lampa przy kanapie. Odurzenie się jednak rozwiało, znów uświadomił sobie ich rzeczywiste położenie: pozbawieni wszelkiego wsparcia, chorzy, bez energii, bez chęci do pracy, bez nadziei... Papierowy upiór oraz wątpliwa dama podarowali im kilka godzin zapomnienia, lecz teraz na powrót zdał sobie sprawę, w jakiej naprawdę znaleźli się sytuacji. Tak, przez chwilę mieli dach nad głową, w sumie nic jednak się nie poprawiło, już raczej uległo pogorszeniu. Jego żona wychodzi oto o niebezpiecznej porze na ulicę w poszukiwaniu morfiny! Przypomniawszy sobie, jak poprzedniej nocy nalegała, by wyruszyli ze stacji Gesundbrunnen szukać pomocy. Mówiła wtedy o dolegliwościach żółciowych; teraz, kiedy doskwierał jej ból nogi, więcej o nich nie wspominała. Już wczoraj z pewnością myślała wyłącznie o zastrzyku. Uzależniona – a więc kolejne brzemię!

Godzina pierwsza – miała wrócić lada chwila, a tymczasem minęła już cała godzina! Musi wstać, poszukać jej, zatroszczyć się o nią! A jednak nie wstał. Niby co mógł zrobić? Może została zatrzymana i siedzi teraz gdzieś na posterunku? Albo znalazła jakiegoś lekarza w którymś z tych mrocznych budynków? Jakim sposobem miałby ją odnaleźć? Zostało mu jedynie wyczekiwanie, nic tylko czekanie, wypełnione czekaniem życie, na które czeka śmierć.

Myśli kotłowały się w jego głowie. Potworne wyczerpanie, może również działanie zastrzyku sprawiły, że zasnął. Ba, pograżył się we śnie niczym w śmiertelnej otchłani.

Później spostrzegł, że na powrót położyła się obok niego na kanapie. Była w wybornym nastroju. Tak, zatrzymał ją patrol, lecz okazali się dzentelmenami.

„Idź do swojego lekarza – powiedzieli. – Trzymaj w ręce białą chustkę, a nic złego cię nie spotka!”.

Nie, nie dotarła do domu dziwnego doktora Perniesa, lecz znalazła innego lekarza, wytwornego, wielce uprzejmego. Otworzył jej drzwi, będąc w pizamie, i od razu zrobił jej zastrzyk. Roześmiała się uszczęśliwiona. Jemu przyniosła tabletki, nie, nie zapomniała o swoim mężu, nigdy w życiu. Musi tylko niezwłocznie je zażyć, tak powiedział lekarz, są równie dobre jak morfina i bardzo silne. I znów się roześmiała.

– Patrz, mam też parę papierosów podarowanych mi przez jednego żołnierza z patrolu. Spójrz, osiem, dziesięć, dwanaście sztuk – czyż nie zachował się przyzwoicie?

„Tak nie można! – chciał zaprotestować Doll. – To wszystko zmierza w niedobrym kierunku. Nie powinniśmy tak postępować, ani w przypadku papierosów, ani morfiny. Już sprawa z panią Schulz to o wiele za dużo. Tak być nie może, nawet jeśli bym ze sto razy pomyślał, że jestem całkiem próżny. Tak być nie może, w przeciwnym razie będziemy zupełnie straceni. Dość już tej żebraniny o papierosy, dość już gonitwy po zastrzyki...”.

Nic jednak nie powiedział. Przytłoczyło go potworne znużenie, apatia powróciła ze zdwojoną siłą. Żadne słowa tu nie pomogą, Alma zawsze robi to, co zechce. Była tak daleko. Wyczuwał, słyszał ją oraz świat cały niby zza jakiejś zasłony, wszystko odbywało się bez jego udziału. Nic już go nie obchodziło; jakkolwiek by się starał, nie udawało mu się pozostać „tu i teraz”. Oczywiście, że wziął owe silne tabletki, które miały podziałać jak morfina. Może to one wymazały owe dręczące myśli i na chwilę oderwały go od tej ziemi...

W takim oto stanie tkwił dzień za dniem – ile ich upłynęło? Nie potrafił powiedzieć, ona też nie wiedziała. W pewnej chwili przebudził się z tego sztucznego głębokiego snu i spojrzał w niewielkie celofanowe okno. Było jasno, czy może ciemno, dzień czy noc – to było bez znaczenia, nie ruszył się z łóżka. I po co miałby wstawać? Tam na zewnątrz nic go nie czekało, nie miał przed sobą żadnych zadań czy obowiązków.

Mozolnie zebrał myśli, a następnie powoli się odwrócił i spojrzał przed siebie. Czasem spała obok niego, czasem zniknęła. Czasem to on zniknął (dziwnie to brzmi, ale tak właśnie było!), gdy uparcie nalegała, szedł do lekarza. Tak, nawet i to robił, jeśli zaszła konieczność, w rzeczywistości jednak wciąż leżał bez ruchu, nie miał bowiem przed sobą żadnego zadania, był zupełnie pusty...

Zazwyczaj jednak szła sama, choć z rany na jej nodze wciąż sączyła się ropa, a wszyscy lekarze powtarzali, że natychmiast powinna się udać do szpitala.

Odwiedzili już kilku, lecz żaden z nich nie mógł wiedzieć o pozostałych. Czasem, gdy Alma wezwała paru tego samego dnia, przejmował ją strach, że mogliby się przypadkiem spotkać, a wówczas by się wydało, ile zastrzyków bierze co wieczór. A jednak zawsze jej się udawało. Przeważnie dostawała kilka zastrzyków, dla niego już nie wystarczało, lecz zaopatrywała go w środki nasenne. Gdy zjawiali się lekarze, musiał się ubrać i udawać zdrowego małżonka. Kiedy uprzejmie rozprawał o stanie swej chorej żony, sam często wydawał się sobie upiorną zjawą.

Kiedy nie był w stanie zebrać się w sobie, chował się na czas ich wizyty w niewielkiej toalecie dla służby albo siadał w kucki w spalonym pokoju i wpatrywał się w ruiny. Cała ulica była niemal doszczętnie zniszczona. Widok zgliszcz nie działał już nań tak deprymująco, krajobraz ten przypominał bowiem jego własne wnętrze...

Kiedy lekarze wychodzili, kładł się i na powrót zapadał w sen. Albo leżał całymi godzinami jak ogłuszony. Przez wszystkie owe dni, ilekolwiek ich zliczyć, nie robili nic, absolutnie nic. Nie poszli do urzędu mieszkaniowego, nie troszczyli się o kartki żywnościowe. Nie postarali się nawet o drugą kanapę. Znajomym i krewnym nie dawali znaku życia. Leżeli, jakby gromem rażeni, ogłuszeni, sparaliżowani, równie niezdolni do myśli, jak i do czynów. Jedynie troska o lekarstwa i może jeszcze o papierosy wlewała w nich nieco życia...

Oczywiście, już dawno śmiertelnie by osłabli, gdyby pani Schulz o nich nie zadbała. Pomogła jej w tym również pani Dorle, przyjaciółka młodej pani Doll, która niespodziewanie się pojawiła – choć Doll nie wiedział, skąd i po co. (Nawet w normalnych czasach nie orientował się dobrze wśród licznych znajomych swej żony).

Pani Schulz, nawet w swej dobroci osoba wątpliwa, nie poradziłaby sobie jednak, gdyby opieka nad obojgiem chorych wymagała pewnej dozy systematyczności. Oznajmiła, że nazajutrz znów do nich zajrzy, a tymczasem nie pojawiała się przez dwa kolejne dni. Dollowie nie odczuwali wyraźnie upływu czasu, dzień, trzy dni, tydzień cały nie miał dla nich znaczenia. Jeśli głód stawał się zbyt nieznośny, pani Alma wymykała się do kuchni. Z niską tancerką, która wcale nie była tancerką, lecz aktorką – i to niemałej rangi! – a przede wszystkim z jej matką nawiązała nić niejakiej przyjaźni. Każda ze stron uznała swe początkowe obawy za bezpodstawne. Z wypraw do kuchni Alma zazwyczaj wracała z kawałkiem chleba albo nawet słoikiem marmolady, czasem też jedynie z talerzem pełnym zimnych ziemniaków albo paroma surowymi marchewkami.

Doll w ogóle nie protestował, jadł to, co mu podano. A potem znów próbowali zasnąć i zapomnieć o bożym świecie.

Była jeszcze ta Dorle, przyjaciółka jego żony. Wciąż bardzo młoda, miała pod opieką dziecko i matkę. Matka leżała w szpitalu od dnia zdobycia Berlina, postrzelono ją w nogę, rana nie chciała się goić. Dziecko wciąż było głodne. Nie, Dorle nie była w stanie, śladem pani Schulz, zadbać o wyżywienie Dollów, raczej korzystała z ich uprzejmości. Sprzątała jednak pokój, ścierała kurz, trochę dla nich prała i opatrywała ranę pani Doll. Była też zawsze gotowa sprowadzać nowych lekarzy, za każdym razem innych. Nigdy ich za wielu.

Gdyby nie należący do pani Doll pierścionek z brylantem, ich sytuacja finansowa byłaby rozpaczliwa. Przez tydzień czy dwa pani Schulz mogła zapewnić im wyżywienie, lecz nie dłużej – przypuszczalnie z powodu braku pieniędzy. Nic na ten temat nie mówiła, niemniej jednak białego chleba, dobrej kawy oraz papierosów zaczęło nagle brakować. Zamiast słów „Tanio! Tanio!” z ust pani Schulz płynęło teraz wyłącznie narzekanie: „Jakież to wszystko drogie! Dzieci! Moje dzieci!”.

Pewnego dnia pani Doll niespodziewanie oznajmiła, że zamierza zastawić swój brylantowy pierścionek. Nie, nie chciała go sprzedać, był dla niej zbyt cenny, jedynie zastawić. Doll zaprotestował, lecz mało stanowczo – cóż im bowiem w końcu pozostało? Leżeli, osłabieni i chorowici, nikt nie przynosił im pieniędzy, a za wszystko pieniędzmi trzeba było płacić. No cóż! Zastaw to dobry pomysł, Alma będzie mogła go później odzyskać. Któregoś dnia nastąpi przecież zwrot ku lepszemu, który umożliwi im wykupienie pierścionka. (Doll doskonale jednak wiedział, że okłamuje żonę i samego siebie, na ów zwrot ku lepszemu nie było bowiem najskromniejszej choćby nadziei). Zastaw pierścionka powierzono pani Schulz.

Następnego dnia wróciła jednak z niczym. Znalazła co prawda poważnych, oferujących wysoką cenę kupców, lecz w zastaw nikt nie chciał go przyjąć. Pożyczanie pieniędzy nie było w obecnych czasach korzystnym interesem; nikt po miesiącu nie mógł spłacić tylu odsetek, ile na czarnym rynku można było zarobić w ciągu jednego dnia. Owszem, pierścionek chętnie by odkupiono; po dłuższym rozpytywaniu dowiedziała się, że można by za niego otrzymać dwanaście tysięcy marek. Z pewnością dobra to cena, prawda? Bo i sam pierścionek był porządny, platynowa oprawa, brylant z białym ogniem, bez skazy, prawie pięć ćwierci karata.

Kwestie finansowe pani Alma traktowała w sposób nieco zaskakujący – nawet dla własnego męża. Kazała sobie zwrócić pierścionek.

– Nie – oznajmiła potem mężowi – skoro proponują dwanaście tysięcy, zapłacą i piętnaście, prawdopodobnie też od razu zaproponowali piętnaście, a trzy tysiące różnicy chce zainkasować Schulzowa. Nie, sprzedam pierścionek za pośrednictwem Bena, on ma znacznie lepsze kontakty...

Ben! Pierścionek bez wątpienia należał do Almy, dostała go w prezencie od pierwszego męża, Doll postanowił więc ani słowem nie wtrącać się do sprawy jego sprzedaży. Teraz jednak aż krzyknął, otrząsnąwszy się na chwilę z apatii i zatrucia środkami nasennymi:

– Akurat Bena! Który nas tak nikczemnie potraktował!

– To nie on, tylko te dwie baby! – zaproponowała pani Alma. – Pamiętasz? Tamtego dnia nie miał akurat czasu.

– Nawet cię nie poczęstował papierosem! – zawołał Doll.

– My także często nie mamy papierosów – odparła Alma. – Pozwól mi to zrobić! Zobaczysz, u Bena dostaniemy znacznie wyższą cenę!

– Rób, co chcesz! – Po tych słowach Doll na powrót pogrzyżył się w apatii. – Życzę ci tylko, byś znów się na Benie nie zawiodła!

W następstwie tej rozmowy któregoś dnia pojawił się u nich pan Ben. Oboje małżonkowie wciąż leżeli w łóżku, choć dochodziło już południe. Ben, szpakowaty mężczyzna o ciemnych, żarzących się oczach, nie dał jednak poznać po sobie zaskoczenia, ucałował rękę młodej kobiety, uważnie obejrzał pierścionek, po czym oznajmił, że co prawda nie zna się na kamieniach szlachetnych, lecz sprawdzi, czy uda się uzyskać żadaną cenę dwudziestu tysięcy marek. W każdym razie spróbuje wyciągnąć, ile tylko zdoła, Alma dobrze go przecież zna. Pozostawiwszy im na pokrycie najpilniejszych potrzeb tysiąc pięćset marek, jakie przypadkiem miał przy sobie, całując rączki, zniknął, zabierając z sobą pierścionek...

Nie wiadomo, czy pani Schulz poczuła złość, gdy odebrano jej pierścionek (wraz z którym być może umknęła jej znaczna prowizja), w każdym razie posiadała wrodzony talent do interesów. Pozostawiona przez Bena suma tysiąca pięćset marek nie przeleżała u Dollów nawet pół dnia, gdy pani Schulz pojawiła się z notatnikiem, twierdząc, że oboje mają u niej dług, i to znacznie większy niż owe tysiąc pięćset marek. Dollowie słuchali ze zdumieniem, gdy odczytywała im niekończącą się litanię o papierosach, kawie, cukrze, soli, ciastkach i ziemniakach. Nie zabrakło nawet wzmianki o owej ścianie wymurowanej przez pewnego rzemieślnika w ramach „przysługi” – przysługi, za którą człowiek ten słono sobie policzył. Od pierwszego dnia wszystko dokładnie zapisywała; nawet to, co podarowała im w prezencie i za co odpłacono jej serdeczną wdzięcznością,

znalazło się teraz na liście płatnych towarów, wcale nie tanich, nie tanich! Niebezpieczne było też przypuszczenie, że pani Schulz uwzględniła w rozliczeniu nie tylko dostarczone im artykuły, lecz także papierosy, których nigdy nie wypalili, oraz kawę, której nigdy nie skosztowali...

Przy tej okazji doszłoby pewnie do gwałtownej, choć zarazem oczyszczającej kłótni, gdyby Dollowie nie byli tak bardzo obojętni wobec wszystkiego, co się wokół nich i z nimi samymi działo. Ot, skończyło się na krótkim wybuchu gniewu, lecz nie w obecności pani Schulz (która po podłożeniu takiej bomby rozsądnie się wycofała i w oddali czekała na rozwój wypadków). Alma w każdym razie przyrzekła sobie, że nigdy więcej niczego od Schulzowej nie przyjmie, choćby to był i pojedynczy papieros. Kwota tysiąca pięciuset marek zmieniła więc właściciela, Ben zaś został za pośrednictwem pani Dorle powiadomiony, że niezwłocznie musi dostarczyć kolejną sumę.

Tym razem jednak Ben dał sobie kilka dni czasu. Kiedy w końcu się pojawił, oznajmił, że pierścionek nadal nie został sprzedany. Ku swemu wielkiemu ubolewaniu musiał przyznać, że ceny złota i kamieni szlachetnych właśnie spadały, jest to zatem kiepski moment na sprzedaż. Ma na widoku kogoś, kto byłby skłonny wyłożyć żadaną sumę, może nie dwadzieścia, lecz jakieś dziewiętnaście albo osiemnaście tysięcy. Tak czy owak: „Wiesz przecież, Almo, zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy!”.

Zostawił im też dwa tysiące wysupłane z własnych oszczędności, i to z ciężkim sercem, co wielokrotnie podkreślał.

Dollowie znów nabrali nieco animuszu. Pani Schulz wypłacono resztę zaległości, od tej pory jednak to Dorle robiła dla nich wszelkie zakupy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rozstanie Dollów

Dollowie nie potrafiliby powiedzieć, ile dni i tygodni przeleżeli na kanapie. W każdym razie czas przesączał się bez końca, nigdy nie byli w pełni przytomni ani zajęci czymkolwiek, co wykraczało poza najpilniejsze potrzeby życiowe.

Młoda kobieta coraz częściej potrzebowała narkotykowych zastrzyków, natomiast lekarze byli coraz mniej skłonni je podawać. Nielezione ropienie rany uda coraz bardziej jej dokuczało. Lekarze coraz usilniej wzywali: „Albo szpital, albo zaniechanie leczenia!”.

Także sytuacja finansowa Dollów stawała się coraz bardziej beznadziejna. Ben coraz rzadziej do nich zachodził i przynosił coraz mniej pieniędzy. Wciąż nie udało mu się sprzedać pierścionka, „z poświęceniem” musiał więc wysupływać z własnych oszczędności coraz skromniejsze sumy, najpierw tysiąc marek, potem ledwie pięćset. Sytuacja na rynku kamieni szlachetnych przedstawiała się fatalnie. Sprzedaż była obecnie niewskazana, nie zdołano by uzyskać piętnastu tysięcy, może nawet znacznie mniej. Mimo to nie ustawał w wysiłkach, wierny przyjaciel Almy...

Aż któregoś dnia młoda kobieta oznajmiła nagle zdecydowanym tonem:

– Jeszcze dziś zgłoszę się do szpitala! – A chwilę później dodała: – A ciebie umieszczę przedtem w sanatorium!

Tym razem nie skończyło się na samych deklaracjach. Młoda kobieta kipiała energią, jakiej nie wykazywała od wielu dni i miesięcy. Zebrała trochę bielizny i przyborów toaletowych dla męża, a kiedy zapytał: „A co ty z sobą weźmiesz?”, odparła krótko: „Nie twoje zmartwienie. Poradzę sobie!”.

Gdyby Doll był nieco bardziej przytomny, a mniej apatyczny, nie zdołałby się otrząsnąć ze zdziwienia, patrząc na ów nagły przypływ wigoru. Pani Alma udała się nawet do burmistrza swego okręgu i ubłagała go o wypożyczenie samochodu, by mogła przewieźć do sanatorium ciężko chorego męża.

W końcu Doll wybudził się tam z głębokiego snu, snu podobnego śmierci, pozbawionego wspomnień i rojeń, a nawet tchu... Wciąż zamroczony, z trudem rozejrzał się wokół, chcąc się dowiedzieć, gdzie się znalazł, gdzie się podziewa Alma. Wyczuwał ją zawsze w łóżku obok siebie, teraz zniknęła, pozostał całkiem

sam. Odkrycie to przeszło go niepokojem, szybciej rozwiała się w jego umyśle mgła środków nasennych. Usiadł i zaczął się rozglądać...

Siedział na lakierowanym niegdyś na biało, obitym, żelaznym łóżku, jego ciało przykrywała niebieska kraciasta kołdra. Pokój był niewielki, stało w nim tylko jego łóżko. Ściana mniej więcej do wysokości człowieka była pomalowana zieloną farbą olejną, wyżej bielona, podobnie jak sufit, na którym paliła się elektryczna lampa. Kawałek sufitu odpadł, dostrzegł fragment plecionki oraz deski, do których był przytwierdzony...

Przez chwilę przyglądał się wszystkiemu. Zastanawiał się, gdzie już kiedyś widział ten uszkodzony sufit. Nagle sobie przypomniał. Nagle przypomniał sobie noc z piętnastego na szesnastego lutego 1944, kiedy Berlin padł ofiarą jednego z najbardziej przerażających, trwającego pięćdziesiąt pięć minut nalotu bombowego. Przez pięćdziesiąt pięć minut bomby spadały w najbliższym otoczeniu sanatorium, a ulicę dalej wybuch zrównał wszystko z ziemią. Oni, chorzy, oraz opiekujące się nimi siostry, siedzący w przyciasnym, sięgającym ponad powierzchnię ziemi schronie przeciwlotniczym, widzieli rozbłyskujące ze wszystkich stron łuny pożarów. Kiedy po odwołaniu alarmu wrócili na górę, w pokojach leżały odłamki okiennego szkła, a sufity w większości się zapadły. To właśnie tamtej nocy odpadł też z sufitu ów fragment tynku.

Przypomniał to sobie teraz ze wszystkimi szczegółami. Jakby znów poczuł zgrozę, wypełniający tamtą noc strach. Miał wrażenie, że lada chwila znów rozlegnie się dźwięk syreny i pogna go do piwnicy na kolejną okropną godzinę męczarni.

Potem jednak sobie uświadomił: mamy teraz pokój, pokój... Nie było słycać wycia syren. Spokojnie mógł dalej spać aż do świtu w swej sanatoryjnej „celi dla furiatów”, nazywanej przez siostrę Emerencję „izdebką”. Jak on, pan Doll, trafił do tej izdebki?! Czy był aż tak niespokojny, aż tak dokazywał? Nigdy jeszcze w trakcie wcześniejszych pobytów w sanatorium nie znalazł się w tym pokoju! W każdym razie nie leżał na samym materacu, zostawiono mu łóżko, a więc aż tak strasznie być nie mogło! Dopiero teraz zauważył, że obite żelazem drzwi celi pozostawały uchylone, a zatem aż tak źle z nim nie było.

Doll ostrożnie usiadł na brzegu łóżka. Wskutek zażywania środków nasennych nadal czuł się trochę niepewnie, lecz podpierając się o ścianę, da radę iść o własnych siłach. Mimowolnie rozejrzał się za pantoflami i szlafrokiem. Przypomniał sobie jednak, że nic takiego nie posiadał. Zarzucił więc na ramiona kołdrę i wyszedł na korytarz, a potem do hallu.

W dużym, obitym aksamitem fotelu przy świetle niewielkiej lampki siedział pełniący nocny dyżur pielęgniarz. Doll obserwował go przez chwilę z oddali. Nie, nie był to ów sympatyczny Holender, który przez cały okres wojny dyżurował nocami, a podczas nalotów, w huku spadających bomb, nierzadko znosił ostatnich krnąbrnych pacjentów do piwnicy. Tego pielęgniarza nie znał. Ale co tam!

Doll odchrząknął, ruszył przed siebie. Pielęgniarz zerwał się z lekkiego półsnu, spojrział w półmrok, a kiedy poznał Dolla, opuścił z ulgą głowę.

– Cóż to, pan też nie śpi? – zapytał. A po chwili dodał: – Niech się pan nie przeziębi, chodząc boso!

– Gdzie tam! – zachnął się Doll, usiadł naprzeciw niego w wiklinowym fotelu i owinął nogi kołdrą. – Nigdy się nie przeziębiam. Twardy jestem. Którejś zimy pół dnia przeleżałem przed herbaciarnią na czerwonych płytkach i nic mi się nie stało.

– No pięknie! A czemu pan to zrobił?

– Nie mam pojęcia! – przyznał Doll. – Prawdopodobnie by zdobyć pewien środek, którego inaczej by mi nie podali. Czy zastąpił pan Simona Booma?

– A kto to? Ach tak, już wiem, to ten Holender! Nie, nie znałem go. Odszedł zaraz po upadku. Jestem tu dopiero od kilku tygodni.

– Czy jest ktoś jeszcze ze starszych pracowników? Z pewnością pan słyszał, często tu bywałem, w pewnym sensie jestem tu stałym gościem.

Powiedział to nie bez odrobiny dumy w głosie. Była to placówka, do której się zawsze udawał, gdy zawodziły go podrażnione, wciąż osłabione nerwy. Przeżył tu niejedną ciężką godzinę, mimo depresji, której bez reszty się poddawał, pod wpływem której sam zaczynał wątpić we własny rozum, zawsze udawało mu się jednak dojść do siebie. Nagle, z dnia na dzień, uznawał się za zdrowego i wracał do swoich zajęć...

Lubił ten dom, w szczególności oddział z długim korytarzem prowadzącym do toalet, gdzie o każdej porze dnia i nocy rozbrzmiewały odgłosy ludzkich kroków, korytarz wyłożony czerwono-brunatnym linoleum, na który wychodziło tyle białych drzwi, wszystkie zresztą pozbawione klamek, otwierane wyłącznie kluczami pielęgniarzy, o dużych przeszklonych oknach umożliwiającymi wgląd do wnętrza pokoju, oknach z tak mocnego szkła, że nawet nogą od krzesła nie zdołałby go rozbić żaden, choćby i najbardziej wzburzony pacjent.

Lubił tę tajemniczą atmosferę, narastającą po każdym „exitus”, pielęgniarzy stojących wokół bezradnie i zaganiających do pokojów wszystkich chorych, którzy nie powinni się dowiedzieć o kolejnym śmiertelnym przypadku. Śmierć kogoś w sanatorium była zawsze „kłopotliwa”, wszyscy pracownicy odbierali ją

w pewnym sensie jako hańbę, tutaj się przecież nie umierało, tutaj człowiek miał ozdrowieć! Kierownictwu udawało się też zazwyczaj przeszmuglować takiego morybunda na krótko przed śmiercią do miejskiego szpitala.

Lubił „dni terapii szokowej”, kiedy chorym aplikowano kardiazol albo insulinę, albo wstrząsano nimi za pomocą elektrycznych impulsów. Do jego pokoju dobiegał wówczas krzyk tracących przytomność pacjentów, przypominający wrzask epileptyka. Potem zapadała głęboka cisza, jakby ci, których oszczędzono, nie mieli odwagi się poruszyć, by nie ściągnąć na siebie podobnego losu.

Sz szczególnie lubił zakazane przesiadywanie w „herbaciarni”, w której nie parzono już herbaty, lecz jedynie zmywano. Długo gawędził tam z pielęgniarką, znała go od wielu lat i rozpieszczała jedzeniem, póki to było możliwe. Lubił tę młodszą, nadal pociągającą kobietę, która od dwudziestu już lat przebywała wśród powolnie dogorywających mężczyzn i mimo utraty wszelkich iluzji zachowała zdrowy rozsądek, wciąż gotowa pomagać innym.

Lubił też wizyty lekarzy ubranych w długie, nieskazitelnie białe kitle, dla których każdy z chorych był jedynie „przypadkiem” – skoro tylko przewyciężono jego ostre stadium, natychmiast tracili wszelkie nim zainteresowanie. Mimo swej skromności czuł rozbawienie na widok owych psychiatrów, obserwujących u pacjentów najdrobniejsze nawet zmiany nastroju, dla których jednak dolegliwości cielesne w ogóle nie istniały. Lubił tych lekarzy właśnie dlatego, że im byli starsi i mądrzejsi, tym bardziej upodobniali się do swych chorych pacjentów, gdyż zdawali się zatracać wszelki kontakt z prawdziwym życiem.

Lubił spacerować po niewielkich, okolonych wysokim murem ogrodach, do ogrodów w ogóle niepodobnych, będących miejscem absolutnej beznadziei. Lubił rozlegający się nagle na korytarzu hałas, gdy któregoś ze wzburzonych pacjentów prowadzono spiesznie do celi albo łazienki. Lubił całą tę placówkę, z jej gęstą, duszną atmosferą, z poczuciem bezpieczeństwa, z życiem za wąskimi żelaznymi oknami; czuł się tu jak w domu.

– Niech mi pan powie – zapytał później nocnego pielęgniacza Bachmanna – czemu właściwie znalazłem się w bunkrze? Czy byłem aż tak rozsierzony? Czyżbym coś rozbił?

– Nic a nic! – odparł pielęgniacz. – Był pan potulny jak baranek. Kiedy się pan zjawił, nie mieliśmy nic wolnego, to dlatego tam pana umieszczono.

– Siedział pan tu, gdy przybyłem? Widział pan moją żonę?

– Nie, zjawił się pan przed moją zmianą, po południu. O niczym nie wiem. Był pan chyba niezłe nafaszerowany, a dostał pan jeszcze więcej.

– No tak! – odparł Doll. – No tak! – Lecz nie kontynuował rozmowy, siedział cicho, mocniej otulił się kołdrą. Naraz uzmysłowił sobie, że nawet nie wie, do którego szpitala trafiła Alma! Nie mógł do niej napisać, wysłać do niej wiadomości, wezwać jej. Został sam, po długim czasie znów był całkiem sam. Poczł nagle, jak bardzo jest osłabiony i jak źle mu się wiedzie.

Wstał. Mimowolnie zaczął chodzić tam i z powrotem z kołdrą zarzuconą na ramiona. Niejedną noc przewędrował tak długim korytarzem, usiłując przetrwać niekończące się bezsenne godziny.

Napotkał pielęgniarkę. Nie bacząc na pozostałych śpiących, zawołała swym pogodnym, podstarzałym głosem:

– No i mamy z powrotem naszego doktora Dolla! I jak się pan miewa, doktorze? Jak się panu podoba izdebka? Hi, hi, hi, hi, no to siostra Emerencja zrobiła psikusa, umieszczając tam doktora Dolla, naszego stałego gościa! Niech się nie martwi, doktorze, to się jeszcze może zmienić! Mamy ponad dwieście zgłoszeń i od tygodni żadnego wolnego łóżka. Gdy zjawia się ktoś bez wcześniejszego zgłoszenia...

– Miałem przecież skierowanie – mruknął Doll. Niezupełnie była to prawda, ale...

– Tak, tak, oczywiście! – zawołała siostra coraz bardziej zapalczywym i roziskrzonym tonem. – To zresztą żaden wstyd leżeć w celi, jeśli się jest tak dzielny i grzecznym jak doktor Doll, prawda, panie Bachmann? – Pielęgniarka wymamrotał swoją aprobatę. – Ale teraz wrócimy grzecznie do łóżka! Za wcześnie na takie spacerki, dopiero pół do trzeciej... Jeszcze się pan przezięb!

– Ja się nigdy nie przeziębiam...

– Ależ tak, tak, oczywiście, że się przezięb. A jeśli nie może pan spać, dam panu coś dobrego. Co by pan chciał dostać na sen?

Gdyby nie miał już dość, pytanie to z miejsca przypomniałoby mu o starej sztuczce, pozwalającej zdobyć tyle środków nasennych, ile to tylko możliwe.

– Ach, proszę mi pozwolić pospacerować w spokoju! – odparł nieprzychylnym tonem. – Nie poda mi pani nic sensownego, wszyscy oszukujecie tylko biednego, mizernego chorego!

Siostra Trudchen wydała z siebie dźwięczny krzyk przerażenia.

– Ależ panie doktorze, jak może pan mówić coś takiego, pan, człowiek wykształcony! Kiedy ja pana oszukałam? Ależ oczywiście – ciągnęła – jeśli ktoś

jest niegrzeczny i wciąż robi awantury, daję mu czasem skopolaminę zamiast luminalu. To nie jest żadne oszustwo, to środek leczniczy!

– Ach tak!

– Ale w pana przypadku, doktorze, to nigdy nie było konieczne! Wie pan co, podam panu paraldehyd! Nazywał go pan zawsze swoją wódeczką, zawsze chętnie pan to brał!

– No tak, a ile zechce mi pani tego podać? – zapytał Doll, okazując żywe zainteresowanie. Paraldehyd nie był złą propozycją pani Trudchen. Po ponad trzydziestu latach pełnienia nocnej służby w sanatorium wiedziała, z kim ma do czynienia. Zastępowała w zupełności dyżurnego lekarza, dlatego tajny radca dawał jej wolną rękę także w kwestii medykamentów.

– Ile zmierzam panu dać? – powtórzyła siostra, obrzucając Dolla przelotnym, taksującym spojrzeniem, by ocenić, ile może potrzebować. – Cóż, dam panu trzy kreski paralu...

Doll jednym ruchem naciągnął kołdrę na ramiona, zamierzając znów maszerować tam i z powrotem po pokoju.

– Te swoje trzy kreski paralu może sobie pani zatrzymać dla siebie, siostró Trudchen! – odparł z pogardą w głosie. – To ja już wolę całą noc spacerować niż przystać na takie dziecinne porcyjki. – Odchodząc zaś, dodał kategorycznie: – Chcę dostać co najmniej osiem!

Krzyk, tłumaczenia, zaklęcia. Doktor Doll doskonale przecież wie, że pięć kresek to dawka maksymalna. Doktora Dolla nic a nic nie obchodzi coś tak śmiesznego i wydumanego jak dawka maksymalna. On jest truciznoodporny! Kiedyś dostał nawet szesnaście parali (czysta konfabulacja!). Zaczęło się targowanie, siostra Trudchen zaklinała i błagała, Doll, dumny jak paw, gardził jałmużną, wciąż gotowy odejść, lecz wewnętrznie całą tą sytuacją nad wyraz rozdrażniony. „Ależ jesteście głupi – ocenił w myślach. – I bez żadnego środka nasennego będę spał jak zabity, wciąż jestem tym nafaszerowany. A właśnie że nie!”. W końcu oboje przystali na sześć kresek. Doll obiecał od razu pójść do łóżka, siostra zobowiązała się nie rozcieńczać paraldehydu wodą.

– Jeśli wypali panu gardło, doktorze, wcale nie będzie mi pana żal!

Doll znów leży na łóżku w izdebce. Miał rację, to naprawdę świetna placówka. Leży wygodnie, z rękami pod głową, oczekując na podanie mu silnego środka nasennego. Przelotnie myśli o Almie, lecz bez nuty tęsknoty, bez nieodpartej potrzeby natychmiastowego z nią kontaktu. To nie jest konieczne. Alma także przebywa w szpitalu, codziennie leczą i opatrują jej ranę. Podobnie jak on jest pod dobrą opieką, nie ma zatem powodu do zmartwień!

Na środek nasenny, jak i na wszystko w tym sanatorium, długo kazano mu czekać. To sztuczka stosowana po to, by w oczach pacjenta podnieść jego wartość, albo zwyczajne guzdralstwo. Chorzy mają przecież mnóstwo czasu, mogą poczekać. Doll słyszy dobiegającą z pokoiku nieskrępowaną, głośną rozmowę siostry Trudchen z pielęgniarzem. Dawniej protestował czasem przeciw owej bezwzględności, z jaką zakłócano drogocenny sen chorych. Teraz tylko się z tego śmieje. Również i to stanowiło o charakterze placówki. Z powodu owego awanturnictwa ponosiła tylko straty: tym więcej środków nasennych trzeba było podać pacjentom!

Po chwili Doll zrozumiał, że idiotyczny to wniosek. Lekarzom z pewnością nie przeszkadzało, jeśli pacjenci dostawali zbyt dużo środków nasennych. Szkodziło to wyłącznie chorym, którzy całymi dniami chodzili potem otepiali jak baranie głowy. Co się tyczy przypadku Dolla, siostrze Trudchen było całkiem obojętne, czy otrzyma on trzy, osiem czy szesnaście kresek paraldehydu. Na dobrą sprawę w ogóle go nie potrzebował, czuł się tak błogo w swym łóżku. Jego lodowate członki powoli się rozgrzewały, wystarczyło się odwrócić i zasnąć.

Ależ nie, lepiej zostać kompletnie zgaszonym, naraz przestać istnieć.

Na początku tomu nowel Irene Forbes-Mosse widnieje pewien wiersz. Nosi tytuł *Mała śmierć* i zaczyna się od słów: „Tę małą śmierć z radością bym powitał, tę małą śmierć przy pierwszym blasku gwiazd...”.

Poetka z pewnością myślała o zupełnie innym rodzaju śmierci, lecz Doll owo szybkie gaśnięcie pod wpływem lekarstw określał mianem swojej Małej Śmierci. Lubił ją. W ostatnim czasie wiele rozmyślał o jej siostrze, Wielkiej Śmierci, obcował z nią w pewnym sensie nieomal namacalnie. Przywykł do tego, by postrzegać ją jako swą jedyną, ostatnią nadzieję, która na pewno nie przyniesie mu rozczarowania. Potrzebował tylko nieco więcej determinacji, a będzie po wszystkim. Do czasu, aż pojawi się u niego owo „nieco więcej determinacji”, zadowalał się swoją Małą Śmiercią. Czekał właśnie na sześć gramów paralu; skoro tylko go dostanie, wszelkie przemyślenia i analizy się rozwieją. Nie będzie się musiał dłużej zadręczać, z niczego się tłumaczyć. Dlaczego pan doktor Doll czynił to, a na tamto nie zważał? Pana Dolla po prostu już nie będzie...

Bądź co bądź nadszedł już czas, by wreszcie podano mu środki nasenne. Doll zrywa się z łóżka. Idzie do pokoju sióstr, drzwi są otwarte. Dostrzega go pielęgniarz:

– To znów pan doktor Doll! Siostro, niechże już mu pani poda, co trzeba!

Siostra, sięgając po brązową butelkę, woła (wciąż urażona krzywdzącym podejrzeniem Dolla):

– Pan doktor sam się przekona, że nie oszukuję! Ja i oszustwo! Już raczej naleję za dużo niż za mało!

I nalewa. Wokół roznosi się charakterystyczna woń paraldehydu. W rzeczywistości środek ten cuchnie niemiłosiernie, dla Dolla miły to jednak zapach, wyborny! W napięciu obserwuje siostrę, a nawet kiwa potakująco głową, gdy słyszy jej słowa:

– Proszę spojrzeć, zaraz będzie siedem! I niby jaka ja jestem dla pana, doktorze?

On jednak nie jest w nastroju do rozmowy. Już trzyma w ręce kieliszek z lekarstwem, wreszcie, nareszcie pochwycił w dłonie głęboki sen, Małą Śmierć, owiał go jej zapach. Nie, teraz nie będzie rozmawiał. Jego twarz spoważniała, przybrała niemal pochmurny wyraz, został sam na sam ze sobą i swoim snem. Jednym haustem opróżnia zawartość kieliszka. Pali znacznie mocniej niż najmocniejszy alkohol, zdaje się wyzerać wewnątrz jego ust, uniemożliwia oddychanie. Jakkolwiek bardzo tego nie lubi, musi wypić dwa drobne łyki wody, osłabiając tym samym ów wspaniały smak śmierci. Następnie raz jeszcze spogląda na oboje, mruży krótkie „Dobranoc” i wraca do swojej celi, do łóżka. Leży jeszcze przez chwilę, założywszy ręce pod głowę, nieruchomo wpatruje się w światło.

Myśli przepływają przez jego głowę niczym obłoki, chciałby rozważyć jeszcze to i owo, po chwili jednak umyka już z tego świata w ramiona swej ukochanej Małej Śmierci...

W którymś momencie ponownie się budzi, za każdym razem w innym nastroju. Czasem całymi godzinami leży ponury w swej celi, wypowiada ledwie najpotrzebniejsze słowa, odwraca się do ściany i odmawia wszelkich informacji przychodzącym z wizytą lekarzom. Albo płacze cicho przez wiele godzin, ogarnia go niezmierna litość dla siebie i zmarnotrawionego życia, czuje, że musi umrzeć. W takie dni nic nie je ani nie pije, niech widzą, jak zdycha w tej swojej cuchnącej celi... Kiedy indziej jest znów w dobrym humorze, zarzuciwszy kołdrę na ramiona, zagląda wszędzie i rozmawia z innymi pacjentami.

Młody ordynator był wobec niego uprzejmy, usiłował mu pomóc, chciał zrozumieć, skąd u Dolla bierze się owa mieszanina apatii i zwątpienia. Doll jednak nie chciał o tym rozmawiać, prawdopodobnie nigdy nie będzie w stanie o tym mówić, nawet z własną żoną, Alną. Być może któregoś dnia zdoła się od tego uwolnić, lecz dopiero wówczas, gdy wszystko przeminie. Czasem wierzył w to, że znów wyzdrowieje, że pojawi się coś, co wypełni jego wewnętrzną pustkę. Rzadkie były to jednak godziny.

Zazwyczaj starał się odwrócić uwagę młodego lekarza; opowiadał o swoim życiu, mówił o książkach albo pozwalał mu na zwierzenia na temat kiepskiego wynagrodzenia, jeszcze gorszego wyżywienia, nadmiernie wymagającej służby, wstrętnego zachowania tajnego radcy wobec współpracowników. Albo też usiłował się czegoś od młodego lekarza dowiedzieć o sposobach popełnienia samobójstwa. W tej kwestii wykazał się niemałą zręcznością; zbierał wiadomości o cyjanku, morfinie, skopolaminie, ich śmiertelnych dawkach, o wstrzykiwaniu do żył powietrza w celu spowodowania zatoru, o insulinie, pozwalającej na trudne do wykrycia samobójstwo. Gromadził materiały, chciał się przygotować, nim wreszcie jakaś godzina ofiaruje mu dość siły, by „to” zrobić, by wybrać jedyną drogę, jaka Niemcowi jeszcze pozostała.

Część druga
Ozdrowienie

ROZDZIAŁ ÓSMY

Samowolne zwolnienie

Kiedy Doll wiódł ów beczynny żywot na oddziale trzecim dla mężczyzn, z każdym dniem coraz bardziej przytomny skutek coraz skromniejszych dawek środków nasennych, jako stały bywalec sanatorium nie mógł nie zauważyć, że jego klientela znacząco się zmieniała. Paralitycy i schizofrenicy znaleźli się w odwrocie, szybko wzrastała zaś liczba pacjentów, którzy nie wydawali się chorzy ani umysłowo, ani psychicznie.

Pacjenci ci przybywali zazwyczaj w godzinach wieczornych, rzadko kiedy towarzyszyli im krewni. Cechowała ich często upiorna niemal wesołość, byli skorzy do rozmowy, wspaniałomyślnie częstowali najdroższymi angielskimi i amerykańskimi papierosami. Dwaj pielęgniarze z łagodną perswazją prowadzili ich później do łazienki; kiedy siedzieli w wannie, siostra oddziałowa oraz pielęgniarka z zapalem przystępowały do przeszukania ich rzeczy. Doll czasem się temu przyglądał i stwierdził, że z drobiazgową dokładnością sprawdzano każdy zakamarek kieszeni i każdą kopertę, podczas gdy zazwyczaj zadowalano się zabranieniem wszelkich ostrych i kłujących przedmiotów, może jeszcze sznura od szlafroka, wykorzystywanego przez niektórych desperatów do prób samobójczych.

Kiedy nowo przybyli wychodzili z łazienki, mimo protestów niezwłocznie prowadzono ich do pokoi. Żadnych dalszych rozmów z innymi pacjentami. Siostra słała łóżko, pojawiał się młody lekarz, zazwyczaj podawano zastrzyk dożylny, po czym pacjent zasypiał. W tym stanie uśpiania utrzymywano go zwykle przez tydzień. Czasem w pokoju robiło się głośno, rozlegały się wrzaski, narastał odgłos szurających stóp, przez okienko w drzwiach Doll dostrzegł przelotnie postać w piżamie pasującą się z siostrą i pielęgniarzem, słyszał wezwania „Nie róbcie ze mnie wariata! Chcę...” oraz uspokajające nagabywania „Trochę cierpliwości, panie doktorze!”. (Niemal wszystkich owych pacjentów tytułowano „Panie doktorze”). „Zaraz przyjdzie lekarz...”.

Rzeczywiście, wezwany telefonicznie lekarz przybywał niezwłocznie, nierzadko był to tajny radca we własnej osobie, aplikowano kolejne zastrzyki, dalsze środki nasenne, aż wreszcie zapadała cisza.

Po upływie pierwszego tygodnia pacjent pojawiał się czasem na korytarzu, prowadzony przez siostrę pod ramię. Z nabrzmiałą twarzą wędrował zamroczony środkami nasennymi do lub z toalety, dość często się zdarzało, że przystawał w połowie drogi, opierał głowę o ścianę i wzdychał: „Dłużej nie mogę, dłużej już nie wytrzymam! Jaki ze mnie idiota, że tu przyszedłem!”.

Idiota czy nie, nawet laik musiał jednak przyznać, że z owymi chorymi błyskawicznie sobie radzono. Większość z nich już w trzecim tygodniu chodziła w ubraniu po korytarzu, opierała się o okna i wyglądała na zewnątrz. „Najwyższy czas stąd wyjść!” – stwierdzali zniecierpliwieni. Zazwyczaj szybko znikali, szczególnie ci, których słusznie tytułowano „Panie doktorze”. W ich miejsce pojawiali się nowi.

Nawet człowiek niezaznajomiony z charakterem tego typu placówek już po trzech dniach domyśliłby się, jak się rzeczy mają. Pewnego razu jeden z owych „doktorów” całkiem otwarcie rzekł do Dolla:

– Tak, mój drogi, panu to dobrze, może pan tu zostać, dokąd pan zechce. Ja muszę stąd wyjść możliwie jak najszybciej. Nikt tam na zewnątrz nie może zauważyć, że tu przebywam, i nie może się dowiedzieć dlaczego.

Oczywiście, że nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Byli to bowiem uzależnieni od morfiny lekarze, kurujący się ze swego nałogu w tajemnicy przed budzącym postrach urzędem do spraw zdrowia. Przeważająca ich większość miała stosunkowo najłatwiejszy dostęp do skąpych zapasów morfiny. Gdyby tego narkotyku było pod dostatkiem, gdyby można go było bez trudu kupić, z pewnością trzy czwarte niemieckiego społeczeństwa usiłowałyby z jego pomocą zagłuszyć w sobie ową chorobę czasu, bezdenną jak otchłań rozpacz i apatię.

Byli to zatem w większości lekarze oraz wszelkiej maści bogacze, którzy mogli sobie pozwolić na czarnorynkowe ceny morfiny. Zaczynali od jednego, dwóch zastrzyków. Ofiarowały im one poczucie uwolnienia się od trosk; zimno, głód, cierpienie z powodu utraty bliskich i majątku przestawały mieć znaczenie. Z czasem jednak musieli powoli zwiększać dawki. Porcja sprzed tygodnia dziś już nie wystarczała. Potrzebowali coraz więcej i więcej. Z początku przyjmowali zastrzyk jedynie pod wieczór, przed zaśnięciem, potem pomagał im przetrwać popołudniowe, dłużące się niemiłosiernie godziny, w końcu nie potrafili się nad ranem podnieść z łóżka, mając przed sobą niekończący się szary dzień. Ostatecznie zużywali takie ilości morfiny, że wzbudzali tym podejrzliwość u aptekarzy albo tracili zupełnie ochotę do pracy. Ich żony, krewnych, znajomych napełniała nieufność, na szali kładli swe małżeństwo, mieszczańskie życie,

egzystencję: uzależniony od morfiny lekarz przeobrażał się w niebezpiecznego chorego. Naprędce ratowali się ucieczką do sanatorium. Oficjalnie leczyli anginę, uczynny kolega przejmował tymczasem ich gabinet – byleby tylko nadzorujący ich pracę urząd do spraw zdrowia o niczym się nie dowiedział!

W owym nieprzerwanym korowodzie uzależnionych Doll widział swych towarzyszy niedoli, ludzi do niego podobnych, którzy rozczarowani sobą i Niemcami, załamywali się pod ciężarem wszelkich upokorzeń i nieprzyzwoitości i uciekali w krainę sztucznych rajów. Wszyscy oni – tak samo jak on – poszukiwali Małej Śmierci. Wszyscy oni żywili znikomą odrobinę nadziei, która powstrzymywała ich przed ostatecznym krokiem, wszystkim, podobnie jak Dollowi, brakowało ostatniego, decydującego impulsu. Wciąż tylko ucieczka od terażniejszości, odmowa dźwigania ciężaru, jaki nałożyła na barki wszystkich Niemców haniebna wojna.

A jednak za własną postacią, za spiesznymi gośćmi trzeciego oddziału dla mężczyzn kryła się mroczna, groźna masa: całe niemieckie społeczeństwo. W pewnym okresie, w okresie ułudy i urojeń, Doll wiedział, że w ogromnym leju po wybuchu bomby nie leżał sam, lecz wraz z nim cały naród. Doll uwolnił się od niego, podobnie jak czynili to uzależnieni od morfiny lekarze. Chodząc tam i z powrotem przez niekończące się nocne godziny po czerwono-brunatnym linoleum w korytarzu, wylegując się bezkresne godziny w łóżku, wlepiając wzrok w światło na suficie, rozmyślał, dumał, oceniał przebytą dotychczas drogę, coraz bardziej pogrążał się w egoistycznej samoanalizie. I tchórzliwie umykał przed wyznaczonym im wszystkim zadaniem...

Naród jednak nie zniknął. Nie sposób się go było wyprzeć, istniał, a on do niego należał. Kiedy użalając się nad sobą, trwał tu beczynnie, korzystając z jałmużny, jaką ta placówka ofiarowała mu ze względu na jego dawniejsze wizyty, naród pracował. Uprzątał z ulic zapory przeciwczołgowe i gruz, przykrywał dachy i zabezpieczał na zimę mieszkania. Ratował spalone maszyny i przywracał je do działania. Głodował, marzył, naprawiał torowiska, w strugach lodowatego październikowego deszczu wykopywał ziemniaki, wędrował drogami w niekończących się kolumnach, zadowalając się tym, co najbardziej liche i nędzne.

Gdy Doll zazdrośnie patrzył na dodatkowe porcje żywności innych chorych, mleko wysychało w piersiach matek, a ich dzieci umierały z głodu. Gdy Doll wyklócał się z nocną służbą o dodatkowy środek nasenny, stare kobiety i wiekowi mężczyźni, śmiertelnie wyczerpani, układali się w przydrożnych rowach, w wilgotnym lesie, do snu śmierci. Gdy powracający do ojczyzny żołnierze

szukali wszystkiego: dawnego domu, żony i dzieci, żywności i pracy, tydzień za tygodniem, nie popadając przy tym w rozpacz i zwątpienie, dla pana doktora Dolla jego mieszkanie oraz posiłki nie były warte nawet paru kroków, choćby kilku słów wypowiedzianych w urzędach. Kiedy Doll wiódł żywot darmozjada, czerpiąc dochód ze sprzedaży biżuterii swej żony, i co najwyżej gorzko się uskarżał na to, że nie dość szybko spływały do niego tysiące, które natychmiast bezrozumnie trwonił, osłabione dziewczęta podejmowały się najcięższych prac, by za dniówkę nie móc sobie kupić nawet papierosa – po cenie, którą Doll już dawno uznał za uzasadnioną.

Nie, doprawdy się zagubił, pogrążył w zenująco bezużytecznym, leniwym żywocie pasożyta. Miał w pamięci drogę, która go przywiodła do tej sanatoryjnej celi, prowadząc od owego dwudziestego szóstego kwietnia coraz dalej w głąb bagnistego grzęzawiska. A mimo to nie pojmował, jak mógł ową drogą podążyć. Cóż za zbytek uczuć wobec tak niegroźnie błazeńskiej postaci jak knur Willem! Jak taki handlarz piwem Zaches mógł go wytrącić z równowagi! Wiedział przecież, co to za ludzie ci naziści. Ta bezsensowna bieganina za lekarzami, środkami nasennymi i zastrzykami, które niczego jednak nie zmieniały, a tylko utrudniały podjęcie każdej niezbędnej decyzji!

Do tego doszło coś jeszcze. Oto ów nagle nieco bardziej oprzytomniały doktor Doll, autor książek, który uznał, że nie ma już o czym pisać, ten sceptyk i melancholik, który uważał się za wyzutego z wszelkich uczuć, ten eksburmistrz, który nie zdołał sprostać swemu zadaniu, ojciec i mąż, który zupełnie zapomniał o dzieciach i żonie – naraz powrócił myślą do dzieci, z wielką troską pomyślał o swej żonie. Teraz, gdy poczuł się nieco zdrowszy, gdy sobie uświadomił, że jednak coś jeszcze czeka go w tym życiu, jakieś zadanie do wykonania, wśród owego zawzięcie pracującego narodu, teraz pomyślał o swej młodej żonie, i przejęła go trwoga!

Aż do tej pory Doll nie pozostawał zupełnie bez wieści od żony. Oczywiście nie pisała do niego, lecz któregoś dnia pojawiła się u niego pani Dorle, jej droga przyjaciółka, przyniosła mu nowiutką nocną koszulę, papierosy i połówkę chleba. O tak, żona wciąż o nim myślała, nigdy o nim nie zapomniała, martwiła się i troszczyła o niego. Kochała go, on także ją kochał – tylko o tym zapomniał, złożony chorobą.

Doll zapalił, niby wygłodniały wilk pożarł na raz połowę białego chleba. Dorle siedziała na skraju łóżka i ciągnęła swą opowieść. Mówiła, że Alma stała się w szpitalu ulubienicą wszystkich, nawet surowych, pobożnych zakonnic, i że wszyscy ją rozpieszczają, także lekarze. Rana rzeczywiście się zaogniła, wskutek

przewlekłego leczenia ropa wniknęła głęboko. Teraz jednak wygląda już znacznie lepiej, starym domowym sposobem posypali ranę cukrem, od tej pory rzeczywiście jest o niebo lepiej...

Tak, Alma znów ma trochę pieniędzy. Ben, po licznych wezwaniach, pojawił się wreszcie w szpitalu i przyniósł z sobą gotówkę, choć tylko dwa tysiące pięćset. Powiedział, że wskutek wciąż pogarszającej się sytuacji na rynku brylantów uzyskał w sumie ledwie jedenaście tysięcy, więcej nie sposób było dostać. Alma wpadła we wściekłość, zabroniła jej o tym mówić Dollowi, nie powinien dać po sobie poznać, że o tym wie. Pewna kobieta leżąca z Alną w jednym pokoju, znająca dobrze czarny rynek, wyjawiała jej, że opisany przez nią pierścionek bez trudu uzyskałby cenę dwudziestu pięciu, może nawet trzydziestu tysięcy marek. Doll może więc sobie wyobrazić gniew Almy, która zerwała z Benem wszelką znajomość!

Doll również poczuł złość, lecz zarazem także lekką satysfakcję, żaden bowiem mąż nie jest pozbawiony odrobiny zazdrości wobec dawnych przyjaciół swojej żony i woli, by raczej się nie pojawiali w jej życiu. Cierpliwie wysłuchał też z ust Dorle nieśmiałego, lecz zrozumiałego samochwalczego peanu o tym, jaką to jest dobrą przyjaciółką, na wszystko gotową, w doli i niedoli. Kiedy łowił uchem tę próżną gadaninę, pomyślał: „Ach, moja droga, głupia Dorle! Ty także jesteś dobrą przyjaciółką Almy, póki da się coś jeszcze od niej wyciągnąć. I Alma pewnie dobrze o tym wie. Czy myślisz, że nie zauważyłem, jak niewinnie i niefrasobliwie zapalasz już trzeciego z dziesięciu papierosów, które dla mnie przyniosłaś?! W obecności Almy pewnie zachowujesz się podobnie. Nawet jeśli ona bardzo chętnie dzieli się z innymi, może nawet aż nazbyt chętnie i rozrzutnie, to dlatego, że tego chce, nie zaś po to, by ją ograbiano. Pewnego dnia jej przyjacielskie uczucia nagle zanikną – również wobec ciebie!”.

Takie oto myśli kołatały się w głowie Dolla, lecz nie dawał tego po sobie poznać, zapytał natomiast, jak się mają sprawy z uśmierzającymi ból zastrzykami jego żony. Także i na to pytanie Dorle znała odpowiedź. Z początku Alma brała dość dużo zastrzyków, potem jednak ordynator wydał nieodwołalną decyzję, by podawać chorej tylko jedną niewielką dawkę na noc, i to nie zawsze. Dlatego wciąż dochodziło do spieć z młodym, pełniącym nocny dyżur lekarzem, z których zazwyczaj to ona wychodziła zwycięsko, lekarz bowiem łatwo ulegał jej urokowi, gdy błagała, dąsała się, zalewała łzami, skarżyła się, śmiała, odwracała do ściany i nie odzywała ani słowem, to znów wyskakiwała z łóżka i chwytiała odchodzącego lekarza, by raz jeszcze powtórzyć mu całą swą litanie. Jeśli wybiegi te na niewiele się zdały, uciekała się do innego podstępu – lekarz był łasy

na zagraniczne papierosy, na które nie mógł sobie pozwolić ze względu na nędzną pensję. Tym sposobem – jak relacjonowała Dorle – Alma zazwyczaj dostawała swój wieczorny zastrzyk.

Doll przez kilka dni rozmyślał nad zasłyszаныmi wiadomościami, po czym postanowił odwiedzić Alnę. Miło będzie ujrzeć radosne zaskoczenie na twarzy młodej kobiety, gdy ciężko chory pojawi się nagle w progu jej pokoju. Doll znał tajnego radcę, nie bez racji powątpiewał jednak w to, że już teraz udzieli mu zgody na swobodne wyjście do miasta. Był przecież w trakcie leczenia odwykowego i jeszcze nie powrócił do równowagi psychicznej, lekarze nabiorą podejrzeń, że na mieście zaopatrzy się w dodatkowe środki nasenne albo nawet narkotyki. Lekarzy dręczy bowiem wieczna nieufność wobec pacjentów i nigdy nie potrafią odróżnić baranów od owieczek – tak przynajmniej uważają pacjenci, a wśród nich i doktor Doll.

Jeśli jednak Doll znał nieufnego tajnego radcę, znał także obyczaje panujące w placówce – i na tej wiedzy oparł swój plan wymknięcia się z pilnie strzeżonego oddziału. Po posiłku, gdy jedni pielęgniarki udawali się na godzinną przerwę, a drudzy z niej wracali, w chwili, gdy zapanowało ogólne zamieszanie, Doll miał czelność oświadczyć, że wezwano go telefonicznie, by z powodu swego rachunku stawił się niezwłocznie w biurze.

– Cóż, w takim razie niech pan idzie do biura! – oznajmił pielęgniarkę obojętnym tonem, otwierając mu drzwi.

Doll zszedł po schodach. Uświadomił sobie wówczas, że wciąż chwieje się na nogach, a wycieczka na miasto była śmiałym pomysłem. Zejście po stopniach okazało się niezwykłą przeprawą, miał wrażenie, że są przypadkowo ułożone, inaczej niż można było oczekiwać. Kolana się pod nim uginały, na czoło z miejsca wystąpiły mu krople potu. Pokonał jednak pierwszą przeszkodę, należało teraz pokonać i drugą: przejść przez bramę! Na portierni siedziała zawsze przytomna dziewczyna, naciskała guzik otwierający drzwi, jeśli tylko nie nabrała żadnych wątpliwości.

Doll zapukał w okienko i odezwał się uprzejmie do zerkającej na zewnątrz twarzy:

– Tajny radca zadzwonił na oddział, mam przyjść do niego do domu zdrojowego. – (Był to główny budynek sanatorium, tajny radca w nim mieszkał).
– Nazywam się Doll, oddział trzeci dla mężczyzn.

Dziewczyna skinęła głową i zmierzyła go wzrokiem.

– Wiem – odparła, lecz owo „wiem” odnosiło się do jego nazwiska oraz miejsca pobytu.

Doll znów się uśmiechnął.

– Najlepiej będzie – rzekł łagodnym tonem – jeśli od razu zadzwoni pani do tajnego radcy, by się przekonać, że to prawda.

Nie skończył jeszcze mówić, a ona już zdecydowała. Nacisnęła guzik, zabręczał zamek w drzwiach. Doll podziękował, a po chwili znalazł się w ogrodzie. Dziesięć kroków od niezamkniętej ogrodowej bramy biegła ulica.

„Niestety – tłumaczył sobie – nie mogę wyjść tędy na ulicę, dziewczyna może mnie obserwować przez okno. Muszę przejść przez ogród obok domu zdrojowego i skorzystać z tamtejszego wyjścia. Już była trochę nieufna. Pomogło mi to, że mam na sobie jedynie wizytowy garnitur, bez kapelusza i płaszcza. Z końcem listopada nie wychodzi się przecież w takim stroju na miasto. Powinna była wiedzieć, że ani kapelusza, ani płaszcza nie posiadam!”

Uśmiechnął się do siebie. Maszerował przez park, ręce trzymając w kieszeniach, przygotowany na to, że w każdej chwili może napotkać jakiegoś lekarza lub siostrę, którzy nie będą już tacy łatwowierni. Wszystko szło jednak jak z płatka. Minąwszy główny budynek, bez przeszkód dotarł do ulicy, po czym szybkim krokiem ruszył w kierunku stacji metra.

Zrobiło się okropnie zimno. Miał nadzieję, że Alma będzie już na nogach, muszą najpierw pojechać do miasteczka i kupić stosowne do pory roku ubranie. Nie, najpierw trzeba uregulować kwestię mieszkania i kartek. Ach, przed nimi mnóstwo spraw do załatwienia, nim wreszcie będzie się mógł zabrać do pracy!

Rzeczywiście, za zimno było jak na ten jego letni garnitur, ucieszył się, kiedy wreszcie dotarł na stację metra, trochę tam cieplej. Nie będzie już szcekał zębami. Z powodu swego lekkiego odzienia nie może ściągać na siebie uwagi, ludzie winni go raczej uznać za fanatyka zdrowego hartowania.

Siedzi na ławce, dłonie wciska między kolana, pochyla nieco twarz, by skryć ją w cieniu. Czuje się potwornie źle, ma nudności, na czoło znów wystąpił mu pot. Te cholerne suszone warzywa na obiad! Na samą myśl o nich robi mu się niedobrze. Czy po to przez całą wojnę żarło się suszone warzywa, by teraz, w czas pokoju, dostawać je z dodatkiem mysich odchodów?! Cóż za bezczelność – a tymczasem szlachetny tajny radca nie dość szybko się bogaci!

Po chwili Doll przyznaje jednak, że to nie suszone warzywa są przyczyną mdłości. Bądź co bądź dwukrotnie poprosił pielęgniarkę Franza o dokładkę – a pokrywały ją nie mysie odchody, lecz nieco przypalona brukiew! Nie, trochę za wcześnie na taką wyprawę! Jeszcze nie powrócił do zdrowia. I jest zbyt zimno!

Poczuł to szczególnie wyraźnie, gdy szedł z końcowej stacji metra do szpitala. To wcale nie tak daleko – dziesięć minut piechotą, jemu zajęło to jednak pół

godziny. Zatracił gdzieś swą radość, już go nie cieszy myśl o ponownym spotkaniu z Almą. Potykając się o granitową płytę wyrwaną z chodnika przez wybuch bomby, rozmyśla o jeszcze bardziej uciążliwej drodze powrotnej. A także o powitaniu w sanatorium. Pewnie go już szukają. Pielęgniarka oraz paniątkę z portierni, którzy go wypuścili, czeka awantura. Po powrocie zapanuje cholernie nieprzyjemna atmosfera. Cóż, dzięki Bogu i tak siedzi już w „izdebce”, gorszej nie mogą wymierzyć mu kary. Czy ta przekłeta ulica nigdy się nie skończy? A do tego zaczyna jeszcze mżyć – wprost wymarzona pogoda na taką wyprawę!

A jednak kiedy rusza za jedną z owych zakonnice, których uśmiech, jakby skradziony z portretu Madonny, wciąż pozostaje tajemniczy i niezwykły, gdy wreszcie staje w drzwiach pokoju Almy i dostrzega ją leżącą w łóżku, odwróconą do niego plecami, pewnie pogrążoną we śnie, z twarzą do ściany, kiedy kobieta z sąsiedniego łóżka mówi: „Pani Doll, chyba ma pani gościa...”, wszystko, czego doświadczył, odchodzi w niepamięć.

Kładzie palec na ustach, trzema żwawymi krokami podchodzi do jej łóżka i mówi cicho:

– Alma! Alma! Moja Alma! Mój ty skarbie!

Powoli się odwraca, widać wyraźnie, że własnym oczom nie dowierza. Naraz jednak twarz jej się rozpromienia, rozbłyskuje, rozjaśnia się szczęściem, wyciąga ku niemu ramiona i szepcze:

– Skąd się tu nagle wzięłeś? Przecież powinieneś być w sanatorium!

On klęczy już przy łóżku, obejmuje ją ramionami, głowę opiera na jej piersiach. Wyczuwa dawny miły zapach kobiety, tak długo wytęskniony, szepcze:

– Uciekłem im, Almo! Z tęsknoty za tobą nie potrafiłem dłużej wytrzymać, po prostu uciekłem...

Ach, szczęście, móc znowu być razem, czuć czyjąś bliskość w tym lodowatym świecie osamotnienia i zniszczenia. Szczęście, szczęście, ponowne szczęście – a tak długo sądził, że już nigdy szczęśliwy nie będzie! Słucha, jak z dumą przedstawia go swojej koleżance z pokoju: „To mój mąż!”. A przecież wie, że jest tylko postarzałym mężczyzną w pomiętym, niezbyt eleganckim letnim garniturze, sam też jest pomarszczony, nie wygląda jak ideał. Tego wszystkiego ona jednak nie dostrzega, ponieważ go kocha, ślepa na takie drobnostki.

Później siedzi na brzegu jej łóżka, snują opowieści – ach, dobry Boże, ileż to mają sobie do powiedzenia! O swoich lekarzach, o pacjentach i siostrach, i jedzeniu, które Almie lepiej służy niż jemu, biedakowi! Zaraz musi się nieco posilić leżącą obok odrobiną chleba, zmusza go, by zjadł też zupę, którą dostaje zamiast popołudniowej kawy. Ledwie zabrzęczy pieniędzmi, a siostra zaraz rusza

po papierosy. Ach, pieniądze, te dwa tysiące pięćset, reszta zapłaty od Bena, niewiele z niej już zostało. Jej się pieniądze nie trzymają. Potrzebował przecież nocnej koszuli (pięćset marek!), i ona potrzebowała nocnej koszuli (siedemset marek!), a do tego jeszcze te papierosy! Za amerykańskie biorą tutaj piętnaście marek, bandyci! Wiedzą, że jest chora i sama sobie nie poradzi!

Ona jednak się z tego śmieje, śmieje się z wygórowanych cen, śmieje się z topniejących pieniędzy: liczy się tylko tu i teraz! Coś się wymyśli. Ma dwadzieścia cztery lata, zawsze udawało jej się znaleźć jakieś rozwiązanie, zawsze jakoś brnęła do przodu. I teraz też się uda! Kiedy znów będą razem, zorganizują to inaczej! Przywiozą swoje rzeczy z miasteczka, tyle jeszcze mają wartościowych przedmiotów, mogą z ich sprzedaży przeżyć choćby i rok. Urządzą sobie przytulne mieszkanie, ona otworzy przy Kurfürstendamm sklep z krawatami. Wyłącznie bardzo drogie rzeczy, prosto z Anglii! Zna się na tym, przecież pracowała ongiś w ekskluzywnym sklepie z męską odzieżą. Już zadba o to, by mieć wyłącznie zamożną klientelę, ma do tego smykałkę.

Kiedy ona będzie w ten sposób zarabiać pieniądze, on tymczasem napisze wspaniałą powieść, która sprawi, że jego nazwisko znów zagości na ustach wszystkich. Nie będzie wyłącznie pisał, zaopiekuje się też Petką. Dziecko musi bardziej do niego przywyknąć, musi go naprawdę polubić, nie powinno traktować go jak „przybranego ojca”.

I tak oto sobie gawędzą. Ona nigdzie nie dostrzega żadnych przeszkód, myśli wyłącznie o sukcesach. On się przysłuchuje, potakuje głową albo się zamyśla, lecz to nieistotne. Ona jest jak dziecko, dzisiejsze jej plany już jutro idą w niepamięć, nazajutrz pojawiają się nowe, a wraz z nimi i nowe nadzieje. Może jej pozwolić na snucie najbardziej niemożliwych zamierzeń, i tak nie mają one żadnych konsekwencji. A mimo to czuje się zarażony jej zapałem, tym młodym, wibrującym w niej życiem. Ucieczka z sanatorium, jakkolwiek przedwczesna, jest przecież jego pierwszym samodzielnym krokiem, powitaniem przyszłości!

Siedzieli i gawędzili czule o przeszłości i przyszłości. Wtem w pociemniałym pokoju zapala się światło, w progu staje zakonnica, rękę trzyma na włączniku, i z uśmiechem Madonny oznajmia w ich wystraszone twarze:

– Zaraz podadzą kolację! Myślę, że pan Doll musi już wracać do domu.

Tak, w trakcie tej długiej rozmowy zupełnie zapomnieli o bożym świecie. Nie zauważyli, że zapada zmierzch i wokół robi się ciemno. Już dawno przebrzmiała w radio taneczna muzyka, teraz jakiś człowiek, kłapiąc jęzorem, wygłaszał mowę o konieczności płacenia podatków. Doll nie od razu jednak odszedł. Tak czy owak

wróci do sanatorium o wiele za późno. By zrobić mu na złość, pewnie nie zostawią dla niego kolacji, w tej chwili było mu to jednak obojętne.

Wspólnie wypalili jeszcze ostatniego papierosa.

– Najpierw ty zaciągniesz się trzy razy, potem ja trzy razy, i znów ty trzy razy – hola, ty szachrajko, nie oszukuj na moją korzyść, zaciągnęłaś się tylko dwa razy!

– Jutro znów przyjdiesz! – powiedziała z naciskiem przy pożegnaniu.

– Jutro? – odpowiedział pytaniem, po czym się uśmiechnął. – Nie sądzę, bym już jutro zdołał znów przyjść. Za karę będą mnie przez jakiś czas trzymać pod kluczem.

– Ach, jakoś dasz radę! – zachnęła się pełna ufności. – Jeśli tylko zechcesz, podołasz wszystkiemu. – Uśmiechnął się, słysząc tę pochwałę. – A jeśli – dodała spiesznie – jutro się jednak nie uda, przyjdiesz za trzy, cztery dni! Pomyśl tylko, że leżę tu i czekam na ciebie.

Pocałował ją.

– Do widzenia, kochanie! Już wkrótce znów się zobaczymy!

– Do widzenia! Wracaj zdrów. O Boże, ty biedaku, ależ zmarzniesz!

Tak, w drodze powrotnej marzył niemiłosiernie, ucieszył się, gdy wreszcie dotarł do sanatorium. Od chwili, gdy nacisnął dzwonek i usłyszał brzęczenie zamka, mimo że dygotał z zimna, zajmowała go wyłącznie myśl o tym, jak zostanie przyjęty. Miał nadzieję, że potraktują go łaskawie.

Drzwi otworzyła mu ta sama dziewczyna, która po południu umożliwiła mu poważne oszustwo. Spoglądała teraz przez okienko, już miała je uchylić, a jednak tego poniechała. Odetchnąwszy z ulgą, Doll ruszył po schodach. „Cóż, pierwsza trudność pokonana...” – pomyślał.

„Jakże to? – zastanawiał się, wciąż wspinając się po schodach. – Jakbym musiał się w szkole usprawiedliwiać za dzień wagarowania! Czy ja mam lat trzynaście czy raczej pięćdziesiąt dwa? To samo uczucie co wówczas, dokładnie ten sam jego posmak jak wtedy, w Gimnazjum Księcia Henryka przy Grunewaldstraße! Uczucie pełnego nadziei, pobudzającego strachu, zapach nudnego, wystawionego na słońce kurzu... Ach, to prawda, przez całe życie nie wychodzimy ze szkoły. W każdym razie na pewno nie ja, jestem i pozostanę podstarzałym gimnazjalistą, i wciąż popełniam te same co niegdyś głupstwa!”

Nacisnął dzwonek do drzwi trzeciego oddziału dla mężczyzn. Jak zawsze musiał odczekać dłuższą chwilę, nim mu otworzono. Przełożony pielęgniarzy taksował go przez moment wzrokiem, jakby chciał mu coś powiedzieć, potem jednak bez słowa wpuścił go do środka. „Oto przeszkoda numer dwa!” – pomyślał Doll.

Jak zwykle w porze między kolacją a ciszą nocną w hallu przesiadywało sporo pacjentów, inni z gniewnym zniecierpliwieniem przemierzali tam i z powrotem długi korytarz. O tej porze wstawali z łóżek nawet ci, którzy apatycznie przeleżeli w nich cały dzień. Gnani nieokreślonym niepokojem, być może nieświadomym pragnieniem wolności, wstawali i spacerowali bez celu, małowówni, wyczekując na sen – podawany zazwyczaj przez siostrę pod postacią napoju, tabletek, zastrzyków.

Doll przeszedł bez słowa pomiędzy towarzyszami niedoli, oni także ledwie go zauważyli. Była to ogromna zaleta tego „ciężkiego” oddziału – można się było zachowywać tak, jak się chciało, dziś ze wszystkimi rozmawiać, a jutro pograć w milczeniu, dziś tryskać wesołością, a jutro się ze wszystkimi poróżnić – nic nie dziwiło, wzbudzało jedynie obojętność.

Doll zastał swoją izdebkę zamkniętą. Zamknięte były nie tylko wewnętrzne drzwi z niewielkim szklanym „judaszem”, lecz także wyściełane, tłumiące hałas drzwi zewnętrzne. Obawę budziły owe zabiegi wobec własności człowieka, który na dobrą sprawę niczego nie posiadał. No dobrze, przed ewentualną kradzieżą ze strony jakiegoś kolegi kleptomana uchronili niewielki kawałek mydła, nocną koszulę oraz grzebień, lecz teraz powinni mu otworzyć jego izdebkę! Był śmiertelnie zmęczony i głodny, miał nadzieję, że w środku czeka na niego kolacja, i nie będzie się musiał za nią uganiać!

– Panie Ohnholz – zagadnął uprzejmie Doll przechodzącego obok pielęgniarza – czy otworzy mi pan moją celę?

– Pańską celę? – pielęgniarz wykrzywił nieznacznie twarz w uśmiechu. – Od dzisiejszego popołudnia siedzi w niej Bartel z czternastki, był nieco poirytowany, prawda?

– A ja gdzie mam się teraz podziać? W czternastce? – dopytywał się Doll, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co naraz wydało mu się całkiem prawdopodobne.

– Nic na ten temat nie potrafię panu powiedzieć! – odparł pielęgniarz, wzruszając ramionami, po czym ruszył dalej. – O ile mi wiadomo, nic w tej mierze nie zarządzono.

„No pięknie, jakież to urocze – pomyślał Doll i poszedł do herbaciarni. – Cóż, zaraz zobaczymy. *Qui vivra, verra...*”.

Zastał tam swoją starą znajomą, pielęgniarzkę Kleinschmidt. Wiele razy, drżąc ze strachu, przesiadali razem w schronie przeciwlotniczym, a po nalocie dzielili się ostatnim papierosem i resztką kawy.

– Ho, ho! – odezwała się Kleinschmidt, gdy Doll usiadł bez słowa na drewnianym krześle po drugiej stronie kuchennego stołu. – Coś mi się wydaje, że

sam sie pan zwolnił, prawda, panie Doll?

– Złożyłem tylko krótką, niedozwoloną wizytę mojej chorej żonie – wyjaśnił Doll. – A tymczasem zajęli mój bunkier. Ot i cały nasz szef, dobry Boże!

– Dobry Bóg zawsze czyni to, co słuszne! – przytaknęła pielęgniarka, która tajnego radcy nie znosiła równie mocno jak Doll, a znała go już od dwudziestu lat. – Wiesz pan, panie Doll – ciągnęła, spoglądając na niego wymownie przymrużonymi oczami. – Na pana miejscu pozostałabym przy samowolnym zwolnieniu... – A po chwili dodała: – Ja bym sie nie dała tak łatwo odsunąć od interesu, który dzięki panu przyniósł tyle piniędzy. Już bym raczej wolała sama siebie zwolnić!

Doll przez chwilę intensywnie się namyślał. Dochodziła ósma.

– Złapię jeszcze jakieś metro do miasta? – zapytał w końcu.

– Pewnie! Pewnie!

„Do domu zawsze jakoś dotrę. Schulzowa nie będzie zachwycona moim powrotem, z nią sobie jednak poradzę. Wszystko dzieje się nieco szybciej, niż przewidywałem, ten mój powrót do świata, do czynnego życia, ale Kleinschmidtowa ma bez wątpienia rację: lepiej samemu działać niż być ofiarą działania!”.

– I jak? – zapytała ponownie pielęgniarka, taksując go wzrokiem.

– Zgoda! – odparł, podnosząc się z krzesła. – Do widzenia, moja droga, albo właśnie do niewidzenia, przynajmniej nie w tym domu!

– Chwileczkie! – zawołała pielęgniarka, nie uściskawszy wyciągniętej ku niej dłoni. – Nic pan przecie nie jadłeś na kolację! Proszę poczekać! Cóż panu dam!

Wyjęła z piekarnika miskę pełną ziemniaków z marchwią. Obok położyła chleb, cztery, pięć kromek.

– O nie, tak nie można! – zaoponował Doll. – Tyle chleba mi się nie należy. Nie chcę, żeby z mojego powodu odmawiała pani sobie.

– Niechże pan głupstw nie plecie – oburzyła się pani Kleinschmidt. – Nie daje panu więcej niż mogie. – Po chwili zaś wyjaśniła: – Bartel miał atak, dali mu zastrzyk, do jutra sie nie obudzi. Kolacji jad nie będzie. I tyle!

– No cóż, w takim razie pięknie dziękuję! – rzekł Doll i rzucił się na jedzenie niby wygłodniały wilk. Pielęgniarka tymczasem skrzyła sobie powoli papierosa z niedopałków, zapaliła go od płomienia palnika kuchenki, po czym zaczęła wypytywać Dolla o stan zdrowia jego żony, gdzie zamierza szukać noclegu, jakie rzeczy jeszcze posiada, a przede wszystkim: jakie ma widoki na przyszłość...

– No to, panie Doll – rzekła w końcu, zabierając talerz i stawiając przed nim kubek z mleczną kawą oraz kanapki z marmoladą – możesz pan znowu zacząć

wszystko od początku, jak my wszyscy. Na pewno to panu nie zaszkodzi. A przy okazji pozbędziesz się pan złych myśli!

– Ale te kanapki z marmoladą nie pochodzą stąd – zaprotestował Doll. – Z pewnością do kogoś należą. Takich kanapek się tu nie podaje. Poza tym już się najadłem.

– Jak taki dorosły człek może robić tyle ceregieli – powiedziała nieco drwiącym tonem. – Niechże się pan cieszy, że może się najeść do syta, zanim głód nastanie! Bierzta się do jedzenia, człowieku! – krzyknęła nagle rozgniewana. – Nie pamiętasz pan, co żem mówiła, kiedy rano szesnastego lutego czterdziestego czwartego podzielił się pan ze mną ostatniom kawom i ostatnim papierosem?! No więc – podjęła trochę łagodniej, gdy wreszcie zabrał się do jedzenia – mówiłam, że wy chłopcy zawsze pierw się musicie tak strasznie krygować, żadna niewiasta się tak nie zachowuje!

Później, gdy szykował się do drogi, podała mu jeszcze zapalonego papierosa oraz banknot dwudziestomarkowy.

– Chyba nie bedziesz się pan znowu certował! – rzekła groźnie. – Ja tyż nie bede protestować, jeśli zamiast jednego przyniesiesz mi pan kiedy i dwa papierosy. A pieniądze oddasz mi pan przed końcem miesiąca, słowo honoru, prawda? A teraz już zmykaj pan stąd! Pańskie manatki spakowałam do kartonu, coś się jeszcze w nim zmieści! Aha, ostatnie metro pewnieś już pan przegapił, cóż, marsz na piechotę do Wilmersdorfu dla takiego silnego młodzika jak pan to żaden wysiłek, szczególnie o tej porze roku. Pewnie się pan nabawisz zapalenia płuc, i to szybko! Oszczędzisz pan se całe mnóstwo zmartwień na przyszłość!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Robinson

Istotnie, ostatnie metro już odjechało, marsz zaś przez pogrążone w mroku, zniszczone przez bombardowania miasto nie należał, jak przewidziała pani Kleinschmidt, do łatwych. Doll, stary znawca Berlina, czasem rzeczywiście nie wiedział, gdzie się właściwie znajduje. Na ulicach nie dostrzegł niemal nikogo, kogo mógłby zapytać o drogę, nieliczni zaś, których napotkał, przemykali spiesznie, jakby się go obawiali; przypuszczalnie tak było w istocie. Czasem przejmowała go groza, tchnąca z owego przerażającego, nocnego, kamiennego chaosu, nad którym listopadowy wiatr gnał ciemne deszczowe chmury. Mimo to w jego sercu dopełniała się przemiana. W dniu przyjazdu do Berlina towarzyszyło mu przekonanie, że w tym trupim mieście nigdy nie będzie mógł pracować! Teraz zaś pomyślał przekornie: „A jednak będę tu pracował! Mimo wszystko! A właśnie że tak!”.

Długo musiał czekać przed zamkniętymi drzwiami, dzwonek był wyłączony, nikt też nie zamierzał wejść do środka. Dokuczał mu ziąb, szczekał zębami. Mężnie oparł się jednak pokusie, by gwoli ożywienia swych sił witalnych już teraz zapalić podarowanego mu przez panią Kleinschmidt papierosa. Postanowił, że uczyni to dopiero w łóżku, gdy znajdzie się „u siebie”, w miejscu, które rzeczywiście stanie się jego prawdziwym domem. Nieustannie odpędzał też od siebie obawę, że przez całą noc nie pojawi się nikt, kto miałby przy sobie klucz, że wszyscy mieszkańcy już do siebie wrócili: „Nie, nie będę tu stał aż do rana, z pewnością ktoś jeszcze nadejdzie. I to wkrótce – czuję to!”.

Przez długi czas wydawało się, że jego przecucie postanowiło sobie z niego zadrwić, potem jednak zza rogu wyłonił się wysoki, szczupły, młody mężczyzna i rzekł niespodziewanie:

– Ach, pan doktor Doll! Zapomniał pan klucza? I stoi pan tak bez płaszcza w ten lodowaty ziąb?!

Spotkali się, jak wielu Berlińczyków, w schronie przeciwlotniczym, znali jedynie mimochodem, z nazwiska i zawodu, wiedzieli też, czy w obecności drugiego należało zważać na słowa, jak przed jakimś nieobliczalnym nazistą. Doll miał właśnie odpowiedzieć frazesem, przypomniał sobie jednak, że ów młody człowiek uchodził zawsze za „porządnego faceta”:

– Prawdę powiedziawszy, nie posiadam na razie ani klucza, ani płaszcza. Przyjechaliśmy do Berlina nieco pogruchotani – jak wielu w tych czasach!

Klatka schodowa, w której wszystkie szyby zastąpiono papą, wydała mu się w porównaniu z panującym na zewnątrz przenikliwym zimnem przytulnie nagrzanym pomieszczeniem.

– Ach! – westchnął. – Jakże tu miło i ciepło!

Towarzysz przytaknął nieco zdziwiony, zapytał o „szanowną małżonkę”. Leży – niestety – w szpitalu, Doll miał jednak nadzieję, że wkrótce znów będą razem. Młody człowiek żywił podobną ufność, zapewnił, że ucieszy go ponowne spotkanie z młodą panią, która w schronie przeciwlotniczym zawsze troszczyła się o dobry nastrój. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy, wciąż podziwiał jej postawę podczas najcięższych nalotów. Dla wielu jej beztroska wesołość była źródłem pociechy. Także dla niego, szczerze to przyznaje.

Panowie pożegnali się nadspodziewanie silnym uściskiem dłoni. Doll wszedł piętro wyżej i zadzwonił do drzwi pani Schulz, nie, do drzwi własnego mieszkania. Dzwonił stanowczo, wielokrotnie. Pod pachą dźwigał swe manatki, mimo „przytulnego ciepła” panującego na klatce schodowej po plecach przebiegały mu lodowate ciarki.

Wreszcie drzwi się otwały, gdy po raz ósmy włączył awaryjne oświetlenie schodów. W progu pojawiła się młoda aktorka, ta, którą zastali w mieszkaniu, gdy postanowili rozpocząć nowe życie w Berlinie. Alma zdążyła się tymczasem przekonać, że owa dama nie jest tak złośliwa i bezczelna, jak to się zdawało tamtego poranka, wręcz przeciwnie, częstokroć okazała głodującym Dollom wielkoduszną pomoc.

– Ach, to pan Doll! – odezwała się na powitanie. – I to o tak późnej porze! Niechże pan najpierw wejdzie do kuchni, właśnie gotuję na ogniu kaszkę dla małej, dzięki temu jest tam trochę cieplej!

Doll usiadł zmęczony na krześle pomiędzy kuchenką i stołem, na tym samym krześle, na którym tamtego wrześnieowego poranka jego żona przysiadła niepokieszona; odrobina ciepła bijąca od gazowego płomienia miała kojące działanie. – Czy pan już wyzdrowiał, panie Doll? – zagadnęła panna Gwenda, mieszając w garnku kaszkę. – Na zupełnie zdrowego to pan nie wygląda, do zbierania drewna w lesie na pewno bym pana nie zabrała!

– Ależ owszem, jestem całkiem zdrów – odparł Doll, niezupełnie zgodnie z prawdą, gdyż w tej właśnie chwili czuł się nad wyraz mizernie i słabo. – To przez szpitalne powietrze tak kiepsko wyglądam – pospieszył więc z wyjaśnieniem, nie chciał bowiem, by w głowie panny Gwendy zakiełkowała

myśl, że znów powraca do swego próżniaczego trybu życia, wypełnionego nieustannym wylegiwaniem się, głodowaniem i żebraniem o pomoc. – Przez te wszystkie tygodnie aż do dzisiaj nie wychodziłem na świeże powietrze. Odwiedziłem też moją żonę, jak na pierwszy raz było to chyba trochę za wiele.

Panna Gwenda ze współczuciem wypytywała o stan zdrowia jego młodej żony, stąd też minęło nieco czasu, nim Doll mógł ją wreszcie zagadnąć o swój pokój. Czy pani Schulz w nim przebywa? Czy leży już w łóżku? Czy można z nią będzie porozmawiać?

Tak, przytaknęła panna Gwenda. O ile jej wiadomo, pani Schulz śpi dziś tutaj. Nie wie jednak, czy zgasiła już światło. Doll podszedł więc na palcach do drzwi „swojego” pokoju i zajrzał przez dziurkę od klucza. Wewnątrz panowała ciemność. Długo nasłuchiwał. Po pewnym czasie usłyszał wreszcie niemal bezgłośny, nieco świszczący, to znów cicho gwizdzący oddech śpiącej, a wtedy zrozumiał: tej nocy nikłe ma szanse na spokojny sen, nie mówiąc już o ciepłej pościeli. Raczej na pewno nie będzie miał też okazji spokojnie wypalić papierosa od Kleinschmidtovej.

Kiedy wrócił do kuchni, nie zastał tam już panny Gwendy, zniknęła też kaszka, kuchenka była wyłączona. Także i tu dzień dobiegł końca, bez niego. Przez chwilę stał w miejscu i rozglądał się po kuchni. Była to bez wątpienia jego, ich kuchnia, kuchnia Dollów. Wszelkie znajdujące się tam rzeczy należały do nich, nie tylko meble, lecz także każda łyżka, mątewka, garnek, talerz. Gdy jednak chciał zajrzeć do przestronnego, szerokiego kuchennego kredensu, każda jego przegródka była zamknięta, a klucza nigdzie nie było widać.

„Dziwny ten świat – przemknęło mu przez myśl. – Powinni nas byli przynajmniej zapytać, i zapłacić choćby niewielki czynsz. Jak w ogóle przedstawia się sprawa z czynszem? – przyszło mu naraz na myśl. – Rodzina panny Gwendy mieszka tu dopiero od końca sierpnia, lecz tę Schulzową, tak biegłą w rachunkach, będę musiał jutro z samego rana ostro wziąć w obroty i wpytać o opłaty za czynsz, światło i gaz. Z tego są przecież pieniądze, i choć niewielkie, jeśli przyłożyć miarę czarnorynkową, to jednak dla kogoś, kto żadnych pieniędzy nie posiada, nawet niewielka ich ilość to całkiem sporo”.

Pogrążony w myślach, obejrzał zamki w drzwiach do spiżarni, w tej wielkopańskiej kuchni mieściły się bowiem dwie, jedna po prawej, druga po lewej od okna. Obie były zamknięte. Oczywiście, westchnął cicho do siebie. Jedna dla Schulzowej, druga dla panny Gwendy. Dollowie nie mieli do nich dostępu. „Również i to należy zmienić. Jutro skoro świt pójde do urzędu mieszkaniowego i przedstawię nasze prawa. Nie, najpierw muszę iść do urzędu

pobrać kartki. Nie sposób wyżyć z żebraniny, pożyczania i kupowania na czarnym rynku”.

Doll stanął przed kuchennym stołem i przyglądał mu się w zamyśleniu. Wydał mu się jednak zbyt krótki i twardy jak na prowizoryczne posłanie. Potem pomyślał o wannie, lecz wzdrygnął nim przesywający jego ciało ziąb, z miejsca zarzucił ten pomysł. W korytarzyku rozłożony był welur, a na wieszaku w sieni dostrzegł parę damskich płaszczy, mogłyby mu posłużyć za przykrycie.

Wciąż jednak nie był w pełni zadowolony. W końcu uświadomił sobie, że mieszkanie składa się przecież z sześciu i pół pomieszczenia, owo pół to pokoik dziecięcy. Wszedł do środka i nacisnął włącznik, pokoju nie rozjaśniło jednak światło, albo kable były uszkodzone, albo w oprawce brakowało żarówki. Wrócił więc do kuchni, dość nieporadnie zapalił gazowy palnik, w koszu na śmieci znalazł gazetę i zrobił z niej pochodnię. Oświetlił nią wnętrze pokoiku.

O tak, stało tam łóżko, leżał na nim materac, a nawet poduszka, brakowało jednak pościeli i kołdry. A do tego w tej ciasnej dziurze panował nieznośny ziąb! W nikłym blasku dogasającej pochodni spojrzął na okno – w ramiaku zostało jedynie kilka odłamków szkła. Świeże nocne powietrze swobodnie wnikało do wnętrza. Mimo to zdecydował się pozostać w tej „sypialnej komnacie”, bądź co bądź miał tam łóżko – nie przyszło mu jednak do głowy, by je przestawić, przenieść na przykład do cieplejszej kuchni. Nie, na taki pomysł Doll nie wpadł, dlatego że był mężczyzną, jak to podsumowała później Alma, poznawszy historię owej pierwszej nocy.

Doll miał też opory przed wykorzystaniem damskich płaszczy jako przykrycia. Długo męczył się przy wyciąganiu gwoździ z podniszczonego chodnika, rozłożonego na tyłach korytarza. W końcu się z tym uporał, stało się jednak jasne, że z tak poszarpanym brzegiem chodnik ten nigdy już nie wróci na swoje miejsce. W kuchni zdjął szybko garnitur, zapalił papierosa, po czym wlokąc za sobą chodnik, zajął swoją „sypialnię”. Stary, zakurzony chodnik nasunął na siebie, a skostniałe z zimna stopy owinął znalezionym w łazience szlafrokiem.

I tak leżał w ciemności; gdy papieros na chwilę się rozżarzał, w ognistej poświacie niknął jasny okienny otwór, a wraz z nim czarny profil dachu sąsiedniego budynku oraz fragment poszarzałego nieba. Gdy żar papierosa przygasał, niebo na powrót się wyłaniało, a owiewające go powietrze zdawało się chłodniejsze.

Z początku, mimo że zaciągał się papierosem, nie mógł odzyskać poczucia błęgiego zadowolenia. Przykrywający go chodnik był dość ciężki, pachniał nieprzyjemnie kurzem i wszelkimi innymi nieokreślonymi woniami, lecz

z pewnością nie dawał ciepła. Kiedy jednak wypalił papierosa, a twarz spowiła mu matowa poświata nieboskłonu wznoszącego się ponad czarnym dachem, marzący Doll pograżył się nagle w sennej fantazji, której od najwcześniejszych lat dziecięcych oddawał się wówczas, gdy okoliczności zdawały mu się szczególnie groźne.

Fantazja ta czyniła z niego Robinsona przebywającego na odludnej wyspie – lecz Robinsona pozbawionego Piętaszka, Robinsona stroniącego od odwiedzin białych ludzi, w którym myśli, że może zostać przez nich „uratowany”, budziła lęk. Ów inny Robinson czynił wszystko, by ukryć się całkowicie przed pobratymcami. Roślinność porastająca otoczenie jego jaskini była nie dość gęsta, a wiodąca przez nią ścieżka nie dość ukryta. Najchętniej znalazłby sobie głęboką kotlinę pomiędzy wysokimi i stromymi skalnymi zboczami, do której wiódł długi, mroczny, skalny tunel, łatwy do zatarasowania kamieniami. Sama kotlina była luźno porośnięta drzewami, ich korony tworzyły jednak nieprzenikloną zasłonę, chroniącą Robinsona przed wzrokiem samolotów.

W takie oto niedostępne odosobnienie uciekał Doll już jako młody chłopak, kiedy świat z jego mieszkańcami stawał się dlań nazbyt niebezpieczny, gdy nie rozumiał jakiegoś dowodu z dziedziny geometrii, gdy na światło dzienne wychodziło nieczne oszustwo. Podobną sposobnością ucieczki nie pogardzał w niektórych godzinach zniechęcenia, szczególnie zaś istotne znaczenie zyskała ona w ostatnich latach, w dniach nieprzerwanych ciężkich nalotów bombowych na Berlin.

W gruncie rzeczy – o czym Doll dobrze wiedział od czasu lektury pism Freuda – owa skalna pieczara oraz ukryta kotlina symbolizowały nic innego, jak tylko łono matki, w którym syn na powrót pragnął się schronić. Jedynie tam mógł odnaleźć bezpieczną ciszę. Natomiast południowe słońce, bezustannie oblewające światłem jego Robinsonową wyspę, oznaczało w istocie wielkie, gorące, matczyne serce, które hojnie i niewyczerpane słało mu strumienie ciepłej, czerwonej krwi!

Snując podobne rozmyślania, Doll w końcu zasnął. Kiedy się obudził, noc wciąż wypełniała brudnoszarą poświatą pusty okienny otwór. Zerwał się jednak żwawo z posłania, żądny rozpocząć ów pierwszy prawdziwie aktywny dzień w swoim życiu po załamaniu się wszelkich jego nadziei. W blasku elektrycznego światła w kuchni przeraził się, widząc, jakie ślady zostawił na nim zakurzony chodnik. Nic nie mógł jednak na to poradzić, gdyż nie posiadał ubrania na zmianę. Sporo uwagi poświęcił więc w łazience gruntownemu oczyszczeniu ciała, dzięki czemu poczuł się świeżo, choć znów był zmarznięty. Gdy stanął

w przedpokoju i przejrzał się uważnie w dużym lustrze, uznał, że tak rześko i zdrowo dawno już nie wyglądał. Spiesznie zbiegł po schodach, drzwi wejściowe były już otwarte. Zamknięte natomiast pozostawały drzwi sklepu mamy Minus za rogiem.

Jako że w sklepie paliło się światło, zaczął pukać do drzwi, pukał tak wytrwale, aż w końcu dobra mama Minus przyłgnęła swą wielką, posiwiałą głową do szyby w drzwiach – energicznie jednak nią potrząsała, na znak, że sklep nadal jest zamknięty. Doll dobijał się wtedy jeszcze mocniej, odgłosy pukania rozbrzmiewały na opustoszałej, porannoszarej ulicy. Kiedy dobra mama Minus, rozgniewana do żywego, otworzyła wreszcie drzwi, chcąc przegnać sprzed progu natręta, on pochwycił jej dłoń i rzekł:

– To naprawdę ja, doktor Doll. Po raz ostatni widzieliśmy się pod koniec marca, cieszę się, że przetrwała pani to wszystko, tak jak i my. Moja żona przebywa w szpitalu, myślę jednak, że już wkrótce znów będziemy razem. A jeśli narobiłem tak okropnego rabanu, to wyłącznie dlatego, że koniecznie chciałem z panią porozmawiać w cztery oczy, zanim zjawią się u pani pierwsi klienci!

Doll, z wesołą perswazją na ustach, jednocześnie powoli, krok za krokiem, wpychał mamę Minus z powrotem do wnętrza sklepu. Przezornie zamknął za sobą drzwi, by przypadkiem inni zuchwalcy nie skorzystali z okazji.

– Tak – odparła mama Minus, zapomniawszy o gniewie. – Tak, słyszałam o państwa powrocie, doniesiono mi też o tym, że nie wiecie się wam najlepiej. A co teraz leży panu na sercu, doktorze Doll?

Zanim jednak Doll zdołał przedstawić swoje potrzeby, widoki na przyszłość i obietnice, weszła mu w słowo:

– I o co ja pytam? Niby po co ktoś przychodzi do mamy Minus o tak wczesnej porze i koniecznie chce porozmawiać na osobności? Coś do jedzenia, prawda? Jakieś dobre jedzonko, co? Cóż, panie doktorze, raz zrobię to bez kartek, ale tylko ten jeden jedyny raz, rozumie pan? Nigdy więcej!

– To wspaniale, pani Minus! – zawołał Doll, uszczęśliwiony, że tak łatwo mu poszło. – Jest pani aniołem.

– Ach, co też pan pleciesz! – odparła pani Minus i przystąpiła do pakowania. Napełniała torebki, ważyła, kroїła i rzucała na papier. Doll tymczasem przecierał oczy ze zdumienia, gdyż w najlepszym razie spodziewał się dostać trochę chleba i kawy zbożowej. – Niechże już pan tyle nie mówi, a przede wszystkim niech pan nic nie obiecuje! Proszę jednak pamiętać, że powiedziałam „tylko ten jeden jedyny raz”, i tak zostanie. Nawet jeśli wszyscy powtarzają, że jestem za dobra i nie potrafię odmawiać. Umieć mówić „nie”. Przecież pan wie, że tak nie wolno,

za coś takiego mogą mi zamknąć sklep. Ale ten jeden jedyny raz mówię: człowiek jest tylko człowiekiem, słyszałam też, jak się wam obojgu powodzi. No, niech pan to bierze i już tyle nie gada. Dwanaście marek czterdzieści siedem; jeśli ma pan pieniądze, niech pan od razu zapłaci, jeśli nie, zapłaci pan później. Mogę dać na krechę, jeszcze przez jakiś czas, to co innego. Ale bez kartek – nie ma mowy!

Podkreśliwszy to z całą mocą po raz trzeci, jakby chciała znieczulić swe miękkie serce, wypchnęła przepelnionego wdzięcznością Dolla ze sklepu na ulicę. Usłyszał brzęk przekręcanego w zamku klucza, raz jeszcze skinął energicznie głową, gdyż ze względu na trzymany w rękach pakunek nie mógł jej pomachać. Ruszył do domu z poczuciem, że naraz stał się bardzo bogatym człowiekiem.

Wychodząc z mieszkania, zabrał z sobą tkwiący w drzwiach sieni klucz, i słusznie, kiedy bowiem wrócił, wszyscy jeszcze spali. Było mu to na rękę, dzięki temu mógł bez przeszkód i bez świadków rozpakować swoje skarby. Kiedy rozłożył je na kuchennym stole, uznał się za istnego krezusa, a przecież jeszcze nie tak dawno był biednym łazarzem. Na blacie leżały trzy bochenki chleba – jeden biały i dwa ciemne – torebka z kawą zbożową, druga z cukrem, makaronem, białą mąką, tutka kawy ziarnistej, do tego zawinięte w papier masło, margaryna oraz papierowy talerz pełen marmolady.

„Gdybym to wszystko musiał kupić na czarnym rynku!” – pomyślał Doll, po czym nastawił w rondlu wodę, na kawę zbożową, ma się rozumieć, gdyż porządną kawę ziarnistą zostawił oczywiście na spotkanie z Alną.

Z trudem zdołał zebrać naczynia niezbędne do przyrządzenia śniadania, kredens był przecież zamknięty! Na zmywaku znalazł w końcu to, czego potrzebował, opłukał prowizorycznie zimną wodą, znów mruczając pod nosem: „To wszystko musi się zmienić – i to jeszcze dziś!”. Po czym zasiadł do swojej uczy.

Tylko dwukrotnie mu w niej przeszkodzono. Pani Schulz zjawiła się w kuchni niczym upiorna zjawa, z przerażeniem spojrzała na porannego gościa i zaraz stamtąd czmychnęła, stęknąwszy:

– Mój Boże, powinnam była o tym wiedzieć, panie doktorze!

Zniknęła w niedbałym, na poły podartym nocnym stroju, krótkie loki swych kędzierzawych włosów zawinąwszy w papiloty. Doll popędził za nią.

– Proszę posłuchać, pani Schulz! – wołał zaklinającym tonem. – Niech pani chwilę zaczeka, nie będę patrzył!

Drzwi zamknięto mu tuż przed nosem. Wzdrgał się przed wtargnięciem do pokoju, zawołał więc przez dziurkę od klucza:

– Szanowna pani, ruszam zaraz po kartki, czy możemy porozmawiać po moim powrocie?

W odpowiedzi usłyszał westchnienie oraz „O Boże!”.

– Jeszcze dziś koniecznie muszę z panią pomówić! Sprawa ta również pani dotyczy! – Jedyne westchnienie, jeszcze głębsze niż poprzednio. – Ale to nic strasznego – szepnął, wręcz gwizdnął przez dziurkę od klucza. – Mam przecież młodą, uroczą żonę! A więc, droga pani, porozmawiamy później, w spokoju i po przyjacielsku! Do widzenia!

Rozległo się ponowne „O Boże”, Doll uznał to za przytaknięcie.

– Stary strach na wróble! – mruknął do siebie. – Zdziwisz się, jak cię stąd przegonię! Myślisz może, że zapomniałem, jak po dwudziestym lipca świętowałaś cudowne ocalenie ukochanego Führera?!!!

Niedługo przesiedział w spokoju, pałaszując kanapkę z marmoladą, gdy przeszkodzono mu po raz drugi – tym razem rozległ się dzwonek do drzwi. W progu ujrzał wysokiego młodego mężczyznę, który poprzedniego wieczoru wpuścił go na klatkę schodową, a tym samym ofiarował mu nieco ciepła.

– Ach, to pan, doktorze Doll! – rzekł nieco zakłopotany, lecz zaraz zapanował nad sobą. – Sądziłem, że jeszcze pan śpi, chciałem tylko to panu oddać... – Przyniósł z sobą sporych rozmiarów pakunek. – To płaszcz – wyjaśnił naprędce. – Niestety, tylko letni, do tego kapelusz. Jestem od pana wyższy, ale może będą pasować. Proszę wybaczyć, że tylko pożyczam. Może pan zatrzymać, póki nie znajdzie pan dla siebie czegoś innego...

– Ależ panie... – zaczął wzruszony Doll. – Widzi pan, nawet zapomniałem pańskiego nazwiska...

– Ach, nazwisko nie ma tu nic do rzeczy! W każdym razie, lepszy choćby i letni płaszcz niż żaden... – Wręczył mu pakunek, mężczyźni wymienili silny uścisk dłoni...

– To bardzo wielkoduszne z pana strony, panie... – zaczął Doll, znów jednak urwał. – O nie, teraz musi mi pan podać swoje nazwisko. – Doll jakby nie potrafił porządnie mu podziękować, póki pozostawał dlań anonimowy...

– Grundlos – odparł mężczyzna. – Franz Xavier Grundlos. Muszę jednak czym prędzej uciekać. Do pracy. Metro...

Ostatnie słowa wypowiedział, zbiegając po schodach. Teraz, gdy Doll mógł mu wreszcie „porządnie” podziękować, zniknął!

Po raz drugi owego poranka Doll rozpakowywał prezenty. Miał wrażenie, jakby Boże Narodzenie i urodziny przypadły tego samego dnia. Ach, jakże poprzez swą depresję niewłaściwie oceniał Niemców! Przyzwoitość, zwyczajna prawość wciąż jeszcze nie wymarły, i nigdy nie wymrą. Nie, znów staną się silni, pokonają, wykorzenią ten nazistowski chwast denuncjacji, zazdrości, nienawiści!

Jedynie letni płaszcz, do tego za duży. Lecz to ładny, niebieskoszary płaszcz, częściowo podbity jedwabiem. A więc ludzie znów sobie pomagają, nikt nie został na świecie sam, każdy może pomóc, każdemu pomóc można. Płaszcz był oczywiście trochę za duży, ale cóż to szkodzi?

Zatrzymuje go, wkłada też zamszowy bawarski kapelusz – dawniej nie zdzierzyłby czegoś podobnego na swojej głowie! W kuchni nie jest jednak aż tak przesadnie ciepło, by przy jedzeniu chleba z marmoladą nie można było włożyć letniego płaszcza. A jednak nie wraca do tego obzarstwa, niezwłocznie musi się udać do urzędu do spraw żywności! Całymi miesiącami bagatelizował sprawę, lecz teraz chce tej dobrej pani majorowej pokazać, że on także posiada kartki, że nie jest już zdany na jej łaskę i niełaskę! I to jeszcze dziś!

Problem w tym, że nie wie, gdzie przez tak długi czas mógłby przechować swoją żywność. Nie ufa nikomu. W końcu zanoszą torebki do spalonego pokoju, pełnego gruzu i rupieci, i chowa je do szuflady osmalonej komody do przewijania Petty.

Ostatnie taksujące spojrzenie w lustro. „W porządku! – mówi do siebie. – W każdym razie tysiąc procent lepiej niż przez ostatnie miesiące! A teraz do ataku! Dałby Bóg, bym trafił w urzędzie na równie porządnym ludzi jak trzykrotnie już w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin! W taki szczęśliwy dzień wszystko musi się udać!”

Nie wybiła jeszcze ósma, kiedy Doll wyszedł z domu, dawno minęło już południe, gdy powrócił, bardzo odmieniony. Bez słowa usiadł na krześle obok kuchenki, śmiertelnie zmęczony. Panna Gwenda, doglądając kartoflanki – stoi tak już od czterech godzin, ale jak tu coś ugotować w takich warunkach! – prosi go o zwrot klucza do mieszkania, który uprzednio z sobą zabrał. Doll wstaje bez słowa. Naraz dostrzega klucze tkwiące teraz zarówno w drzwiach do obu spiżarni, jak i w kredensie. Wyjmuje je, chowa do kieszeni i zamierza opuścić kuchnię.

Obie kobiety – panna Gwenda i owdowiała majorowa Schulz – wymieniają krótkie spojrzenia, zgadzają się nie wchodzić na razie biednemu szaleńcowi w drogę.

– Jeśli chce pan ze mną porozmawiać, panie Doll, jestem do pańskiej dyspozycji – zaszcebiotała odszykowana, wyfiokowana Schulzowa. – Jestem tu tylko z pańskiego powodu.

On jednak nie zamierza się oddać do jej dyspozycji. Idzie korytarzem do pokoju Schulzowej. Wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi i siada w fotelu. Jest wyczerpany, śmiertelnie znużony i zrozpaczony. Dzisiejsze przedpołudnie to za wiele jak na nadwątlone siły niedawnego rekonwalescenta. Chce teraz odpocząć, odpocząć... Przeciąga się i zamyka oczy. Zaraz je jednak ponownie otwiera. Marznie, ach, jak marznie! Wciąż ma co prawda na sobie płaszcz, ale... Ociężale wstaje z fotela i przysuwa blisko nóg piecyk elektryczny. Z tapczanu bierze pikowaną kołdrę Schulzowej i się nią owija...

Po raz drugi mruży powieki. „Nie mogę zdrzemnąć się dłużej niż do czwartej – przemyka mu jeszcze przez myśl. – O piątej muszę być u Almy. Tylko co ja jej powiem o moich wspaniałych dokonaniach w urzędach... Nie, tylko nie myśl o tym w tej chwili, bo ze snu nici!”

Powoli zapada w sen, lecz nie upłynęło pięć minut, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

– Ach, panie Doll – syczy Schulzowa – czyż nie chciał pan ze mną mówić?!

Wzbrania się tego słuchać. Zasypia. Musi się zdrzemnąć.

– Kochany panie Doll, niechże mi pan otworzy, żebym przynajmniej mogła zabrać płaszcz i torebkę! Muszę wyjść!

Doll śpi. Kiedy jednak po raz trzeci rozlega się wołanie, zrywa się, przewracając przy tym piecyk, rzuca się ku drzwiom, przekręca klucz, chwytając kobietę i krzyczy gniewnie:

– Do diabła z panią! Jeśli zaraz nie zniknie pani sprzed tych drzwi, to *ja* pani w tym pomogę, ale po cztery schody naraz, rozumiano?!

Ten wybuch wściekłości okazuje się nad wyraz skuteczny, Schulzowa ucieka korytarzem.

– Już sobie idę! – woła zdjęta strachem. – Proszę wybaczyć, że przeszkodziłam! To się więcej nie powtórzy!

Doll zapada w twardy sen, zasypia natychmiast, śpi głęboko i spokojnie, jakby owa nawałnica gniewu oczyściła powietrze. Kiedy się budzi, w pokoju panuje już zmrok. Dawno nie czuł się tak wypoczęty i świeży. To jego pierwszy zdrowy sen bez jakichkolwiek środków! Siedzi spokojnie w fotelu, w ciszy może się teraz zastanowić nad tym, co mu przyniosła przedpołudniowa wizyta w urzędach.

Widzi samego siebie stojącego w długiej kolejce podobnych sobie ludzi. Mimo że przyszedł wcześniej, przed nim czeka po kartki setka osób. Znów słyszy

kłótnie, te wieczne docinki oczekujących. Widzi spierających się o pojedyncze słowa, często niewłaściwie zrozumiane, jest świadkiem niepojętych wybuchów złości, gdy uznają, że ktoś próbuje się przepychać. Po trzygodzinnym oczekiwaniu w tej przesyconej nienawiścią atmosferze Doll nieuchronnie traci swój poranny uroczysty nastrój. Wzbrania się przed tym, lecz znów popada w przygnębienie.

W końcu wchodzi do pokoju, staje przy stole, przed dziewczyną czy może kobietą, za plecami słyszy rozmowy, pod boki słyszy rozmowy, wreszcie i on zaczyna mówić, wyklada to, co po stokroć sobie przemyślał, co rozważył we wszelkich szczegółach...

Nie kończy jednak nawet trzech zdań.

– Najpierw musi pan przynieść poświadczenie zameldowania u władz policyjnych oraz pański przydział mieszkania – wyjaśnia panienska. – Bez tego nie otrzyma pan kartek. Proszę udać się najpierw do urzędu mieszkaniowego! Następny, proszę!

– Ależ panienko! – woła. – Przecież to mieszkanie zawsze do nas należało, nigdy się z niego nie wymeldowaliśmy, po co miałbym się ponownie meldować?! Proszę tylko zajrzeć do kartoteki!

– W takim razie proszę przynieść z urzędu poświadczenie! Poza tym... – Zmierzyła go nieprzychylnym wzrokiem. – Następny, proszę!

Doll mógł sobie gadać do woli. Zbywać milczeniem – tego właśnie nauczyła się w urzędzie. Jego słowa były dla niej niby brzęczenie muchy! Ma odejść; aby się tego dowiedzieć, stracił ponad trzy godziny i mnóstwo zapachu.

Ruszył do urzędu mieszkaniowego, znalazł go bez trudu. Tym razem nie musiał długo czekać. Wystarczyło półtorej godziny. Także i tu nic jednak nie wskórał. Najpierw ponownie wysłuchała go jakaś kobieta, jego przypadek wzbudził jej wątpliwości. Powinien był się przecież zameldować przed trzydziestym wrześniem, a mamy już prawie grudzień! Kobieta odesłała go do jakiegoś mężczyzny, bardzo drażliwego mężczyzny, który – o czym Doll się przekonał, obserwując, jak potraktował poprzedniego petenta – niechętnie słuchał, za to sam lubił mówić.

Doll rozłożył przed nim kilka papierków: stare pokwitowania za czynsz, poświadczenie swego urzędowania na stanowisku burmistrza miasteczka, zaświadczenia o pobycie Dollów w szpitalu...

Mężczyzna za biurkiem, mrugnawszy parokrotnie oczami, zgarnął papiery na kupkę i rzekł spieszenie:

– To mnie w ogóle nie interesuje! Proszę je sobie zabrać, równie dobrze może je pan wyrzucić do kosza! Następny!

– A moje zaświadczenie w sprawie mieszkania? – upierał się rozgniewany Doll.

– Pańskie zaświadczenie? Dobre sobie! – wrzasnął rozdrażniony drażliwiec. – Na jakiej podstawie? Nawet mi przez myśl nie przeszło, bym miał coś takiego wystawić! Następny!

– A jakich dokumentów pan wymaga? – dopytywał się nieustępliwie Doll.

– Ja niczego nie wymagam! To pan się czegoś domaga! Następny! I to pędem!

Owo „następny” zdawał się dorzucać całkiem odruchowo, podobnie jak inni doczepiają do każdego zdania „prawda?”. Po chwili dodał spieszenie:

– Proszę mi przynieść od gospodarza budynku oświadczenie pod przysięgą, że zajmuje pan mieszkanie od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Do tego policyjne poświadczenie wymeldowania z miejscowości, do której został pan ewakuowany, i z kartek żywnościowych.

– Nigdy nie zostałem ewakuowany. Poza tym nie obowiązuje tam żadne wymeldowanie z kartek żywnościowych, bo nie ma tam żadnych kartek.

– To śmieszne! – zawołał urzędnik. – Same tylko bzdury, wykręty! Do Berlina chce się pan przeszwindlować, otóż to! Ale ode mnie nic pan nie dostanie, absolutnie nic, nawet jeśli mi pan przyniesie najlepsze zaświadczenia! – Grzmotnął dłonią o blat stołu. Był coraz bardziej rozdrażniony. – Poznaję takich ludzi na pierwszy rzut oka: ode mnie nigdy nic pan nie dostanie. Następny!

Potem dorzucił jeszcze zupełnie odmiennym tonem, wręcz mrukliwie.

– Poza tym...

Już po raz drugi tego ranka Doll słyszy owo „poza tym”, brzmiące niczym mroczna, skierowana przeciw niemu groźba. Po tych bezpodstawnych oszczerstwach i podejrzeniach krew burzy się w jego żyłach, pyta rozzłoszczony:

– Co to ma znaczyć? Co znaczy to „poza tym”?

– Niechże pan już idzie! – rzekł znudzony urzędnik – dobrze pan wie. Niech pan tego po prostu nie robi! – Dokładnie obejrzał swoje paznokcie, po czym spojrział na Dolla. – A może chce mi pan wyjawić, z czego właściwie pan i pańska rodzina utrzymywaliście się w Berlinie od pierwszego września? – kontynuował triumfującym tonem. Wszyscy obecni w pokoju ze złośliwą satysfakcją spoglądają na Dolla, który porządnie dostawał teraz za swoje. – Albo nie wprowadził się pan pierwszego września, lecz dopiero dzisiaj. Wówczas przegapił pan swój termin i dlatego nie otrzyma pan ode mnie żadnego

zaświadczenia! Albo też żyje pan od pierwszego września z czarnego rynku, a wtedy muszę to zgłosić policji!

– Gdyby pan – odparł Doll gniewnie, zaślepiiony irytacją, nie bacząc, że mężczyzna ten miał po części rację – gdyby pan uważnie przejrzał dokumenty, zamiast kazać je wyrzucić do kosza, wówczas wiedziałby pan, że do wczoraj przebywałem w szpitalu, a więc tam mnie żywiono. A moja żona wciąż w szpitalu przebywa, w każdej chwili mogę dostarczyć stosowne poświadczenie...

– To nic a nic mnie nie interesuje! To mnie zupełnie nie obchodzi! Następny! Już panu mówiłem, jakich zaświadczeń od pana potrzebuję. Następny!

Tym razem nie był to jedynie doczepiony do zdania ozdobnik, istotnie, urzędnik zajął się następnym petentem. Doll powolnym krokiem wyszedł z pokoju. Czuł na plecach wyniośle szydercze spojrzenia innych, wiedział, że ten człowiek triumfował, myśląc sobie: „Ależ mu dopiekłem! Tak szybko tu nie wróci!”. Doll był też pewien, że następny petent z łatwością dopnie swego, choćby jego sprawa kiepsko się przedstawiała. O tak, zostanie nawet uprzejmie potraktowany, gdyż urzędnik będzie teraz chciał udowodnić samemu sobie, pozostałym pracownikom oraz zebranej w biurze publiczności, jak porządnym jest jednak człowiekiem. Lecz wcale nim nie był, był jednym z milionów tyranów, którzy w tym podoficerskim kraju od dawien dawna dzierżą swe berło.

W drodze powrotnej Doll zupełnie zapomniał, że przed listopadowym chłodem chroni go podarowany mu wielkodusznie ledwie kilka godzin wcześniej płaszcz, a jego żołądek napełniony został równie wspaniałomyślnym śniadaniem. Znów zaczyna głęboko wątpić w swych niemieckich pobratymców. Jego poranny entuzjazm prysnął. Robinson poczuł się bardzo samotny na swej wyspie.

Panna Gwenda, a przede wszystkim pani Schulz muszą odpokutować za to, co zawinił urząd mieszkaniowy. Doll, zupełnie zniechęcony, zasypia. Nie jest to jednak ów Doll ostatnich dni. Półtorej godziny snu przywraca mu ufność i odwagę. „Dam sobie radę! – przemyka mu przez myśl. – A jeśli mi się nie uda, załatwi to Alma. Być może sprytniej by było od razu ją tam wysłać. Znacznie lepiej ode mnie umie sobie radzić z mężczyznami. Poza tym... to Alma!”.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech, gdyż teraz także i jemu przytrafia się owo „Poza tym”. Niepostrzeżenie zakrada się do spalonego pokoju po ukryte tam jedzenie, po czym zasiada do spóźnionego obiadu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Robinson wyrusza w świat

Choć Doll przemknął cichaczem, owdowiała majorowa Schulz usłyszała jego kroki. Ledwie ukroił sobie pierwszą kromkę chleba, rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Na dźwięk jego „Proszę” w drzwiach pojawiła się kędzierzawa czupryna Schulzowej.

– Ach, panie doktorze, czy mogłabym teraz zabrać moje rzeczy, jeśli oczywiście nie przeszkadzam?

– A niech je sobie pani zabiera – odparł Doll. Nagle przypomniał sobie wybuch złości, jakim ukarał tę kobietę za grzechy urzędu mieszkaniowego: – A przy okazji, proszę wybaczyć, że byłem poprzednio tak opryskliwy. Miałem spore nieprzyjemności w urzędach, puściły mi nerwy. Nie jestem jeszcze w pełni zdrów...

Ledwie to powiedział, zaraz pożałował swoich słów. Poczul, wręcz zobaczył, jak onieśmielona dotąd Schulzowa ponownie ożywa. Nie powinien był zwłaszcza wspominać o „urzędach”, gdyż zaraz usłyszał pytanie:

– I co panu powiedzieli? Jak rozstrzygnięto sprawę mieszkania?

– Sposób, w jaki mieszkanie – odparł dość ostrożnie Doll – zostanie podzielone pomiędzy mnie i pannę Gwendę, pozostaje kwestią do rozstrzygnięcia. W każdym razie, szanowna pani, jasne jest, że nie będę mógł zrezygnować z tego pokoju.

Schulzowa się skrzywiła.

– Ależ panie Doll! – zawołała żałośnie. – Nie może mnie pan przecież na początku zimy wyrzucić na bruk! Poszukam sobie innego pokoju, ale do tego czasu...

– Do tego czasu będziemy tu mieszkać we dwoje, a po powrocie mojej żony we troje... – Chciała coś powiedzieć. – Nie, nie, szanowna pani, to nie wchodzi w rachubę. Wiem, że używała pani tego pokoju jedynie przygodnie...

– Toż to oszczerstwo! – zawołała Schulzowa, a jej nalana, blada twarz aż drżała z oburzenia i złości. – Niech pan nie wierzy w ani jedno słowo tej Gwendy! To aktorka... ona kłamie... zawodowo!

– Pani Schulz, nigdy nie rozmawiałem na pani temat z panną Gwendą!

– Nie, oczywiście że nie. Proszę mi wybaczyć. Już wiem, to ta źmija portierka, ten nazistowski babsztyl! Wciąż chce mi tylko dokuczyć! Ale już ja się postaram, by trafiła za kratki! Ileż to ona nakradła z pańskiego mieszkania, zanim odebrałam jej klucz! Wiadra, garnki, obrazy, pańska żona powinna uważnie się u niej rozejrzeć, a znajdzie tam połowę swojego majątku! Oczywiście, że tu mieszkałam, każdego dnia!

– A zatem – rzekł Doll – korzystała pani z tego pokoju regularnie, dzień w dzień?

– Ależ tak, zawsze! Mówię panu, od zeszłego roku...

– W takim razie zgodzi się pani ze mną, że wreszcie powinniśmy uregulować kwestię czynszu. Nie zapisywałem wszystkiego tak dokładnie jak pani, dlatego policzę pani tanio. Za czynsz, za korzystanie przez cały ten okres z mebli i kuchni, powiedzmy, dwieście marek, za gaz i elektryczność dodatkowe sto, co daje w sumie trzysta marek. Jeśli mogę prosić, szanowna pani?

I wyciągnął ku niej rękę.

Pani Schulz mimowolnie przysiadła, lecz nie dla wygody, a dlatego, że z przerażenia nogi się pod nią ugięły. Takiego ataku się nie spodziewała.

– Nie mam pieniędzy! – mruknęła, mocno ściskając torebkę. – Nawet dwudziestu marek...

– Och! – uspokajał ją Doll. – Nic nie szkodzi. Proszę dać mi najpierw te dwadzieścia marek. Zgadzam się na spłatę w ratach. A do czasu, nim uzbiera pani całą sumę, może zostawi mi pani tę pikowaną kołdrę! Bardzo mi się teraz przyda.

– Nie! Nie! Nie!!! – krzyczała majorowa Schulz. – Nie zapłacę! To nie było umówione! Uzgodniłam z pańską żoną, że będę mieć baczenie na państwa rzeczy, i w zamian za to mogłam tu zamieszkać.

– Ależ dopiero co sama mi pani wyznała, że mnóstwo naszych rzeczy zniknęło! Jak mogło do tego dojść, skoro pani ich pilnowała? Nie, pani Schulz, musi mi pani zwrócić te trzysta marek. Może pani pamięta, że bez wahania spłaciłem pani rachunki za tyle to a tyle papierosów, i za chleb, i za tyle funtów ziemniaków. Nie, moje żądania nie są wygórowane. Jestem przekonany, że moja żona by na to nie przystała, zażądałaby znacznie więcej...

– Pańska żona wyraźnie mi powiedziała, że za nic nie muszę płacić!

– Nie, łaskawa pani, z pewnością tak nie powiedziała. Nie będziemy tego roztrząsać. Tak już jest, musi mi pani zapłacić, im szybciej, tym lepiej!

– A moja pikowana kołdra?! – zawołała Schulzowa. – Panie doktorze, drogi panie doktorze, przeżyłam cztery bombardowania, jedyne, co mi pozostało, to właśnie ta kołdra. Panie doktorze, nie może pan być taki nieczuły! Nic więcej nie

mam, jestem biedną kobietą, i do tego starą! – Ujęła jego dłoń, spojrzała na niego oczami, które wypełniły się łzami. – Papierosy! – szepnęła jakby do siebie. – Wziął mi za złe papierosy. Naprawdę nie policzyłam panu za dużo, bardzo, bardzo tanio! Przecież daruje mi pan życie, a żyję z papierosów... Ja też chcę żyć! I po co przez ostatnie lata się ratowałam? By teraz umrzeć z głodu? Nie, nie może mi pan brać tego za złe, i zostawi mi pan też moją kołdrę! Nie jest pan taki nieczuły, jak pan to teraz okazuje. Na pewno nie dam rady spłacić trzystu marek. Gdyby mi wypłacali pensję! A tu nic, nic! A Führer przecież powiedział...

Zupełnie się zmieszała, błagalnie patrzyła łzawymi oczami na Dolla. Mocno ścisnęła jego rękę swymi nieprzyjemnie ciepłymi, wilgotnymi dłońmi.

– Łaskawa pani! – Jednym nieuprzejmym szarpnięciem uwolnił dłoń z uścisku. – Łzy wcale mnie nie wzruszają, a jedynie drażnią. Dopiero co sama pani przyznała, że niewłaściwie rozliczyła papierosy, zatem nie wierzę w ani jedno pani słowo na temat ubóstwa. Kołdrę może pani zatrzymać, jeśli zwróci mi pani trzysta marek! Jeśli nie, kołdra zostanie tutaj!

– Nie! – odparła majorowa Schulz, a całe jej rozgorączkowane wzburzenie minęło jak ręką odjął. – Nie, nie zapłacę. Może mnie pan zaskarżyć. Pańskie żądania są nieuzasadnione. Pańska żona wyraźnie mi powiedziała...

– Już o tym była mowa, pani Schulz. A więc kołdra tu zostaje!

– Dobrze – rzekła oschle Schulzowa. – Dobrze więc, zobaczy pan, co z tego panu przyjdzie, panu i pańskiej żonie! Morfiniści... To także jest zakazane!

– Nie aż tak bardzo jak oszukańczy handel papierosami. – Potem jednak poczuł wstręt wobec obrotu, jaki przybrała ta rozmowa. – Dziękuję, pani Schulz, nie mamy już nic więcej do omówienia. Proszę zabrać swoje rzeczy z kuchennego kredensu i spiżarni. I proszę mi oddać klucze do mieszkania...

– Kluczy nie oddam! Nie pozwolę się ot tak wyrzucić na ulicę!

– Torebka! – wrzasnął Doll. Nagle znów zapałał gniewem, sam był tym zaskoczony. Zwyczajnie wyrwał ją Schulzowej z rąk. Cicho krzyknęła. – Proszę się nie obawiać, nic pani nie zabiorę!

Torebka była wypchana listami, wszelkimi możliwymi przyborami toaletowymi, paczkami papierosów.

– Gdzie ma pani klucze? – zapytał Doll, grzebiąc coraz głębiej.

Natknął się na plik banknotów, były niebieskie, stumarkowe, pewnie ze trzydzieści, może nawet czterdzieści. Wcisnął jej pieniądze do ręki.

– Oto i dwadzieścia marek... Biedna kobieta, która niczego nie posiada i musi czekać, aż Führer wypłaci jej pensję... – W końcu znalazł klucze. – Czy jest wśród nich jakiś klucz prywatny?

Potrząsnęła głową.

– Nie mam nic... – szepnęła skonsternowana, ściskając w dłoni plik banknotów.

– Właśnie widzę! – przyznał Doll, oddając jej torebkę. – Dziękuję bardzo. Czy może teraz pani stąd odejść...?

Przez chwilę stała niezdecydowana, potem położyła nagle na stole trzy stumarkowe banknoty. Nie patrząc. Bez słowa. (Może poczuła jednak zawstydzenie? Mało prawdopodobne!). A potem wyszła z pokoju...

– Pani kołdra – zawołał za nią Doll. – Zapomniała pani o kołdrze!

Nie zawróciła, szła dalej korytarzem, minęła kuchnię.

– Pani rzeczy z kredensu! – krzyknął Doll. Daremnie. Drzwi zatrzęsęły się, pani Schulz odeszła.

Wzruszywszy ramionami, Doll wrócił do swego posiłku. Mimo otrzymania pieniędzy nie był zadowolony z wyniku rozmowy. Trzysta marek, których widok trochę mu przeszkadzał, schował w końcu do kieszeni. Zważywszy na ceny, po jakich Alma rozliczała się w szpitalu, wystarczy ledwie na piętnaście papierosów albo na jedną Friedensmarkę. Dla niego miały jednak znacznie większą wartość, nie tylko dlatego, że je sobie wywalczył.

Tymczasem zapadł zmrok. Jadł przy świetle, znów się dziwił, jak mały wydaje się chleb, gdy człowiek wyłącznie nim się żywi, jak szybko się go pochłania. I wciąż sobie powtarzał: to już naprawdę ostatnia kromka! Tylko po to, by po krótkim wahaniu sięgnąć po następną. Jadł sam chleb, marmoladę i masło zostawił do czasu powrotu Almy.

Gdy zamierzał odnieść produkty z powrotem do osmalonej komody Petty, przyszło mu do głowy, że przecież od południa ma w kieszeni klucz do spiżarni. Ruszył więc do kuchni.

Zastał tam pannę Gwendę. Ma na sobie srebrnoszare futro, jest umalowana, jakby prosto z kuchni miała wyjść na scenę. Okazuje się jednak, że wybiera się tylko w odwiedziny do przyjaciół. Panna Gwenda zaczyna narzekać na ziąb, skarży się, że zimą nie da się wytrzymać w nieogrzewanym mieszkaniu. Ależ tak, kupiła na lewo piecyk, a w najbliższych dniach zamierza się wystarać o lewe brykiety, po dwa pięćdziesiąt za sztukę. Nie, to całkiem tanio, niesamowicie tanio, żądają już po cztery marki sztuka. A co on zamierza robić w zimie? Nie może przecież cały czas ogrzewać elektrycznym piecykiem, jeszcze odetną im prąd i przyjdzie im wszystkim siedzieć w ciemnościach!

– Panno Gwendo, proszę posłuchać! – przerwał Doll jej lament, który wcale nie dodawał mu animuszu. – Proszę posłuchać, właśnie pozbyłem się

z mieszkania Schulzowej i zabrałem jej klucze. Nie ma już więc czego tu szukać. Tylko panią informuję...

Gwenda wykrzywia umalowaną twarz, chyba w uśmiechu, po czym mówi:

– A więc pan także odkrył jej machlojki?! Tak sobie myślałam, że długo to już nie potrwa. Cóż, płakać po niej nie zamierzam.

– A więc pani też już tego doświadczyła! Myślę, że od dziś nie musimy już zamykać kredensu, każdy będzie mógł do woli korzystać z naczyń. Dla wszystkich wystarczy. Zapasy każdy chowa jednak do swojej spiżarni i zamyka na klucz. Którą pani wybiera, lewą czy prawą?

Panna Gwenda woli tę z lewej, na wszystko zresztą się zgadza.

– Dobrze, sprawdźmy jeszcze wspólnie, co zostało z zapasów Schulzowej, żeby nie robiła nam potem wyrzutów...

– Och, a cóż mogło z nich zostać? – rzekła Gwenda pogardliwie. – Zawsze żyła tylko z dnia na dzień.

Istotnie tak być musiało, gdyż nic nie znaleźli prócz resztki przypraw, dwóch cebul oraz garści ziemniaków. Doll zajął więc jej spiżarnię, wyglądała teraz znacznie okazalej niż za czasów Schulzowej!

Zamknął ją na klucz. Zrobiło się późno, za oknem zapadł już zmierzch. Nadciąga burza, wiatr napiera na zakrywający okno celofan, czasem dudni o niego deszcz. Mimo to Doll nadal zamierza pójść do Almy do szpitala. Przez cały dzień rozmyślał o tych odwiedzinach. Wyobrażał sobie, że znów przysiądzie na brzegu jej łóżka, przy cichych dźwiękach radia, może znowu będzie miała jakieś papierosy... (Aczkolwiek w jej sytuacji finansowej byłoby to wręcz karygodne!).

Najlepiej będzie, jeśli ani słowem nie wspomni jej o tym, że wyrzucono go z sanatorium, to by ją tylko niepotrzebnie zaniepokoiło. Zaczęłyby się zamartwiać, jak sobie poradzi sam w mieszkaniu. Zażądałaby wypisania ze szpitala, choć jej rana jeszcze się nie zagoiła. Będzie udawał, że znów im się wymknął. Na pewno przyjdzie mu do głowy jakaś historyjka, którą mógłby jej opowiedzieć.

Zajęty takimi myślami, Doll zszedł po schodach, owiał go lodowaty listopadowy wiatr, duże krople deszczu biczowały go po twarzy. Przeszedł go dreszcz. „Bo masz na sobie tylko letni płaszcz” – pomyślał. Przystanął. Letni czy nie, w takim płaszczu nie może się pojawić w szpitalu, od razu się wyda, że nie przebywa już w sanatorium! Musi tam pójść ubrany w cienki letni garnitur, na samą myśl o tym przechodzą go ciarki. Mógłby oddać płaszcz portierowi, rozważy w myślach. Lecz to także niemożliwe. Alma będzie go żałować

i zarazem podziwiać, że wybrał się do niej w taką pogodę; z miejsca odkryje, że garnitur jest suchy, choć na dworze leje jak z cebra.

Nie, jej nie może oszukiwać, musi pójść w samym garniturze. „Mógłbym powiedzieć – znów przemyka mu przez myśl – że ktoś w sanatorium pożyczył mi płaszcz. Lecz i to jest cholernie mało prawdopodobne. Wymykam się stamtąd ukradkiem i pożyczam przy tym płaszcz. Poza tym Alma mogłaby rozpoznać letni płaszcz pana Franza Xaviera Grundlosa – kobiety zapamiętują takie rzeczy. Nie, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko pójść w samej marynarce!”.

Rzeczywiście, kiepska aura, mokro i zimno. Kiedy Doll wszedł z powrotem na klatkę schodową, martwa cisza we wnętrzu wywołała w nim wrażenie ciepła – tak samo jak poprzedniego wieczoru. Dopiero jednak gdy wrócił do swojego pokoju i dostrzegł błogo żarzącą się płytę grzewczą piecyka, przyszło mu na myśl, że wcale wychodzić nie musi. Alma z pewnością się go dziś nie spodziewa. Teraz, gdy w szpitalu nadeszła pora kolacji, pewnie już na niego nie czeka. Nie musi więc wychodzić w ten mroczny, mokry ziąb i marznąć na kość. Spokojnie może zostać w domu, wpełznąć do ciepłego łóżka, trochę jeszcze poczytać, a nazajutrz wybrać się w odwiedzinę za dnia, przy lepszej pogodzie.

Zaraz jednak Doll potrząsnął głową, tupnął nawet nogą, tak był zdeterminowany. Zaplanował sobie bowiem tę wizytę i nie chciał ponownie... nigdy więcej nie chciał na powrót popaść w nawyk ostatnich miesięcy, w odrętwienie i apatię, w ową zupełną, otępiałą obojętność. Spiesznie, jakby się bał, że się rozmyśli, zerwał z siebie płaszcz, przerzucił go przez fotel i znów pognął w dół po schodach, wybiegł w ten porywisty, lodowaty deszcz. I pędził coraz dalej przed siebie, nie zauważając nawet, jak bardzo marznie, nie bacząc, że znów potknął się o przesuniętą granitową płytę chodnika, nie, nic z tego nie przenikało do jego świadomości. Przed oczami miał jedynie łagodną jasność szpitalnego pokoju, wypełnionego przytłumionymi dźwiękami radiowej muzyki. Usłyszał, jak mówi „Dobry wieczór, Almo!”, choć po szybkim marszu wciąż brakowało mu tchu, i ujrzał jej rozpromienioną szczęściem twarz.

Kiedy gnał tak niesiony owym uroczystym oczekiwaniem, miał wrażenie, jakby umykał od całej swojej rozbitej, odbóstwionej przeszłości, w której trwał, pełen fałszywej i durnej dumy ze swej samotnej robinsonady. Czuł, jakby ubogi oto człowiek biegł na spotkanie lepszej, jaśniejszej przyszłości.

I tak dotarł do wejścia do szpitala, bez trudu zapędzony tam przez wiatr. Przystanął na chwilę, osuszył twarz chusteczką, przetarł zmoczone przez deszcz okulary. Wygładził dłonią włosy – o grzebieniu jak zwykle zapomniał. Kiedy uspokoił nieco oddech, wszedł powoli po schodach, niezatrzymywany przez

nikogo, ba, niezauważony dotarł pod drzwi jej pokoju, zapukał i wszedł spieszenie do środka.

Nie zawiódł się w swych oczekiwaniach, ujrzał jej radośnie promienne oblicze, a jednak po tysiącokroć piękniejsze, niż się spodziewał. Usłyszał jej słowa:

– Ach, mój chłopcze, mój chłopcze! Znów się im wymknąłeś? Przez cały dzień przeczuwałam, że się zjawisz!

Podszedł, nie, raczej pobiegł do jej łóżka, nachylił się, ucałował ją i szepnął:

– Nie, Almo, tym razem im nie uciekłem! Już wczoraj wieczorem zostałem stamtąd wyrzucony. Nie chciałem ci o tym mówić, lecz kiedy zobaczyłem twoją uszczęśliwioną twarz, poczułem, że nie mogę cię okłamywać!

Przysiadł obok niej i opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło od chwili ich ostatniego spotkania, o swych daremnych zmaganiach w urzędach, które znów omal nie napełniły go zniechęceniem, i o walce z Schulzową. Na koniec wspominał o historii z nierozsądnie pozostawionym w domu płaszczem.

– Zupełnie niepotrzebnie zmarzłem! To znaczy, może marzłem niezupełnie na darmo. Jeszcze nie wiem, gdyż to wszystko jest niczym... przemiana. Poza tym, tak naprawdę w ogóle nie zmarzłem, a przynajmniej nie miałem czasu zwrócić na to uwagi.

Pod wpływem jego spojrzenia przyciągnęła do siebie jego głowę i szepnęła:

– Ach, jak ty na mnie patrzysz?! Wiesz przecież, jak strasznie cię kocham, i że wyglądasz teraz ze trzydzieści lat młodziej? Najchętniej sama bym się stąd wyrwała i jeszcze dziś wieczorem wróciła z tobą do naszego domku!

W chwili, gdy wypowiadała te słowa, w jej zmieniającej się twarzy wyczytał, że ów nagły pomysł, by niezwłocznie wrócić razem z nim do domu, przybrał konkretną postać, że przelotne życzenie przemieniło się w utęsknione pragnienie, a chwilę potem w mocne postanowienie. Zupełnie zapomniała o dokuczającej jej ranie.

– Poradzę sobie! – mruknęła. – A jeśli nie będą mnie chcieli wypisać, zrobię tak jak ty, i sama się zwolnię! – Po czym dodała rozpromieniona: – Pomyśl tylko, jakie to piękne: jeszcze dziś wieczorem znowu będziemy razem!

– Nawet o tym nie myśl, Almo! – odparł gniewnie. – Pamiętaj, proszę, o swojej ranie, którą codziennie trzeba opatrywać! Najpierw musisz całkowicie wyzdrowieć. Tak długo dawałem już sobie radę. Nie zaczynamy znów od tego nędznego wylegiwania się w łóżku!

Powiedziała mu przekornie, że zawsze robi to, co chce! I jeszcze dziś wieczorem stąd odejdzie!

Znał jej upór, nie pozostało mu nic innego, jak tylko ustąpić, załagodzić sytuację, pocieszyć dobrym słowem. Długo mu się to nie udawało, upierała się przy swoim postanowieniu, by jeszcze dziś się wypisać.

– Już ja sobie poradzę z tym młodym lekarzem!

Sprzeczka ciągnęła się bez nadziei na pomyślne zakończenie. Zakonnica z uśmiechem Madonny kilkakrotnie oznajmiła, że pan Doll musi wracać do domu. Kolacja już od dawna czekała na nocnym stoliku. W końcu, przy pożegnaniu, zdołał na niej wymóc przyrzeczenie, że przynajmniej nie ucieknie tego wieczoru, a w żadnym razie nie przed rozmową z ordynatorem. O ile wieczór zaczął się szczęśliwie, o tyle zakończył się oznakami irytacji: żadne z nich nie przeforsowało swych zamierzeń, oboje czuli z tego powodu rozdrażnienie.

Kiedy Doll szedł korytarzem, przez otwarte drzwi zobaczył w którymś z pokoi młodego mężczyznę w białym lekarskim kitlu. „Aha, w takim razie zaraz się przekonamy!” – pomyślał, wszedł do pokoju i się przedstawił. Okazało się, że ów młody, poźółkły mężczyzna istotnie jest pełniącym nocny dyżur lekarzem. Doll, któremu od pierwszej chwili nie przypadł on do gustu, oznajmił:

– Moja żona właśnie wyraziła życzenie, by niezwłocznie wypisać ją do domu. Odwiodłem ją od tego zamiaru. Zakładam, że się pan ze mną zgodzi, stan jej rany...

– Jest zadowolający! – spieszenie dokończył zdanie lekarz. Wydawało się, że żywi wobec Dolla podobne uczucia. – Pobyt w szpitalu nie jest już konieczny. W zupełności wystarczy opieka ambulatoryjna – zmiana opatrunku dwa razy w tygodniu.

– Uprosiłem moją żonę i uzyskałem od niej obietnicę, że w sprawie zwolnienia porozmawia najpierw z ordynatorem – ciągnął Doll niewzruszenie, jego głos zabrzmiał teraz nieco bardziej nerwowo. – Prócz rany chodzi bowiem prawdopodobnie o podawany regularnie co wieczór zastrzyk morfiny, prawda? Przed wypisaniem zastrzyki te musiałyby zostać całkowicie odstawione, czyż nie?

Nie było cienia wątpliwości; przy tym ataku młody lekarz aż drgnął, a jego poźółkła twarz jeszcze bardziej pobladła. Szybko jednak zebrał się w sobie i odpowiedział, celowo wyolbrzymiając swą przewagę fachowca w stosunku do niezorientowanego laika:

– Ach, zastrzyk, żona panu o tym opowiedziała? Cóż, także w tej kwestii mogę pana uspokoić: pańska żona sądzi, że dostaje morfinę. W rzeczywistości

podawałem jej z początku nieszkodliwe środki zastępcze, ostatnio zaś wyłącznie wodę destylowaną...

Mówiąc to, lekarz uśmiechnął się tak odrażająco, że Doll już miał wykrzyknąć: „I za tę destylowaną wodę każesz się częstować drogimi amerykańskimi papierosami! Cóż za poczucie przyzwoitości! Poza tym nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Alma doskonale potrafi odróżnić działanie wody i morfiny. To czyste oszustwo, by ratować własną skórę przed swoim szefem!”.

Nic takiego jednak nie powiedział, dokąd bowiem mogłaby zaprowadzić taka drażliwa rozmowa? Zamiast tego oznajmił:

– O ile mi wiadomo, także od wody, którą bierze się za morfinę, należy odwyknąć, nie uważa pan?

Lekarz ponownie się uśmiechnął w ów odpychający sposób.

– Ach! – odparł, wykonując przy tym gest, jakby bagatelizował całą sprawę. – Aż tak skomplikowane to znów nie jest. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli obaj podejmiemy teraz do łóżka pańskiej żony, a ja wyjawię jej, co trzeba. Zobaczysz pan, żona nie doświadczy żadnego szoku, wręcz przeciwnie, już raczej pojawi się u niej poczucie ulgi.

– Nie! – zaproponował Doll, w jego oczach czaiła się złość. – Nie sądzę, bym mógł przystać na tego rodzaju propozycję. W konsekwencji gniew mojej żony zwróciłby się przeciwko mnie, zamiast przeciwko panu. Najpierw omówię tę kwestię z ordynatorem, pana zaś usilnie proszę, by zanim to nastąpi, nie wspominał pan przy żonie o naszych ustaleniach!

Tym razem biały kitel uśmiechnął się wyniośle.

– Proszę się nie obawiać, panie Doll! – rzekł z szyderczą troską. – Nie będę pana kompromitował przed pańską żoną, nie przekona się pan o sile jej gniewu. Była to oczywiście jedynie propozycja z mojej strony, by był pan obecny podczas wyjawiania jej prawdy. Mogę to rzecz jasna uczynić osobiście...

– Nie życzę sobie dziś wieczorem żadnego wyjawiania prawdy!

– Cóż – odparł lekarz niejasno – zobaczę, co pańska żona opowie mi na temat pańskich odwiedzin. Oczywiście zawsze kieruję się aktualnym stanem pacjentki. – Obrzucił swego rozmówcę badawczym spojrzeniem, jakby się zastanawiał, co jeszcze można by dodać. Potem sięgnął do kieszeni kitla i wyciągnął paczkę amerykańskich papierosów. – Proszę! – powiedział do zaskoczonego Dolla. – Ależ bardzo pana proszę!

A wtedy Doll, ów przybity, wytrącony z równowagi, zupełnie zaskoczony Doll, wziął do ręki papierosa... Chwilę później poczuł złość na samego siebie za tę głupotę, za ten brak przytomności umysłu! Tak, ten młody, złośliwy intrygant go

pokonał, pod każdym względem, teraz zaś, kiedy się skompromitował, częstując się papierosem, nie sposób już było powrócić do rozmowy.

Panowie zamienili więc jeszcze kilka uprzejmych, acz pustych frazesów, po czym wściekły Doll ruszył do domu, wściekły na samego siebie za brak błyskotliwości i przytomności umysłu.

Jedynym pocieszeniem była solenna obietnica Almy, że nie będzie się domagać natychmiastowego zwolnienia ze szpitala, lecz zaczeka z tym, aż on lub ona rozmówią się z ordynatorem. Kiedy Doll dłużej o tym rozmyślał, pociecha ta wydała mu się jednak znikoma. Choć nie miał wątpliwości, że Alma dotrzyma słowa, możliwe jednak, że porozmawia z nią ów młody lekarz i osiągnie to, co Doll w obecnej chwili uznał za rzecz najbardziej szkodliwą: nakłoni ją do przedwczesnego opuszczenia placówki.

Kiedy maszerował do szpitala, przepełniające go radosne wyczekiwanie nie dało mu odczuć ani chłodu, ani deszczu, w drodze powrotnej zaś najbardziej melancholijne myśli uczyniły go tamtej burzowej listopadowej nocy nieczułym na smagnięcia deszczu. Z rozmyślań otrząsnął się dopiero wtedy, gdy już w pobliżu swego mieszkania zderzył się z jakimś mężczyzną, tak gwałtownie, że go przewrócił. Zaraz też pomógł mu wstać, mamrocząc przeprosiny, i z niejaką rezygnacją oczekiwał, że poszkodowany zasypie go lawiną wyzwisk i gróźb. Ku jego zaskoczeniu nic takiego jednak nie nastąpiło, Doll usłyszał natomiast nieśmiało niemal pytanie zadane przez człowieka, którego twarz kryła się zupełnie w ciemnościach:

– Czy zrobił pan już coś, by na powrót zająć swe miejsce w historii literatury, panie Doll?

Był tak osłupiały owym nieoczekiwanym nocnym spotkaniem, że dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, kto się do niego odezwał i czyj spowodował upadek: był to ów pergaminowy lekarz, który w Berlinie jako pierwszy udzielił pomocy jego żonie. W końcu przemówił, nieco bezsensownie:

– Ach, to pan, doktorze! Bardzo pana proszę o wybaczenie. Mam nadzieję, że nie zrobiłem panu krzywdy...

– Sądzę – odparł tamten, wciąż pozostając mistrzem sztuki niezwracania uwagi na to, co go nie interesowało – sądzą, że trzeba się teraz spieszyć, jeśli chce się odegrać jakąś rolę. Do żłobu zdają się pchać zupełnie nieznani ludzie wszelkiej maści...

Jego słów nie przepełniała zazdrość, zabrzmiały, jak wszystko zresztą, co mówił, nierealnie, jakby wypowiedziane przez mgłę, nie wywołując oddźwięku

ani w nim samym, ani wokół niego. Szli teraz obok siebie w kierunku swych sąsiadujących domów.

– I znów tworzą wszelkie możliwe związki, stowarzyszenia, komórki, grupy – kontynuował upiorny lekarz – lecz w żadnym przypadku nie zostałem wezwany, by w którejś z nich uczestniczyć. A przecież byłem do niedawna dość znanym pisarzem, może nie tak sławnym jak pan, doktorze Doll, lecz dość jednak poważanym...

Z każdym słowem tej rozmowy coraz bardziej zbliżali się do celu. Doll, wcale nie mając takiego zamiaru, wszedł bezwiednie za lekarzem do jego mieszkania, a następnie do jako tako nagrzanego gabinetu, gdzie usiedli po obu stronach biurka. Lakierowany na biało fotel zabiegowy z podpórkami na nogi wyglądał równie upiornie jak jego właściciel. We wszystkim kryło się coś nierzeczywistego, jakby Doll leżał we śnie, z którego zaraz musiał się przebudzić.

– Zupełnie wygląda to tak – ciągnął lekarz – jakby wszyscy uważali mnie za zmarłego, tak bardzo popadłem w zapomnienie. Lecz ja nie mogę być całkiem zapomniany... W gazetach czytam nazwiska starych przyjaciół. Ja o nich nie zapominałem, więc oni nie *mogli* zapomnieć o mnie. A tu nic! Ani słowa! Jakbym był martwy – lecz ja martwy nie jestem, jeszcze nie!

Umilkł na chwilę i spojrzął na Dolla swymi brązowymi, pozbawionymi wyrazu oczami. Patrzył nieruchomo, nie mrugając powiekami.

– Do mnie także nikt się nie zwrócił – odparł Doll, by go pocieszyć.

– Nie! – rzekł pergaminowy upiór z niezwykłym dla siebie naciskiem. – Nie! Nie mam sobie nic do zarzucenia! – Odpowiedział na pytanie, którego wcale mu nie zadano. – Nigdy nie byłem nazistą. Oczywiście, służyłem przez pewien czas w Wehrmachcie jako lekarz, tego nie sposób było uniknąć. Ale nigdy nie wstąpiłem do partii. A teraz zapadło milczenie, jakby uważali mnie za nazistę. I co tu począć?

Spojrzał na swego rozmówcę, szybko mrugając oczami, cienka jak pergamin skóra na kościach policzkowych niemal się zaróżowiła.

– I co tu począć? – powtórzył jak echo Doll. – Z powodu zignorowania? Czemu nie zgłosi się pan do któregoś ze swych dawnych przyjaciół? Może w ogóle nie wiedzą, że pan żyje. Tak wielu w ostatnim czasie zginęło.

– Pisałem listy, wiele listów! – odparł lekarz. – Widzi pan, zajmują połowę szuflady! – Otworzył szufladę biurka i pokazał Dollowi stertę listów w zaadresowanych kopertach opatrzonych niedźwiedzim herbem Berlina. – List jest jak wołanie – ciągnął spiesznie lekarz – już podczas pisania wzywa on

adresata. – Umilkł na chwilę. – I kto chce mi teraz czynić wyrzuty? Nigdy nie byłem nazistą! Naprawdę! – Coraz gwałtowniej mrugał powiekami.

Doll miał nieodparte wrażenie, że ów doktor Pernies tak mocno przywiązany był do tego świata, iż wciąż się czymś zadręczał, ba, gwoli uwolnienia się od owej udręki gotów był się posunąć nawet do kłamstwa. Chociażby wciąż powtarzane przez niego zapewnienie, jakoby nie był nazistą, wydawało się podejrzanym. Przypominał owego handlarza piwem, który zaklinał się przed swym burmistrzem, że niczego nie ukrywa – do czasu, aż jego kryjówkę odnaleziono.

Doll podniósł się z miejsca.

– Wyślę te listy – oznajmił.

Lekarz jednak na powrót stał się nieprzenikniony i oderwany od życia.

– Oczywiście! – odparł bezdźwięcznie. – Tylko który tu wysłać? Do kogo? Wszystkich tych ludzi cechuje niewiarygodna wręcz próżność, ten, do którego się nie zwrócę, poczuje się zignorowany. Dziękuję panu za odwiedzin!

Doll wyszedł w mrok nocy. Może Alma omówiła tymczasem z młodym lekarzem sprawę swego zwolnienia i wróciła już do domu? Przyspieszył kroku.

Kiedy jednak wszedł do pokoju, nikogo w nim nie zastał. Alma nie przyszła, ten wieczór znów spędzi samotnie. Być może niejeden jeszcze dzień będzie się musiał sam troszczyć o swoją przyszłość. Miał zamiar jak najszybciej znaleźć jakąś pracę, a tym samym zacząć prowadzić sensowne życie. W tym celu musiał poznać dobrze poinformowanych ludzi, musiał się dowiedzieć, jak się przedstawiają możliwości publikowania w gazetach, czasopiśmie, wydawnictwach. Do kogo się jednak zwrócić? Od dwóch miesięcy przebywał w Berlinie, lecz o niczym nie miał pojęcia, nie wiedział, co się tu wydarzyło od czasu wielkiej klęski. Nigdy nie zajrzał do gazety – upokarzające to dlań wyznanie!

Pogrążony w rozmyślaniach, posprzątał i uporządkował przynajmniej swój pokój. Przyrządził też sobie kolację i zaparzył kawę. Następnie zapukał cicho do drzwi panny Gwendy i zapytał uprzejmie, czy może ma jakieś gazety, choćby i nie najświeższe. Zwróci je nazajutrz wczesnym rankiem.

Wręczyła mu cały pakiet czasopism, zaszył się z nimi w pokoju. Tego wieczoru jadł chleb i pił kawę, lecz wcale nie zwracał na to uwagi. Czytał, czytał gazety, nowsze i starsze, zapominając o bożym świecie, jak wówczas, gdy jako piętnastolatek przeczytał swojego Karola Maya, o niczym innym nie myśląc. Czytał o wszystkim: o polityce krajowej i zagranicznej, listy od czytelników i felietony, wzmianki o kulturze i ogłoszenia. Pochłaniał gazety od pierwszej do ostatniej stronicy.

A wtedy otwierał się przed nim świat, w którym żył dotąd niby ślepiec, rzecz każda rysowała się teraz wyraźnie. Wędrował ulicami tego miasta i ani razu nie przyszło mu na myśl, kto właściwie usuwa barykady, uprzęta góry gruzu i przywraca do działania komunikację miejską. Widział mieszkańców krzątających się po ulicach, był trochę zdziwiony tym, że ludzie znów pracują – właściwie po co? Albo myślał sobie: „To niegdysiejsi naziści, ci *muszą* pracować. My, którzy wcale nie musimy tego robić, odczekamy, sytuacja jakimś sposobem się odmieni...”.

A jednak owi pracujący nie byli ludźmi ani lepiej, ani gorzej sytuowanymi od niego. Podczas gdy on wylegiwał się leniwie i pracowicie się rozchorował, równie mocno jak on rozczarowani przystąpili do działania – i własną pracą przewyżczali gnębiące ich zwątpienie.

Czytał o teatrach, w których znów grano przedstawienia. O wystawach malarstwa i koncertach, o nowych filmach z całego świata. Przeczytał o akcji, dzięki której w drodze samopomocy zwożono drewno z lasów, a zniszczonym mieszkaniom przywracano funkcjonalność, naprawiano dachy i spalone maszyny. Czytał ogłoszenia, w których oferowano rzeczy, jakich od dawna już nie widywano. Niewiele ich było, lecz to zaledwie początki, to mogły być dopiero początki.

„Miastem umarłych” nazywał Berlin, „chaosem ruin”, w którym on nigdy nie będzie w stanie pracować. A tymczasem jakże usilnie w tym mieście pracowano! Każdy, kto nie pomagał, winien się wstydzić. W jakimże to egoistycznym zaślepieniu wiedli przez ostatnie miesiące żywot darmozjadów! Wciąż tylko brali i brali, i nigdy nawet nie pomyśleli o własnych, choćby i najbardziej znikomych dokonaniach!

Kiedy owego wieczoru Doll odłożył ostatnią gazetę, położył się na kanapie i zgasił światło, nie potrzebował już żadnych tchórzliwych, robinsonowych fantazji, by wypełnić sobie nimi czas do zaśnięcia. Przez jego głowę wciąż, bezustannie, przemykały obrazy wyniesione z lektury. Im częściej sobie powtarzał, ile zdołano już osiągnąć, tym bardziej niepojęte wydawało mu się to, że on przyglądał się temu beczynnemu, zazdrośnie, jałowo. Wyrzuty te prześladowały go do czasu, aż zapadł w głęboki sen.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kłótlivy początek

Mimo dręczących snów Doll obudził się rześki i wypoczęty. Podobnie jak poprzedniego dnia poświęcił mnóstwo uwagi porannej toalecie, by nie rozpraszały go uciążliwe myśli na temat własnego zaniedbanego wyglądu. Miał wielką nadzieję na powodzenie swego planu: nie chciał, by jakiś drobny, despotyczny urzędnik znów, jak wówczas w sprawie mieszkania, pozbawił go animuszu.

Poprzedniego wieczoru w trakcie lektury prasy Doll kilkakrotnie natknął się w jednej z gazet na nazwisko pewnego człowieka, którego pamiętał jeszcze z czasów przednazistowskich. Rzadko spotykał go osobiście, jednak to on, będąc redaktorem w dużym wydawnictwie, opiekował się niektórymi spośród książek Dolla. Tego właśnie człowieka, nazwiskiem Völger, zamierzał odszukać, miał nawet nadzieję, że zastanie go w redakcji tejże gazety.

Doll wkładał właśnie pożyczony letni płaszcz, gdy ktoś donośnie, pięć, sześć razy, zadzwonił do drzwi. Gdy je otworzył, by wpuścić do środka tak gwałtownie dobijającego się gościa, ujrzał w progu własną żonę Almę! W obu dłoniach dźwigała wypchane po brzegi siatki, a na ramieniu dodatkowo ubrania i spódnice. Z wyrazu jej twarzy dało się wyczytać, że nie jest bynajmniej w radosnym nastroju.

Doll, choć już poprzedniego wieczoru obawiał się powrotu żony, był zupełnie zaskoczony. Lektura gazet oraz zamiar złożenia wizyty redaktorowi Völgerowi sprawiły, że tego ranka prawie w ogóle nie myślał o żonie, a już na pewno nie o jej powrocie do domu.

– To ty, Alma?!!! – odezwał się więc, jakby spadł z obłoków.

– Tak, to ja, Alma!!! – małpowiała go z gniewną drwiną w głosie. – Gdyby to od ciebie zależało, pewnie bym się tu nie zjawiała, tylko leżała jeszcze tygodniami w szpitalu! (Może zamknąłbyś wreszcie drzwi i wziął ode mnie trochę rzeczy?! Przecież widzisz, że mam zajęte ręce!). Wspaniale dotrzymałeś słowa, podburzając przeciwko mnie tego młodego lekarza! A potem pozwalasz się takiemu człowiekowi częstować papierosami – no, wielkie dzięki!

Rzucając owe mocne i gniewne słowa, ruszyła przodem do pokoju. Nieuważnie odstawiła torby, ubrania cisnęła na krzesło, usiadła w fotelu. Zaraz jednak znów

poderwała się z miejsca, wyjęła z torby papierosy, zapaliła. Mimo irytacji dowiodła, że koleżeństwo nie było u niej li tylko wyuczoną manierą, gdyż natychmiast podała mu paczkę z zachęcającym „Proszę!”.

Doll, który poprzedniego wieczoru ku własnemu niezadowoleniu nie odmówił młodemu lekarzowi częstującemu go papierosem, teraz uczynił to – ponowny błąd! – wobec własnej żony, dodając przy tym gniewnie:

– Wcale nie podburzyłem tego lekarza przeciwko tobie! Poza tym nie kazałem mu się częstować, wziąłem papierosa z czystej uprzejmości i na jego usilną prośbę!

– Tak? – odparła złośliwie pytaniem. – A ode mnie nie weźmiesz? Cóż, wobec własnej żony nie trzeba zachowywać pozorów uprzejmości. I tak bez trudu można dopiąć swego. Bez mojej wiedzy oraz wbrew własnej obietnicy namówiłeś lekarza, by zatrzymał mnie w szpitalu nie wiedzieć na jak długo.

– Nic podobnego ci nie obiecywałem! Ty zaś przyrzekłeś mi solennie nie odchodzić stamtąd, zanim nie porozmawiamy z ordynatorem!

– A widzisz, sam to przyznałeś: mieliśmy rozmówić się z ordynatorem, tymczasem ty udajesz się do lekarza dyżurnego i chowasz za jego plecami! No jasne! Chodziło ci przede wszystkim o to, żebym tam została! Pewnie do niczego nie jestem ci tu potrzebna!

– Alma! – szepnął Doll. – Alma, nie kłóćmy się! Pomyślmy raczej o przyszłości. A ja nie wyobrażam sobie przyszłości bez ciebie. Najpierw jednak musisz wyzdrowieć, kierowała mną wyłącznie troska o ciebie. Wczoraj wieczorem przeglądałem gazety – ach, Almo, ileż to wydarzyło się na świecie przez te dwa miesiące, które beczynnie tu spędziliśmy! Od dziś znów będziemy w tym wszystkim uczestniczyć. Kiedy się zjawiłaś, miałem właśnie pójść do Völgera, mojego dawnego redaktora, który zawsze wstawiał się za moimi książkami. Wypisali cię, niech będzie, tego nie zmienimy. Ale przynajmniej się połóż, oszczędzaj nogę...

Na jej twarzy zagościł wyraz odprężenia i sympatii, odkąd mówił do niej bez krzty zadziorności. A jednak słysząc jego propozycję, potrząsnęła tylko głową niby przekorne dziecko, i tak też, przekornie, odpowiedziała:

– Nie rozumiem, dlaczego nie miałabym pójść razem z tobą. Z moją nogą wszystko w porządku. No, prawie. Nie chcę tu leżeć i się nudzić!

– Właśnie po to, by skończyć z tym wiecznym nicnierobieniem, proszę cię o wyrozumiałość – odparł ze spokojem. – Bo jeśli na powrót zaczniemy wieść ten nasz beczynny żywot, nie będzie mowy o jakiegokolwiek pracy. Jeśli z łóżka wstawać będziemy jedynie po to, by wystarać się o morfinę, wtedy Schulzowa

i Dorle znów obejmą tu rządy. Zrób to dla mnie i oszczędzaj się, moje dziecko, zanim do tego dojdzie!

Ona jednak znów potrząsnęła głową i powtórzyła uparcie:

– Już wystarczająco długo się oszczędzałam, teraz znów chcę działać. Chcę brać udział we wszystkim, co robisz!

– Aż do dzisiejszego ranka leżałaś w łóżku, nie możesz ot tak, od razu, znowu zacząć biegać! – upierał się Doll. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak śmiertelnie się boję, że to nasze dawne życie powróci! Tym razem nie mamy żadnych zapasów, żadnego pierścionka z brylantem na sprzedaż. Tak, musisz sobie uświadomić, że ubodzy z nas teraz ludzie, Almo, i że na wiele nie możemy już sobie pozwolić, ani na lekarzy, ani na drogie amerykańskie papierosy, nawet na biały chleb, który szybko się pałaszuje, a nie jest tak sycący jak ciemny.

– Tak?! – zawołała gwałtownie. – I dlatego nie wzięłaś ode mnie papierosa? A więc chcesz teraz udawać biedaka?! I ja także powinnam zrezygnować z papierosów i jeść czarny chleb, choć wiesz, że mam po nim dolegliwości żółciowe?! Skoro tego chcesz, proszę bardzo, lecz ja się na to nie godzę! Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do sprzedania, a kiedy i one się skończą, znam lepsze rozwiązanie niż sześnięcie w nędzy.

– Tak, to bardzo wygodne, powiedzieć: „Niczego nie będę sobie odmawiać”, a przed każdą wizją drobnego niedostatku grozić rejteradą – odparł rozzłoszczony Doll. – Nie pozwolę jednak na żadne groźby, nawet z twojej strony, a jeśli chcesz ode mnie odejść, zrób to, im wcześniej, tym lepiej! Wówczas samotnie podążę własną drogą!

– A widzisz! – triumfowała. – Od razu sobie pomyślałam, że nie bez powodu namawiałaś mnie i tego młodego lekarza, bym jak najdłużej pozostała w szpitalu! Zwyczajnie jestem dla ciebie ciężarem, i chcesz się mnie pozbyć. Proszę bardzo, nie będę ci tego utrudniać, odejdę w każdej chwili. Lepiej sobie poradzę sama niż zostając z tobą!

– Co za bzdury pleciesz! – wykrzyknął. – Ani słowem nie wspomniałem o tym, że jesteś dla mnie ciężarem i że wolę żyć bez ciebie! Od tego zaczęłaś! Ale nie o to się przecież rozchodzi! Chodzi zwyczajnie o to, czy będziesz teraz na tyle rozsądna, by o siebie zadbać. Tak czy nie?

– Oczywiście, że nie! – odparła ironicznie. – Może gdybyś mnie trochę uprzejmiej o to poprosił... Lecz w tej sytuacji na pewno nie!

– Z początku prosiłem cię wystarczająco uprzejmie, ale ty zwyczajnie tego nie chcesz. Skoro naprawdę nie chcesz...

Spojrzał na nią wyczekująco, lecz gniew dopiero w niej narastał.

– Ile razy mam ci powtarzać, że tego nie chcę! Nie pozwolę się tyranizować! Popatrz, znów sobie zapalę, tylko po to, by cię zdenerwować!

I zapaliła kolejnego papierosa.

– Pięknie, pięknie! – odparł. – W każdym razie wszystko już wiem!

Mówiąc to, przeszedł obok niej. Jej oczy aż poczerwieniały od gniewu. On jednak zostawił ją w pokoju, zamknął za sobą drzwi, w korytarzu włożył płaszcz i kapelusz, po czym opuścił mieszkanie.

Na dworze przebrzmiała już nawałnica z poprzedniego dnia, nawet nie padało, a jednak nigdy jeszcze ulica, przy której mieszkali, pełna spalonych ruin i zwałów gruzu, nie wydała mu się tak posępna i śmiertelnie groźna. Tak właśnie wyglądało jego własne życie: wojna wszystko zniszczyła, zostały mu jedynie ruiny i spalone na wstrętny popiół wspomnienia. I prawdopodobnie na zawsze tak już zostanie; w tym względzie chyba miała rację. Z tego rumowiska nie prowadziła żadna droga. To, czego właśnie doświadczył w obecności żony, mogło pozbawić człowieka wszelkiej odwagi! I to on miał rację, nie ona. Miał po swojej stronie rozsądek, wszystko zaś, co mówiła o niechętniej rezygnacji z czegokolwiek, było istnym nonsensem!

Owszem, owszem, była młodą, rozpieszczoną kobietą, nie musiał od razu czynić jej wyrzutów z powodu papierosów i białego chleba, na to przyjdzie jeszcze czas. Mógł też wykazać się nieco większą dozą cierpliwości i przezorności. Ale, na Boga!, był tylko człowiekiem, a czas ze swą niedolą przygniatał jego barki, ona zaś żyła niczym ptak, z dnia na dzień, wolna od wszelkich zmartwień! Czemu on zawsze musiał mieć wzgląd na innych, na niego zaś nikt nigdy nie zważał?

Tak czy owak, dobrze się jednak stało. W rzeczywistości to ona wpłynęła na sposób, w jaki właśnie się rozstali, tak się bowiem dzieje, gdy uczucie zakochania naraz przestaje tuszować przeciwieństwa. We wszystkim niejednomysłni, obcy, zupełnie sobie obcy, każde pozostawione samo sobie. Samotnie będzie teraz szedł ulicą, do niczego nie będzie jej nakłaniał, niech sobie pali i wystawia na sprzedaż, co tylko chce! Ani słowa więcej! Ani słowa także i o tym, co usłyszy i osiągnie u redaktora Völgera.

Pogrążony w rozmyślaniach, dotarł na stację kolejki podziemnej. Skasował bilet i razem z innymi czekał na pociąg. Kiedy nadszedł, wysiadający tłoczyli się wąskim szpalerem utworzonym przez oczekujących. Następnie wcisnął się wraz z innymi do przepełnionego wagonu.

Nagle jakiś głos zapytał go ironicznie:

– Może teraz zapalisz papierosa?

Odwrócił się, zmieszany dostrzegł twarz swojej żony, która taksowała go chłodnym i wyniosłym spojrzeniem. Nie odpowiedział, potrząsnął tylko gniewnie głową, widząc podszywano mu papierosa. Tego już za wiele, znów przepełniła go złość. Żeby po takiej kłótni ukradkiem go śledzić, a do tego jeszcze publicznie z niego szydzić – to więcej, niż był w stanie znieść.

Irytujące, że poszła za nim, że razem kroczą tą rozstrzygającą być może drogą, jakby rzeczywiście była im przeznaczona. Tylko mu przeszkadzała. Chciał rozważyć, co powinien powiedzieć redaktorowi Völgerowi, lecz nie mógł przestać myśleć o tej kobiecie!

Musiał się przesiąść do szybkiej kolejki, a potem skorzystać jeszcze z tramwaju – lecz nie zdołał się jej pozbyć. Ze wstydem musiał przyznać, że nie zachowywał się po rycersku, na przykład do tramwaju wsiadł w ostatniej chwili, kiedy pojazd już ruszył. Ona jednak nie dała się wywieść w pole, zdołała wskoczyć do wagoniku i z szyderczym poczuciem tryumfu opłaciła mu jeszcze przejazd. Na jego słabowity protest nikt nie zwrócił uwagi, ani ona, ani konduktor.

Z pewnością nie powodowała nią jedynie złośliwa przekora. Dwukrotnie próbowała zostawić za sobą przeszłość i nawiązać z nim spokojną rozmowę. On jednak zacisnął jedynie usta i nie odpowiedział ani słowem.

Kiedy oboje wysiedli z tramwaju, zmuszeni pokonać ostatni odcinek drogi piechotą, spróbowała po raz trzeci. Przechodzili właśnie przez drewniany prowizoryczny mostek, tuż obok ujrzeni w wodzie szeroki, żelazny, pokryty asfaltem most, bezsensownie wysadzony przez ludzi Hitlera. Zaciekawiona spojrzała na gładką, nieuszkodzoną jezdnię, stromo opadającą z brzegu do wody, zanurzoną w niej ledwie na pół metra, i pnącą się dalej na drugi brzeg.

– Jaka szkoda, że nie jestem już dzieckiem – rzekła, jakby się zapomniawszy – mogłabym tu sobie pojeźdzać na tyłku! I to jeszcze dziś! Albo na sankach, albo na rowerze. A co mi tam, za sto amerykańskich papierosów zrobiłabym to bez wahania!

Jej ostatnie słowa zepsuły wrażenie początkowych, które mimowolnie wywołały w nim uśmiech. Rzeczywiście, ujrzał ją w myślach, jak się ślizga, szczerząc przy tym swe białe zęby, a jej rudoblond grzywa powiewa na wietrze. Zrobiłaby to, była do tego zdolna. A jednak końcowe zdanie, to o amerykańskich papierosach, zmąciło pogodny nastrój.

W jej głowie zbudziło ono jednak zupełnie odmienną myśl. Wyciągnęła z torebki paczkę chesterfieldów, zajrzała do środka, podsunęła mu ją pod nos:

– To jak? Ostatnia szansa! Akurat zostały dwa, po jednym dla każdego!

Jeszcze mocniej zacisnął wargi i potrząsnął głową, choć palce go świerzbiły, by sięgnąć po papierosa, tak wielki go dręczył nikotynowy głód.

– Nie to nie! – oznajmiła beznamiętnym głosem, po czym sama wyjęła jednego i zapaliła. – Skoro chcesz być śmieszny i uparty jak osioł, proszę bardzo! Papieros nie będzie mi przez to gorzej smakował!

Głęboko zaciągnęła się dymem, rozkoszowała się nim przez chwilę, po czym wypuściła go, pewnie nieprzypadkowo, w jego stronę.

– I tak ulegniesz – odezwała się z tą samą co poprzednio szyderczą wyniosłością. – Będziesz mnie musiał przedstawić swojemu redaktorowi, będziesz musiał ze mną porozmawiać, choćbyś nie wiem jak dziecinnie się teraz zachowywał!

Myśl ta przez cały czas kołatała mu się po głowie, swoją uwagę trafiła w sedno jego złego humoru. Ze złości przerwał milczenie:

– Zamiast tak mi się naprzykrzać i przeszkadzać w rozmyślaniach – odezwał się poirytowany – lepiej byś poszła do urzędu mieszkaniowego i po kartki! Tak się zawsze przechwalałaś, że potrafisz to załatwić w okamgnieniu! Sama jednak, rzecz jasna, na to nie wpadłaś, wygodniej jest przecież zrzucić wszystko na mnie.

– Nie zawracaj sobie głowy sprawą mieszkania i kartek! – odparła drwiącym tonem. – Sądzisz, że skoro ty nic nie wskórałeś, mnie także się to nie uda. Pójdę tam dziś po południu i załatwię wszystko, co trzeba!

– Po południu urzędy są przecież zamknięte! – rzekł z udawanym współczuciem z powodu jej chełpliwej bezmyślności.

– Nie dla mnie, mój drogi! – zaprzeczyła jeszcze bardziej wyniośle. – Zobaczysz: nie dla mnie!

– Na pewno nic nie zobaczę, a ty na pewno nic nie zdołaasz.

Na tym zakończyła się ich ponowna kłótnia. Dotarli do siedziby wydawnictwa, była to dawniej jedna z najbardziej imponujących budowli Berlina. Z zewnątrz ów wysoki budynek wyglądał jeszcze dość okazale, pominiawszy zniszczone, puste albo zakryte papą otwory okienne, wydawał się nienaruszony przez wojnę. Jedynie piętrzące się dokoła zwały gruzu obwieszczwały, że wewnątrz nie pozostał nietknięty.

I rzeczywiście, gdy tylko weszli do środka, trafili do osmalonego dymem, cuchnącego spalenizną pomieszczenia, które wskutek zwałenia się ścian działowych ogromnie się wydłużyło.

Następnie przeszli przez niskie żelazne drzwi, miast spalenizny poczuli wilgotny kwaskowaty zapach świeżego wapna. W górę prowadziły szerokie, skąpo oświetlone schody, ściany wydawały się dopiero co pomalowane farbą,

wszystko pachniało nowością, nieco ubogą renowacją. W każdym razie tę część budynku właśnie oddano ponownie do użytku.

Na drugim piętrze znaleźli się w redakcji, w której Doll spodziewał się zastać redaktora Völgera albo przynajmniej zasięgnąć o nim języka. Niemal się jękając, zapytał o niegdysiejszego opiekuna swych książek; nagle owładnęło nim wrażenie, jakby od dnia przełomu nieustannie gnał na spotkanie tej właśnie chwili, dzięki której mógłby – taką miał nadzieję! – związać zerwane nici swej przeszłości z myślą o nowej, szczęśliwej przyszłości. Przez sekundę dzielącą pytanie i odpowiedź zadrżał w obawie, że usłyszy „Nie”, że padnie stwierdzenie „Osoby takiej nie znamy”, jakby ostatecznie mogło ono zatrzaskać przed nim drzwi ku owej lepszej przyszłości.

Odetchnął głęboko, gdy usłyszał:

– Zapytam, czy pan Völger jest teraz wolny. Kogo mam zaanonsować?

Poczuł zmęczenie w członkach, gdy wymawiał swoje nazwisko, miał wrażenie, jakby mimo zawrotów głowy został uratowany przed upadkiem w otchłań.

Następnie zaprowadzono ich do dużego, nieuporządkowanego pomieszczenia, które przypominało raczej pokój maszynisty niż redaktora. Doll spojrział w pooraną, naznaczoną przez troski twarz starca o cienkich siwych włosach. „O Boże! – pomyślał wstrząśnięty, gdy ścisnął wyciągniętą ku niemu dłoń – ten staruch to przecież nie jest Völger! To nie może być Völger!”. Nawet kiedy tamten wypowiedział pierwsze słowa, on nadal rozważał w myślach: „Może on także jest przerażony moim wyglądem. Nigdy bym go nie poznał! Ta przeklęta wojna – co ona z nas wszystkich zrobiła!”.

Dosłyszał słowa poruszonego redaktora:

– Doll, że też pana u siebie widzę! Wie pan, że uznano pana za zmarłego? Wszyscy myśleliśmy: „A więc on także!”. A teraz zjawia się pan u mnie! Niechże pani usiądzie, bardzo proszę, łaskawa pani! Wiem, straszny tu bałagan...

– Nic nie szkodzi, że uznano mnie za zmarłego! – odpowiedział równie wzruszony i zmieszany Doll. – Mawiają przecież: uznany za zmarłego żyje jeszcze sto lat, i ja mam taki zamiar! – Poczuł na sobie badawcze spojrzenie Almy, ucieszyło go, że zachowuje się tak spokojnie, że się w tej chwili nie narzuca. Wbrew początkowym zamiarom oznajmił: – A to moja żona, panie Völger! – Dostrzegłszy zdumienie na twarzy redaktora, dodał: – Pobraliśmy się tuż przed końcem wojny.

– O tak! – odparł Völger, potakując posiwiałą głowę. – Wszędzie nastąpiły wielkie zmiany, także i u mnie! – przyznał, spoglądając przy tym na młodą kobietę. Jego stwierdzenie zabrzmiało tak, jakby również i on wstąpił w związek

małżeński. Po chwili ciągnął dalej: – A teraz znów siedzę w tym budynku, jak przed nastaniem Tysiącletniej Rzeszy, znużony i postarzały, i jak dawniej zajmuję się moją pracą. Czasem mam wrażenie, jakby wszystko, czego doświadczyłem przez ostatnie dwanaście i pół roku, było zupełnie nierzeczywiste, niby mgliste wspomnienie jakiegoś złego snu...

– Ależ nie! – zaproponował Doll. – Ja do tego jeszcze nie doszedłem. Dla mnie wszystkie te potworności wciąż jeszcze są żywe. Ale pan ma przynajmniej swoją pracę...

– A pan? Nie miał pan jeszcze sposobności pracować?

– Nie! Proszę sobie wyobrazić, byłem burmistrzem! A potem długo chorowałem. – I zaczął opowiadać o wydarzeniach ostatnich miesięcy, o braku nadziei, o wciąż narastającej apatii...

Jego rozmówca robi się podczas tej relacji niespokojny, korzysta więc z pierwszej nadarzającej się okazji, by wyznać, jak źle mu się wiodło, jak okropnych doświadczeń nabył w kontaktach ze swymi pobratymcami.

Przysłuchując się jego słowom, roztargniony Doll natychmiast przypomina sobie o własnych, znacznie potworniejszych przeżyciach. Ledwie go słucha; gdy tamten kończy, przedstawia naprędce własną, straszną opowieść.

Obaj milkną na chwilę, z nikłym uśmiechem spoglądają w swe zatroskane twarze, zgadzają się.

– Robimy to samo – mówi Völger z nieco wyrazistszym uśmiechem – postępujemy dokładnie tak samo jak nasi drodzy rodacy, z których głupoty tak chętnie się naśmiewamy. Każdy doświadczył najstraszniejszego!

– Tak! – przyznaje Doll. – A przy tym wszyscy doświadczyliśmy mniej więcej tego samego!

– Z pewnością – odpowiada Völger. – Każdy znosił swe cierpienia aż po kres sił.

– To prawda! – przytakuje Doll.

Obaj umilkli. Doll zawahał się, nie wiedząc, czy powinien wstać i odejść. Völger nie zaproponował mu żadnej pracy, nawet nie zapytał, czy nie zechciałby napisać artykułu do redagowanej przez siebie gazety. Nawet jeśli Völger tego nie wyczuł, Alma wiedziała, z jakimi oczekiwaniami przyszedł tutaj jej mąż. Völger być może pomyślał, że stary znajomy chciał się z nim jedynie przywitać. Ona jednak rozumiała, że od tej wizyty miało się dlań rozpocząć nowe życie...

A tu masz ci los! Właśnie przez wzgląd na Almę Doll nie może zapytać Völgera wprost, czy nie znalazłby dla niego jakiegoś zajęcia. W obecności Almy nie chce go o to prosić. Nie, jedyne, co może zrobić po tak długim, dobitnym

milczeniu swego rozmówcy, to wstać, pożegnać się, odejść. *Moriturus te salutat!* Pozdrawia cię idący na śmierć! Odejść i umrzeć, cicho i z godnością! – Doll przypomina sobie nagle innego pisarza, lekarza, lekarza, który niegdyś był pisarzem. Ten trupiołowy, którego wciąż ignorowano, jak zwykł mawiać? Jakby się było już martwym. Doll wstaje, wyciąga dłoń:

– Tak, mój drogi Völger, pójdę już. Z pewnością ma pan mnóstwo pracy...

– Owszem – przytaknął Völger, ściskając jego dłoń. – Tak, zawsze mnóstwo pracy, o wiele za dużo. Ale cieszę się, że pana znów spotkałem, pana, którego uznano za zmarłego. Granzow też pewnie był uszczęśliwiony, gdy pana zobaczył. Proszę go ode mnie pozdrowić. Z pewnością panu mówił, że tu przesiaduję...?

– Nie! – odparł Doll, nawet się nie domyślając, czego się za chwilę dowie. To dlatego nie dopytuje się, kim właściwie jest ów Granzow, którego Völger każe mu pozdrowić. – Nie, natknąłem się na pana nazwisko w gazecie. Przyszedłem tu, zdając się na łut szczęścia.

– Ale widział się pan z Granzowem?!

– Nie – odparł ostrożnie Doll. – Jeszcze nie!

– Jeszcze nie! – zawołał Völger. – To pewnie pan nie wie, że Granzow szuka pana już od tygodni, od kiedy rozeszła się pogłoska, że przebywa pan w Berlinie?! Nie wie pan o tym, Doll?!

– Nie. I prawdę mówiąc, nie wiem nawet, kim jest Granzow.

– Co?! – woła Völger, szczerze przerażony, i puszcza nagle dłoń Dolla, którą dotąd ściskał. – Musi pan przecież wiedzieć, kim jest Granzow! Przynajmniej znać jego wiersze! Albo jego wielką powieść *Wendelin i lunatycy!* Co prawda – ciągnął, widząc, że Doll wciąż potrząsa głową – co prawda przez dwanaście lat przebywał na emigracji, a naziści w trzydziestym trzecim zakazali rzecz jasna rozpowszechniania jego książek. Mimo to musi pan go przecież znać z czasów sprzed trzydziestego trzeciego!

– Naprawdę go nie znam! – upiera się Doll. – Musi pan pamiętać, że niemal przez cały czas mieszkałem na wsi i niewielu pisarzy poznałem osobiście.

– Ale czytał pan przecież o nim w gazetach – próbuje ponownie Völger. – Już w maju powrócił z emigracji i założył wielki związek wszystkich artystów. *Musiał* pan o tym czytać!

– Byłem burmistrzem małego miasteczka, pracowałem po czternaście godzin dziennie – odparł Doll, uśmiechając się do swego nieustępliwego rozmówcy. – Nie miałem nawet czasu czytać pisanych do mnie listów, nie wspominając o gazetach. Prawdę mówiąc, dopiero wczoraj wieczorem po raz pierwszy od dnia klęski zajrzałem do gazet, i jedyne znajome nazwisko, na jakie się natknąłem,

należy do pana, Völger. To dlatego dziś tu jestem. Ale – podjął – ale może pan mi powie, dlaczego szuka mnie ten Granzow, którego nawet nie znam i z pewnością nigdy nie poznałem?

– Ależ Doll! Granzow chce pana oczywiście wciągnąć do swojego związku. Wiele się od pana oczekuje, jest pan przecież człowiekiem, który napisze popularną powieść na temat ostatnich lat...

– Nie, nie – protestuje Doll, a jego mina nagle posępnieje. – Na pewno nie jestem odpowiednim człowiekiem, który mógłby się podjąć tego zadania. – Ponownie potrząsa głową. – Wie pan, z początku, jak wszyscy, pogrążyłem się w otchłani. Lecz także później, gdy już się co nieco w sobie zebrałem i zacząłem zastanawiać nad tym, czym miałbym się później zajmować, wydało mi się całkiem nieprawdopodobne, bym mógł powrócić do pisania książek, jak dawniej, jakby nic się nie stało, jakby cały nasz świat nie legł w gruzach. Sądziłem, że trzeba będzie teraz pisać zupełnie inaczej, nie sposób tworzyć tak, jakby Tysiącletnia Rzesza nigdy nie istniała. Nie wystarczy jedynie nawiązać do tego, co się pisało przed trzydziestym trzecim. O nie, trzeba zacząć coś całkiem nowego, z pewnością pod względem treści, lecz także i formy...

Przerwał na chwilę, po czym nieco niepewnym wzrokiem spojrzął na bacznie mu się przysłuchującego Völgera. Niespodziewanie dokończył:

– Tego jednak nie wiem, jak dotąd nie odkryłem żadnej możliwości. Być może już nigdy więcej nie napiszę żadnej książki. Wszystko wygląda tak rozpaczliwie. Kimże jeszcze jesteśmy, my Niemcy, w tym świecie przez nas samych zniszczonym? Do kogo mielibyśmy mówić? Do Niemców, którzy wcale nie mają ochoty nas słuchać, czy do obcokrajowców, którzy nas nienawidzą?

– Cóż – rzekł Völger – na pana miejscu bym się o to nie martwił, ani o formę, ani o czytelników. Jestem przekonany, że pewnego dnia znów zacznie pan pisać, po prostu dlatego, że pisać pan musi! A teraz niech pan idzie do Granzowa, dam panu jego adres. Najprędzej spotka go pan w porze obiadu.

Krótko potem się pożegnali. Alma nie wtrąciła się ani słowem do tej pamiętnej rozmowy, niezwykle to zachowanie jak na kipiącą od nadmiaru słów kobietę. Nawet teraz, gdy zostali sami, nic nie mówiła. Owo nieustanne milczenie stało się dla Dolla zupełnie nieuzasadnione. Nawet jeśli nie czuł się na siłach, by napisać zaproponowaną powieść, nawet jeśli musiał zawieść nadzieje, jakie pokładał w nim Völger, a prawdopodobnie również i Granzow, to przecież ucieszyło go przyjęcie, jakie mu zgotowano, uradował fakt, że szukano go w tym wielkim mieście Berlinie. (Jakim sposobem zamierzano go odnaleźć, pozostawało dlań niejasne).

Przez długie miesiące czuł się tak zmizerowany i zobojętniały, że odrobina zainteresowania, pierwszy promyk sympatii rozpałał go i rozjaśniał mu twarz. Czuł się inaczej, chodził inaczej, innym wzrokiem spoglądał na zniszczone maszyny stojące w spalonej hali. „Może pewnego dnia znów będziecie dla mnie pracować – powiedział do siebie. – Nawet jeśli teraz wydajecie się uszkodzone i popsute, da się to naprawić; pewnego dnia wszystko znów powróci do życia...”.

Wyszedł na zewnątrz, w szarzyznę listopadowego dnia, między zwały gruzu. Podmuchy wiatru unosiły wokół nieprzyjemny spopielony pył oraz strzępy nadpalonego papieru. On jednak miał wrażenie, jakby powiewał majowy wietrzyk, jakby rozśpiewało się całe ptactwo, jakby drzewa właśnie zaczynały rozkwitać! A więc nadal był kimś! Przez tak długi czas czuł się jak istne zero, wszystkim pozwalał sobą pomiatać, a jednak był kimś! Völger to potwierdził, Granzow w niego wierzył. Miał wrażenie, że podobnie jak te maszyny, pewnego dnia znów powróci do pracy!

Z niemą zachętą spojrział na swoją towarzyszkę. Dlaczego nic nie mówi? Nadszedł już czas, by dała mu odczuć, że ona także jest zadowolona z tego spotkania.

A jednak nawet nie zerknęła w jego stronę. Jej wzrok błędził po sklepowych witrynach, skromnych wystawach z nieco przesadnie drogimi towarami zastępczymi i nieprzeznaczonymi do sprzedaży egzemplarzami pokazowymi. I nagle, nawet nie skinąwszy, zniknęła w jednym z owych sklepów, nie, nie w sklepie, lecz w gospodzie.

Znów się na nią zirytował z powodu bezwzględności, z jaką zostawiała go samego, bez słowa wyjaśnienia, przekonana, że będzie na nią czekał! Mogła się jednak mylić, w pobliżu zatrzymywał się tramwaj. Kiedy wyjdzie z lokalu, już go nie zastanie, a wtedy nie weźmie udziału w rozstrzygającej rozmowie z Granzowem.

Nie spodobała mu się, a jedynie spotęgowała jego gniew świadomość, że akurat jego życiowa partnerka musiała mu zepsuć ten pierwszy szczęśliwszy dzień. Ledwie dostrzegł jej twarz wyłaniającą się z lokalu, ruszył prosto w kierunku przystanku. Nawet na nią nie spojrział ani się do niej nie odezwał, gdy stanęła przy nim, tryskając humorem i beztroską.

Oczywiście, znowu paliła papierosa! A więc po to wstąpiła do tej speluny! Nie troszcząc się o przyszłość, wydaje ostatnie pieniądze. A teraz, gdy dla uczczenia tego dnia i on miał ochotę zapalić, oczywiście go nie poczęstowała!

Los tak sprawił, że w niezbyt zatłoczonym wagoniku znalazły się dla nich wolne miejsca, obok siebie, na jednej z owych ławek usytuowanych przy wejściu,

wzdłuż osi tramwaju. Po drugiej stronie drzwi, a więc całą szerokość wagoniku od nich, siedział tęgi mężczyzna o bladej, lecz puciołowatej twarzy, obok niego zaś starsza dama, wyraźnie z nim niespokrewniona, której Doll z miejsca nadał w myślach miano „rozkładającego się niemowlęcia”. Rysy owej z pewnością nigdy niezamężnej starej panny o różanych, niewinnych policzkach były tak bardzo zniekształcone przez wiek i oznaki zbliżającej się śmierci, że jej dziecinny wygląd miał w sobie coś nieprzyzwoitego, niemalże przętego.

Stara kobieta, na próżno wystrojona w falbanki, obszywki i guziczki, zdawała się zaniepokojona już samym widokiem beztrosko palącej papierosa Almy. Z pogardą kilkakrotnie wciągnęła nosem powietrze, po czym spojrzała na swego puciołowatego sąsiada, znów na młodą kobietę, a wreszcie i na samego Dolla, który płacąc właśnie konduktorowi za bilet dla swojej żony, okazał się odpowiedzialnym za nią towarzyszem.

Doll obrzucił ją chłodnym, pozbawionym wyrazu wzrokiem, a wtedy owo „rozkładające się niemowlę” odpowiedziało mu głośnym pomrukiem. Bładobłękitnymi oczami spojrzała przy tym na Almę, następnie na pozostałych pasażerów, jakby wzywała ich do poparcia swego protestu. Stara kobieta najwyraźniej nie potrafiła poskromić swych uczuć. Była bliska wybuchu.

Być może Alma chciała ów wybuch przyspieszyć, może w swej beztrosce w ogóle nie zważała na tę niemą grę, tak czy owak wyciągnęła nagle z torebki grzebień, potrząsnęła głową, by nastroszyć swe loki, i zaczęła rozczesywać włosy.

Dla starej kobiety było to zbyt wiele. Donośnym głosem, niemal krzyząc, zawołała w kierunku Almy:

– Niechże z łaski swojej robi to pani w domu, panienko! To nie salon fryzjerski!

Puciołowaty, słysząc te słowa, mimowolnie skinął potakująco głową, wydawało się, że wszyscy pasażerowie przyglądający się tej scenie trzymają stronę starszej damy. Młoda kobieta odparła jednak chłodno i arcyuprzejmie:

– Siedzę, łaskawa pani, wystarczająco daleko, by się tym pani nie naprzykrzać!

Ujrawszy jednak swarliwą minę owego „rozkładającego się niemowlęcia” oraz nieprzychylnie lub złośliwie grymasy na twarzach pozostałych pasażerów, podała nagle grzebień Dollowi.

– Tobie też się przyda, mój drogi. Twój przedziałek jest całkiem zmierzwiony.

Po krótkim wahaniu Doll wziął od niej grzebień i zaczął się czesać. Złośliwe miny na twarzach pasażerów pod wpływem impulsywnego gestu Almy przybrały wyraz wyczekujący bądź uśmiechnięty. Uśmiechnął się nawet siedzący obok starej puciołowaty mężczyzna. Agresorka najpierw mocno poczerwieniła ze

złości, potem nagle pobladła, aż wreszcie wyrzuciła z siebie głośne, karcące słowa:

– Ech, te wyfiokowane baby!

Na co Alma, pośród zastygłej ciszy całego wagoniku, odpowiedziała chłodno:

– Ech, te durne stare próchna!

Nie tylko Doll uznał określenie starej kobiety mianem „próchna” za wyśmienite, wszyscy w wagoniku wybuchnęli śmiechem. Puciołowaty zaczął nawet tupać z zadowolenia nogami, zaraz jednak obrzucił sąsiadkę trwożliwym spojrzeniem. Nie musiał się jej wszakże obawiać, bitwę przegrała. Skuliła się w obłożonym papą ciemnym kącie i zaczęła rzeźić. Niedługo całkiem szejnie, jak wyjaśnił żonie Doll.

Po owym *intermezzo* stosunki między małżonkami znów układały się jak najlepiej. Gawędzili, jakby nigdy nie doszło między nimi do najdrobniejszej choćby waśni. Doll bez wahania poczęstował się teraz papierosem, z rozkoszą, której długo sobie odmawiał, zaciągnął się dymem, a nawet potakiwał głową, gdy Alma niemal przeproszającym tonem oznajmiła:

– Znowu byłam lekkomyślna – to dla uczczenia dzisiejszego dnia.

Godzinę później oboje znaleźli się w dużym, bogato urządzonej pokoju. Wnętrze znacznie przewyższało poprzednie pod względem utrzymania oraz wyposażenia. Pokój pełen starych obrazów na ścianach, z grubym welurem na podłodze, nacechowany uporządkowaną biurową prostotą, do której dwie zatrudnione kobiety wprowadziły nieco swojskości i przytulności, był nieporównanie bardziej okazały od pomieszczenia Völgera, podobnie zresztą jak i powitanie, które im zgotowano. Ledwie Doll wymówił swoje nazwisko, ledwie jedna z kobiet zniknęła w sąsiednim pokoju z jego anonsem, a już drzwi się otwierają (odsłaniając widok na utrzymaną w bieli i błękicie salę) i pojawia się w nich wysoki, tęgi, starszy mężczyzna.

– Doll! – woła, ściska jego dłoń, aż dygocze z przejęcia. – Doll! Nareszcie u mnie!

Ciągnie za sobą poruszonego Dolla do błękitno-białej sali, pani Doll stąpa za nimi w milczeniu.

– Doll! A więc pan żyje! Jakże się o pana martwiliśmy!

Doll zaś, którego prawica zniknęła między wilgotnymi, miękkimi, ogromnymi dłońmi jego rozmówcy, nie potrafi wydusić z siebie nic innego, jak tylko nazwisko, które usłyszał po raz pierwszy półtorej godziny wcześniej:

– Granzow! Tak, rzeczywiście, Granzow!

Patrzą na siebie oczami pełnymi łez. To jak ponowne spotkanie starych przyjaciół. I rzeczywiście, nie są to łzy udawane. Owładnęły nimi uczucia, powróciły wspomnienia minionych dwunastu lat, spędzonych na emigracji lub w niewoli. Są ocalałymi z katastrofy! Każdy z nich cieszy się radością drugiego, ze spotkania, z wzajemnego poznania. Gdyby wszystko potoczyło się jak należy, znalazłyby się od dawna.

Doll ma nieco bardziej nieczyste sumienie niż Granzow, znający przynajmniej jego książki, napełnia go ciche poczucie winy. „Mam nadzieję, że Völger nigdy nie wspomni mu o tym, że nawet nie pamiętałem jego nazwiska” – rozważa w myślach. Doznanie to zaraz się jednak rozwiewa. Granzow najwyraźniej w ogóle nie interesuje się własną osobą, chce słuchać wyłącznie o Dollach, jak im się powodziło przez minione lata, gdzie i jak żyli, gdzie żyją teraz, jak się miewają. Wyłącznie radość, dobrotliwą radość wyczytuje Doll w oczach Granzowa, który chłonie uważnie każde jego słowo. „A kimże właściwie jestem? Drobnym powieściopisarzem, który już dawno dał za wygraną i zatracił wszelką nadzieję. Nie mogę jednak dać tego po sobie poznać, muszę wziąć się w garść...”.

Takie oto myśli wciąż kołaczą się w głowie Dolla, gdy od dłuższego już czasu siedzą we trójkę przy ogromnym stole na obitej błękitnym aksamitem sofie. Na stole leżą paczki papierosów należące do Granzowa, którymi Dollowie swobodnie mogą się częstować. Podano również kawę, nie jakąś lurkę, lecz prawdziwą kawę, co prawda nieco słabą, ale:

– Tak, musi nam pan wybaczyć. Nasze zaopatrzenie pozostawia jeszcze wiele do życzenia, ale to się zmieni, teraz wszystko zmierza ku lepszemu...

Owo „teraz” brzmi nieomal tak, jakby odnosiło się do odnalezionego Dolla, jakby od tej chwili rozpoczynała się nowa era – o czym jednak wobec zaistniałych okoliczności nie może być mowy.

Spotkanie przebiega obecnie w spokojniejszej atmosferze. Mówią głównie Dollowie, opowiadają o swych przeżyciach z ostatnich miesięcy. Inaczej niż podczas wizyty u Völgera, głos zabiera teraz także Alma, wyzbywszy się swej udawanej rezerwy. I słusznie, kiedy bowiem Völger, pominąwszy pierwsze zaskoczone spojrzenie, w ogóle nie zwracał na panią Doll uwagi, ożywiona młoda kobieta wyraźnie przypadła Granzowowi do gustu. Równie często jak w stronę Dolla zwraca ku niej swą uśmiechniętą lub zatroskaną twarz.

Tak, ów Granzow to wspaniały słuchacz i rozmówca. Rzecz to niepodobna, by powtórzyła się sytuacja ze spotkania u Völgera, kiedy obaj nie potrafili się pohamować i wciąż mówili tylko o własnych cierpieniach. Granzow, jak się

zdaje, w ogóle nie odczuwa potrzeby mówienia o sobie, bez reszty zamienia się w słuch. Gorliwie potakuje głową, słysząc o decyzji opuszczenia na zawsze małego miasteczka. Potrząsa nią zmartwiony, gdy się dowiaduje, w jakim stanie zastali swe berlińskie mieszkanie. Energicznie uderza dłonią o blat stołu, kiedy Doll opowiada o despotycznych urzędnikach. Słowem, staje się zaangażowanym uczestnikiem życia Dollów w każdym jego okresie, oni zaś odnoszą wrażenie, że nie słucha ich tylko po to, by zaraz potem puścić wszystko w niepamięć, lecz na bieżąco wyciąga wnioski, podejmuje decyzje...

I tak też jest w istocie, gdyż w przerwie rozmowy Granzow oznajmia:

– Sądzę, że poznałem już państwa sytuację i wiem, co należy uczynić. – Spoglądają na niego w napięciu. – Po pierwsze – ciągnie Granzow – muszą państwo otrzymać porządne mieszkanie, najlepiej w niezbyt zniszczonej okolicy. Po drugie, trzeba się wystrząść o ciężarówkę, która przewiezie państwa rzeczy z miasteczka. A po trzecie, należy wydać państwu kartki żywnościowe, pierwszej, jeśli to możliwe, albo przynajmniej drugiej grupy.

Widząc ich zaskoczone, wciąż niedowierzające spojrzenia, uśmiecha się ojcowsko i przyjaźnie. Chcieli się tylko komuś zwierzyć, byli gotowi sami sobie pomóc, zdając się wyłącznie na własne siły. Pragnęli jedynie odrobiny współczucia i nieco otuchy. A teraz czeka ich oto prawdziwa, zaangażowana pomoc!

– Tak – kontynuuje Granzow z uśmiechem na twarzy – to wszystko da się załatwić. Zaraz zobaczę... – Po czym ten wysoki, przyciężki mężczyzna wstaje z miejsca, szybkim krokiem wychodzi z pokoju, zostawia ich samych.

Spoglądają w swe rozjaśnione twarze.

– To niemożliwe – mówi Doll. – A jednak prawdziwe. Naprawdę nam pomogą!

– Zawsze lubiłam to nasze zniszczone lokum – odpowiada Alma – ale skoro dostaniemy mieszkanie tylko dla siebie...

– Wystarczyło porozmawiać z jednym człowiekiem, Almo. Niewiele brakowało, a przepadlibyśmy!

Czuje dreszcz przeszywający jego członki. Ona także siedzi w milczeniu, wracając myślami do drogi, jaką przebyli, nim znaleźli się w tej błękitno-białej sali. Przebrnęli przez najtrudniejszy okres, teraz już tylko prosto przed siebie. W tej chwili Doll ani myśli o tym, że może wcale nie będzie to takie łatwe, uporać się ze sprawą mieszkania, żywności oraz ich rzeczy. Niepomny, że dopiero co przeżyli wojnę, czas wypełniony cierpieniem, że jest wypalonym wewnątrz człowiekiem, bez wszelkiej treści... Że nawet ów uczynny Granzow nie może mu zwrócić poczucia własnej wartości, że sam będzie je musiał na nowo w sobie

odtworzyć, odzyskać wiarę, nie tylko w samego siebie, nie, przede wszystkim w swych niemieckich pobratymców, w cały świat, w sens pracy i wytrwałości, odzyskać niezłomną ufność w owocną dla człowieka przyszłość – a przecież nic z owej wiary i ufności w nim samym nie zostało.

O tym wszystkim w tej chwili nie myśli. Uwolnił się z objęć żony.

– Zyskaliśmy teraz szansę, Bóg mi świadkiem, że ją wykorzystamy! Granzow nie może się na nas zawieść!

– I się nie zawiedzie – dodaje Alma.

Granzow wraca z uśmiechem na twarzy.

– Wszystko gra! Najlepiej, jeśli spotkamy się tu znów pojutrze, wtedy będę mógł coś więcej powiedzieć! Czy pojutrze będzie państwu pasować godzina pierwsza? Świetnie, a zatem w czwartek o pierwszej u mnie!

Przygląda się obojgu z błogim uśmiechem na twarzy, niczym ojciec zadowolony ze swych dzieci. W głowie Dolla rodzi się przelotna myśl, że Granzow jest być może niewiele od niego starszy, on jednak wydaje się przy nim taki młody, taki dziecinny, taki niedojrzały.

– Muszę pana jeszcze o coś zapytać – podejmuje po chwili Granzow. – Nie musi pan jednak odpowiadać, jeśli się to panu nie spodoba. A więc: co z pańską pracą? Wszyscy na to czekają... Czy napisał pan coś w ostatnim czasie? Czy ma pan może jakieś plany?

– No więc – zaczyna Doll z wahaniem – ja...

Granzow przerywa mu spieszenie:

– Nie, naprawdę, Doll, jeśli niechętnie pan mówi o swoich zamierzeniach... To nie ciekawość każe mi zapytać.

– Och, rozumiem – wtrąca Doll. – I wcale nie mam oporów, by o tym rozmawiać. Obawiam się tylko, że pana rozczaruję. Nie mam bowiem właściwie żadnych planów. W ostatnim półroczu przed upadkiem zacząłem natomiast spisywać moje wspomnienia o nazistach...

– Ależ to wspaniale! – woła Granzow.

– Sam nie wiem. Nie sądzę, by to była dobra wiadomość. Widzi pan, nie doświadczyłem żadnych okropności, drobiazgowie zaś opisywanie niewinnych ukłuc losu, jakie stały się moim udziałem... Być może książka nie zyska przez to zainteresowania, ukazuje bowiem, w jaki sposób same tylko owe ukłucia mogą skłonić człowieka do popełnienia samobójstwa... – Doll mówił do tej chwili z wahaniem, niemal niechęcią. Teraz podjął żywszym głosem. – To jednak odległa już przeszłość. Od dnia klęski przeżyłem niejedno, cała moja nienawiść

do nazistów zupełnie się przez to rozwiąła i przemieniła w ogólną nienawiść do rodzaju ludzkiego. Naziści już dla mnie nie istnieją...

– Ach! Ach! – zaprotestował Granzow. – Ależ panie Doll! Wręcz przeciwnie, sądzę, że panowie naziści wciąż są obecni i mają się dobrze. Czasem aż nadto wyraźnie się o tym przekonuję.

– Tak, być może jakieś pojedyncze, zatwardziałe jednostki.

Granzow energicznie potrząsnął głową.

– Ale – ciągnął Doll – jakkolwiek by było, książka ta nie ma już dla mnie żadnej wartości. – A odpowiadając na prośbę gest swego rozmówcy, dodał: – Nie potrafię się nawet przemóc, przynajmniej na razie, by do niej choćby zajrzeć, przepisać ją na maszynie...

Umilkł i spojrzał na Granzowa.

– Cóż, drogi Doll – odparł spieszenie Granzow – nikt nie będzie pana zmuszał do czegoś, co budzi w panu odrazę. Wszystko w swoim czasie. A pańskie plany na przyszłość?

– Żadnych! – stwierdza Doll z poczuciem winy. – Czasem myślałem o pisaniu powieści, i to na konkretne tematy. Lecz wszystko to wydaje mi się takie trywialne. Sądziłem, że po owym przełomie, również osobistym, musiałbym zacząć pisać na nowo, całkiem inaczej. – Mówił szybciej, powtórzył to, co półtorej godziny wcześniej wyznał redaktorowi Völgerowi. – Bardzo mi przykro – zakończył – że muszę pana rozczarować, panie Granzow, i to akurat przy pierwszym spotkaniu. Być może mój zapał do pracy powróci, gdy zmienią się nieco zewnętrzne warunki. Prócz spokoju dookoła potrzebny mi jest do pracy także spokój wewnętrzny.

– Z pewnością! – przyznał Granzow. Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, lecz nie poruszali już tematu twórczej pracy Dolla. I znów powrócił początkowy radosny nastrój. Następnie się pożegnali, obiecując sobie, że spotkają się ponownie pojutrze o godzinie pierwszej.

Kiedy wyszli na dwór, zagadnął ich szofer w szarym uniformie:

– Pan Granzow polecił mi odwieźć państwa do domu. Dokąd państwa zawieźć?

Jeszcze więcej uwagi, jeszcze więcej wygód! Lecz i silniejsze wewnętrzne zobowiązanie, by nie zawieść tak wielu dobrych nadziei.

Siedzieli w samochodzie pogrążeni w milczeniu, owładnięci błogim poczuciem szczęścia. Po chwili kobieta szturchnęła męża.

– Ty! – szepnęła.

– Tak?

– Ach, mój chłopcze, dłużej nie wytrzymam. Znów nam pomogą! Chce mi się krzyczeć! Krzyczeć ze szczęścia! – I zaczęła paplać jak rozpieszczone dziecko: – A teraz musisz strasznie lubić swoja Alma! Musisz zaraz dać jej ogromny całus! Tysiąc całusów! Bo zacznę krzyczeć!

– Szofer! – przypomniał jej Doll, choć miał ogromną ochotę spełnić jej zachciankę.

– Szofer bardzo stary pan! – nie przestawała pleść. – Szofer tylko jechać, szofer nic nie widzieć! Ty młody pan, ty dać Almie tysiąc całusów, bo inaczej krzyczeć!

I tak Dollowie zaczęli się całować, całowali się długo, długo... Minęło tyle czasu... Nawet nie pomyśleli, że szofer ma lusterko, w którym może obserwować, co się dzieje wewnątrz pojazdu. Jak dzieci sądzili, że nikt ich nie podgląda.

Wcale nie był dyskretny, to szofer rodem z Berlina.

– I wiesz pan, panie Granzow – rzekł, gdy wieczorem odwoził go do domu i dotarł do końca swej relacji – wiesz pan, nie obściskiwali się jak jakie zacne małżeństwo, ale jak jakie młodziki. A przecie on już swoje lata ma, w naszym wieku być musi. Skoro on z takim temperamentem pisze swoje ksionżki, to ja znów biera się do czytania, panie Granzow!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ozdrowienie

Na północnych przedmieściach Berlina przy oknie niewielkiej izby siedzi mężczyzna. Jest pełnia lata, lipiec; dokładnie mówiąc: piąty lipca roku 1946. Choć to dopiero dziewiąta godzina poranka, skropiona rosą świeżość nocy rozwiała się już w powietrzu. Jest upalnie, a w ciągu dnia robi się jeszcze goręcej, jeśli jakaś burza nie przyniesie z sobą odrobiny ochłody.

Na razie na niebie nie widać jednak żadnych oznak burzy. Promienieje oślepiającym słonecznym blaskiem, jest zupełnie bezchmurne i niezupełnie błękitne, już raczej przypomina białe, matowe srebro z lekkim odcieniem błękitu. Kiedy mężczyzna unosi wzrok znad swych pisarskich przyborów i wygląda przez okno – a robi tak wcale nierzadko, pisanie chyba go aż tak bardzo nie pochłania – musi wpieryw nieco zmrużyć oczy, by złagodzić oślepiający blask letniego nieba. A wtedy na tle owego zamglonego od upału nieboskłonu dostrzega coś radosnego w krajobrazie berlińskiego przedmieścia: zielone korony drzew, szczyty domów i czerwone dachy, żadnych, jak okiem sięgnąć, ruin. Jego wzrok nie natrafia choćby na pojedynczy świeżo załatany dach, nawet szyby w oknach domów wydają się nietknięte. Istna ulga dla oczu w tym zrujnowanym mieście!

Tak, mężczyzna często unosi głowę znad swej pracy. Siedzi, ściskając w dłoni pióro, gotowy w każdej chwili powrócić do pisania. Najpierw jednak nasłuchuje odgłosów z podwórza. Słyszy niemal wyłącznie głosy kobiet, i to młodych, wszystkie mówią w osobliwy, nieco lekceważący sposób, jak to czynią rodowici Berlińczycy. Wyrażenia w rodzaju: „W domu je dzi za goronco!” albo „Zara to panu objaśnim!” nie należą tu do rzadkości.

Mężczyzna się jednak nie uśmiecha, ani trochę nie odnosi się z wyższością do tak niewyrobionego, błędnego sposobu mówienia. Przekonał się, że nie ma najmniejszego powodu, by cokolwiek lub kogokolwiek uważać za gorszego od siebie.

Choć głosy brzmią młodzieńczo, choć wystarczyłoby wstać i podejść do okna, by przyjrzeć się rozmawiającym niewiastom, mężczyzna tego nie robi. Wie, że wśród owych dziewcząt i kobiet wiele odznacza się wyjątkową urodą, że opalają się w najswobodniejszy możliwy sposób, nago. On jednak nie jest tym zaciekawiony, czuje się stary, bardzo stary i znużony. W ostatnim roku mocno

posiwały mu włosy, gdyby jednak ich barwa zależała od tego, jak bardzo stary się czuje, musiałyby przybrać odcień śnieżnobiały.

Podczas pisania mężczyzna często słyszy także inny dźwięk, różniący się od owej kobiecej paplaniny. Odkłada wówczas pióro i wyteża słuch. To bardzo dziwny dźwięk, brzmi na poły jak gruchanie gołębia, na poły zaś niczym szczebiot niezupełnie czysto świergocącego kosa. Ów dziwny dźwięk, całkiem dlań niezrozumiały przez pierwsze tygodnie pobytu, wydaje wielki pies, pół doberman, pół owczarek, zwierzę, które pod wpływem odgłosów strzelaniny, widoku płomieni oraz szaleńczego tumultu w trakcie szturm Berlina straciło chyba zmysły, a teraz leży uwiązane na łańcuchu gdzieś pod drzewem, doglądane przez nedorozwiniętą umysłowo mieszkankę domu przy Elsastraße 10. Wieczorem owa Hermine, nazywana przez wszystkich Hermannem, spuszcza psa, który przez całą noc strzeże otoczenia domu. Biada obcemu, który by się odważył przejść wtedy przez płot! Pies rozszarpałby go bez wahania, to obłąkane zwierzę, nic nie zdołałoby go powstrzymać, nawet jego opiekunka Hermann.

To dziwne, że ów pies, o pochodzącym ze szczęśliwszych dni, a niepasującym już do niego imieniu „Goliat”, potrafi nocą szczekać, lecz za dnia, na łańcuchu, jedynie szczebiocze i grucha. Cóż, nie przetrwał wojny w dobrym stanie, jest wewnętrznie poraniony, skarży się, zdolny do morderstwa, nie jest już w niczym pomocny. Słyszac jego osobliwy głos, mężczyzna myśli sobie czasem, iluż to ludziom wiedzie się podobnie jak temu Goliatowi?

Tak, mężczyzna wynajduje sobie rozmaite powody, by unieść wzrok i przerwać na parę minut tę swoją mozolną bazgraninę. Chętnie spogląda też na głośno tykający ścienny zegar, by go zapytać, czy nie nadszedł już czas, by wstać i złożyć papiery. Ów zegar o wyblakłym, błękitnym cyferblacie i mosiężnożółtym wahadle to jedyny przedmiot w jego przyciasnej izbie wyróżniający się spośród tego, co najbardziej niezbędne. Stół, krzesło, łóżko, wąska szafka naścienna i stary, całkiem wypłowiały, obity aksamitem fotel – oto i całe wyposażenie izby.

Ależ nie, o jednym przedmiocie nie sposób zapomnieć, choć zazwyczaj pozostaje niewidoczny. To czarna aksamitna poduszka, na której naniesiono farbami coś w rodzaju malowidła. Na obrazie tym widać zamek o trzech wieżach, liliowych dachach i licznych oknach, z dołu czerwonych, z góry żółtych. Mury zamku wykonano z niemalowanego czarnego aksamitu. Na jednej z wież na długim drzewcu zatknięto biały proporzec, na drugiej wieży widnieje krzyż – również biały, na trzeciej natomiast jedynie coś w rodzaju przydługiej białej dzidy. Poza tym na obrazie widać jeszcze drzewa o białych pniach i listowiu w rozmaitych odcieniach zieleni, szeroką skałę barwy różu, lilii i ognistej

czerwieni, gdzieś pojawiają się też zupełnie nieistotne białe obszary. Nad wszystkim góruje żółte, okrągłe ciało niebieskie, równie dobrze może to być księżyc, jak i słońce.

Mężczyzna nienawidzi tej poduszki nienawiścią straszną i gniewną. Przeklina ją choćby za to, że mimo całej swej idiotycznej obrzydliwości przetrwała bez najmniejszego szwanku wojnę, która zniszczyła tak wiele pięknych rzeczy. By nie mieć jej bezustannie przed oczami, chowa poduszkę w czeluściach łóżka albo w ściennej szafce. Wciąż ją jednak odnajduje sprzątaczką i uczynnie kładzie z powrotem na wypłóciwym aksamitnym fotelu, wyraźnie ucieszona owym dziełem sztuk pięknych. Mężczyzna mógłby ją poprosić, by nie wyjmowała poduszki ze schowka, lecz tego nie robi. Nigdy nie odzywa się do tej kobiety ani słowem, choć ona, wysprzątawszy izbę, mówi do niego zawsze z tą samą życzliwością: „Może pan już wrócić do pracy!” albo „Może się pan teraz napić kawy!”.

Zresztą pisarz być może wcale nie zasługuje na pochwały, gdyż nazbyt często robi przerwy w pracy. Właściwie pisze wyłącznie z poczucia obowiązku, bez wiary i entuzjazmu, być może również po to, by sobie i innym udowodnić, że znów potrafi rzecz niegdyś podjętą doprowadzić do końca. Ta rozpoczęta jakieś pół roku wcześniej praca z początku wydawała mu się szczęśliwym przedsięwzięciem. Potem jednak nastąpiły przerwy spowodowane przez kłótnie, chorobę albo też zwyczajne zniechęcenie. Im dłużej odsuwał się w czasie moment jej ukończenia, tym bardziej znikome żywił piszący zainteresowanie swym dziełem.

Owego piątego lipca sytuacja nieco się jednak zmieniła. Rankiem mężczyzna obudził się z głębokiego snu i naraz zrozumiał, jak ma sprowadzić swój pisarski stateczek ze wzburzonego morza faktów do spokojnej przystani. Nie potrafił jeszcze co prawda powiedzieć, ile czasu upłynie, nim zawita do portu, dwa, osiem czy może dwanaście dni, a jednak nawet perspektywa dwunastu dni nie zdoła go teraz odstręczyć, skoro wiedział już, że owa bezpieczna przystań istnieje. Pojawiające się tamtego dnia przerwy w pracy wynikały jedynie ze wstrętnego przyzwyczajenia minionych dni, nie były zaś świadomym pretekstem dla lenistwa.

Mężczyzna ponownie zerka na zegar z wyblakłym, błękitnym cyferblatem i stwierdza, że tego przedpołudnia dość się już napracował. Zbiera swe pisarskie przybory, chowa je do szafki, po czym sięga po drewniany klocek, do którego przyczepiono klucz. Z kluczem tym oraz przyborami toaletowymi rusza przez

dziedziniec ku drzwiom opatrzonym wyraźną, czytelną wywieszką: „Dla zarażonych rzeźączką i kiłą wstęp wzbroniony!”.

Mężczyzna zamierza otworzyć drzwi, lecz spostrzega, że w zamku tkwi klucz, także zawieszony na drewnianym klocku, dokładna kopia tego, który sam trzyma w dłoni. Mruczy pod nosem coś o „niewiarygodnym świństwie”, już zamierza chwycić za klamkę, gdy nagle drzwi otwierają się od wewnątrz. Z wyraźnie nieczystym sumieniem mija go dziewczyna, a może młoda kobieta, ubrana jedynie w przykrótką koszulę, po czym znika w pobliskim pokoju.

Mężczyzna ogląda się za nią, niemal zdecydowany wszcząć kłótnię z powodu nieuprawnionego korzystania z jego toalety. Wywieszka jest przecież bardzo czytelna! Postanawia jednak inaczej. Odkąd zamieszkał w tym domu, nikogo jeszcze nie zwymyślał, poradzi sobie w inny sposób. Wyjmuje klucz z zamka, z dwoma kluczami w dłoni wchodzi do środka, po czym rygluje za sobą drzwi.

Podczas gruntownego mycia zastanawia się, czy z powodu owego oburzającego zlekceważenia zakazu powinien się poskarżyć matuli Trüller, czy raczej skonfiskować drugi, przez nieuwagę pozostawiony w zamku klucz, przeznaczony wyłącznie do użytku pielęgniarek. Postanawia skorzystać z drugiego sposobu. Matula Trüller i bez tego przeciążona jest pracą, a nawet najsrozsza jej reprimenda zostanie zapamiętana najwyżej na jeden dzień. Co się zaś tyczy chorych...

Tak, co się tyczy samych chorych, które właściwie wcale chore nie są, co się więc tyczy owych sześćdziesięciu kobiet, razem z którymi – jako jedyny mężczyzna – zamieszkuje ten dziwny dom przy Elsastraße 10, daremne są wszelkie napomnienia, reprimendy, prośby czy zakazy. Wręcz przeciwnie, wszystkie pacjentki wypełnia najlepsza zła wola, by złamać każdy zakaz i przysporzyć wszelkich wyobraźalnych kłopotów.

Kiedy mężczyzna zawitał tu przed ośmioma tygodniami i znalazł się nagle wśród sześćdziesięciu w większości młodych i ładnych kobiet, spodziewał się, że czeka go tu nad wyraz zajmujące i pouczające życie. Nie żeby miał wobec tych dam jakiegokolwiek zamiary, skądże znowu, od takich planów odstręczała go choćby natura ich dolegliwości, która – zazwyczaj pod lekkim przymusem policji – przywiodła je do tego domu. Chorób, których nazwy bez jakiegokolwiek żenady wypisano na wywieszce drzwi jego toalety, kobiety te nabawiły się w mieście Berlinie, lekkomyślnie, świadomie lub – w rzadkich przypadkach – także zupełnie nieświadomie. Zostały zdiagnozowane przez lekarzy, podjęto stosowną kurację.

Kobiety jednak kuracji unikały, w wyznaczone dni nie stawiały się u lekarza, albo też nie stosowały się do jego zaleceń, wskutek czego stanowiły nieustanne zagrożenie dla każdego, kto z nimi obcował. Z nieznaczną pomocą policyjnej perswazji przywożono je pod furtę tego domu, mogły go opuścić dopiero po całkowitym wyleczeniu. Niektóre z nich niełatwo było znaleźć, wiedziały bowiem, co je czeka. Zmieniały miejsca pobytu, ze złośliwą przebiegłością unikały leczenia, by w końcu dać się złapać którejś z policyjnych obław.

No cóż, mimo wszystko, albo może raczej właśnie dlatego, mężczyzna miał nadzieję, że wśród owych kobiet znajdzie nieco rozrywki i nauki, że pozna barwne dzieje ich życia. Wkrótce jednak zrozumiał, że dziewczęta te były beznadziejnie głupiutkie i zakłamate. Z ich opowieści wynikało, że właściwie wszystkie bez wyjątku trafiły do tego domu wskutek perfidii lekarzy, urzędu do spraw zdrowia, policji, i dopiero tutaj zaraziły się od wstrętnych bab, z którymi przyszło im dzielić wspólną salę!

Odrobina przenikliwości wystarczyła, by przejrzeć ich obłudę, a ich lenistwo było po prostu oburzające! Choć w żadnym razie, pominąwszy dni, w których dostawały zastrzyki albo „dawkę uderzeniową” tabletek, nie były obłożnie chore, wiele z nich rzadko kiedy w ogóle wstawało z łóżka w ciągu ośmiu, dwunastu tygodni leczenia. Wylegiwały się, młode i rozkwitające, o silnych członkach, lecz przegniłe do szpiku kości, nieskore do jakiegokolwiek pożytecznej pracy. Były tak bardzo leniwe, że nie potrafiły podstawić miski na wymiociny koleżance cierpiącej na wywołane przez lekarstwa nudności. Miała spokojnie zwymiotować na podłogę, siostra jest od tego, by potem posprzątać. Dzwoniono po siostrę, a jeśli zaraz się nie zjawiała, wymiociny pozostawały nietknięte. Brud i odór im nie przeszkadzały, najdrobniejsza praca budziła w nich odrazę.

Nie po to żyły na tym świecie, ładnemu, młodemu dziewczęciu tak łatwo przecież zdobyć mężczyznę! Opowiadały chętnie o swoich tryumfach, o śmiałości, gdy sięgały do ich aktówek, o swej magnetycznej sile przyciągania, kiedy pracowały jako barmanki, o całym swym zmarnowanym, bezsensownym istnieniu, którym tym gorliwiej się przechwalały, im bardziej było bezużyteczne. A potem krążyły bez celu, podkradały sobie papierosy, zapisane im lekarstwa wyrzucały przez okno albo do toalety (gdyż były zbyt „mądre”, by dać się lekarzom podtruwać!), a kiedy w niedzielę odwiedzali je krewni, lamentowały żałośnie, jak kiepsko się odżywiają, jaki cierpią wręcz głód! A tymczasem cotygodniowe ważenie wykazywało, że tyją coraz bardziej z lenistwa i obżarstwa!

Nie, oczekiwania mężczyzny w żadnym razie się nie spełniły. Kobiety te nie miały w sobie ani krzty romantyzmu, ich twarze nie rozjaśniał żaden pokrzepiający blask. Z pewnością nie wykazał się wobec nich dostateczną cierpliwością. Gdy przybył do domu pełnego kobiet, powstało spore zamieszanie. Zgotowano mu uprzejme powitanie, przez pierwsze tygodnie nie brakowało dziewcząt, które pod wszelkimi możliwymi pretekstami odwiedzały go w izbie. Wkrótce jednak przestał z nimi gawędzić. Czuł coraz większą irytację, spostrzegłszy, że biorą go za zwykłego głupka, który daje wiarę ich kłamliwym opowieściom.

Potem stały się zachłanne. Wyczytywał to w ich spojrzeniach, kiedy taksowały jego posiłki i porównywały z własnymi porcjami. Oczywiście, jako prywatny pacjent ordynatora, który z powodu braku miejsc w innych placówkach mógł go umieścić jedynie w tym domu, cieszył się specjalnym traktowaniem, w zasadzie jednak dostawał do jedzenia to samo, co wszyscy pozostali. Matula Trüller nie mogła gotować specjalnie dla niego! One jednak analizowały wielkość jego kanapek, oceniały grubość warstwy smarowidła, po czym mówiły: „Tak, temu to dobrze, tylko żyć, nie umierać!” albo „Mną nikt się nie przejmuje!”.

Później wciąż czegoś od niego chciały: papierosa albo ognia, albo książki, albo gazety, albo benzyny do zapalniczki – doszło do tego, że odmawiał im najdrobniejszych nawet przysług.

Nastąpił okres przejściowy, przestały go odwiedzać i ledwie zwracały na niego uwagę. Lecz potem doszło między nimi do otwartej wojny. Któregoś dnia jakiś pijany człowiek, forsując ogrodzenie, usiłował wtargnąć do domu. Mężczyzna oświadczył wówczas, że nikogo nie powinno to dziwić, skoro zwyczajem dziwek, którymi zresztą w większości były, z balkonów swych pokoi bezwstydnie zaczepiały albo wyszydzały każdego przechodnia. Zapałały wówczas gniewnym oburzeniem na tego kłamcę i zdrajcę. Nigdy żadna z nich nie rzuciła z balkonu choćby jednego słowa, a kiedy mimo to lekarz nakazał zamknięcie wszystkich drzwi balkonowych, przysięgły, że pewnej nocy złożą mu skórę i porachują wszystkie kości!

Cóż, wcale tego nie zrobiły. Wkrótce przerwały nawet milczenie, jakie zapadło w pierwszych tygodniach po owym zdarzeniu. W niczym nie były stałe, nawet w swych antypatiach. Znów z nim rozmawiały, czasem jedna czy druga przychodziła prosić go o papierosa, jeśli nie o całego, to przynajmniej o parę niedopałków. Mężczyzna nie puścił jednak wszystkiego w niepamięć, były dla niego stracone, teraz i na zawsze, choćby wśród tylu niesprawiedliwych miał również potępić kilkoro prawych.

Mężczyzna się umył, posprzątał co nieco swoją izbę i zamknął obydwie klucze do toalety w naściennej szafce. Wyszczrzył zęby, gdy pomyślał, z jakim zapałem siostra Emma i siostra Gertrud będą szukać klucza!

Mimo palącego słońca wkłada płaszcz, wstydy się bowiem pokazać na ulicy w poplamionym, pomiętym garniturze. Schodzi po schodach i odwraca się w stronę kuchni. Matula Trüller wraz z pomocnicami przygotowuje właśnie obiad dla osiemdziesięciu osób. Poczzerwieniała na twarzy, jej potężna klatka piersiowa, zawsze przykryta żółtawą lub liliową koronkową falbanką, gwałtownie się porusza, ciężkie garnki wydają się w jej dłoniach lekkie jak piórko, pracuje tak zawzięcie, że na jej czole perli się pot, a mimo to jest w wybornym humorze.

Promiennie się uśmiecha, gdy spostrzega mężczyznę.

– Cóż to, panie Doll, tak wcześnie pan wyrusza? Przyszedł się pan odmeldować?

– Zgadza się, matulu Trüller, chciałem się odmeldować, droga wolna dla ozdrowieńca! A jeśli ciężarówka rzeczywiście dziś przyjedzie, nie wrócę nawet na obiad. Miejmy nadzieję, że dotrze bez trudu.

– Tego panu życzę. Ale nie jeść obiadu to naprawdę nierozsądne. Cieszę się z tych dwudziestu funtów, jakie dzięki mnie pan przytył. Jeśli nie wróci pan do trzeciej, pošlę panu jedzenie. Dla rodziny też!

– Ach, proszę tego nie robić, matulu Trüller! – zaklina mężczyzna. A potem dodaje cicho, by inni nie dosłyszeli: – Wie pani, że za dużo już u pani zalegam. Kto wie, kiedy zdołam spłacić wszystkie moje długi! – I wzdycha głęboko.

– Za pół roku spłaci pan wszystko! – oznajmia z zapałem matula Trüller. – Kiedy widzę takiego mężczyznę jak pan, myślę sobie: zdrowy, w pełni sił, wystarczy mu tylko przysiąść i zabrać się do pracy, a forsy będzie miał bez liku. A ten mi tu wzdycha, w taki piękny letni dzień!

Wśród tych dobrotliwie karcących słów odprowadza Dolla aż do drzwi, pod próg, który przebywające tu kobiety i dziewczęta mogą przekroczyć dopiero po całkowitym wyleczeniu.

– A zatem powodzenia, panie Doll! Może ciężarówka rzeczywiście dziś przyjedzie. I wie pan, jeśli czegoś się pan dowie, proszę mnie natychmiast poinformować.

– Ależ ma się rozumieć, matulu Trüller – odpowiada Doll, wychodząc na skapaną w promieniach słońca ulicę.

„Taka już jest – powtarza sobie w myślach – i taka pozostanie. Nigdy nie omieszka przypomnieć każdemu, kto opuszcza ten dom, by natychmiast ją

powiadomił, jeśli się czegoś dowie. O czymkolwiek jest mowa, na koniec ona zawsze powraca myślą do tego napomnienia”.

Na dobrą sprawę myśli o tym bez przerwy, nawet jeśli rozmowa dotyczy zupełnie innych kwestii. W jej podświadomości nieustannie tli się troska o utraconego syna, myśl o nim, miłość do niego. Ona, kierowniczka i właścicielka tego dziwaczego szpitala przy Elsastraße, schroniska dla kobiet pod kobiecymi rządami, wciąż tylko myśli o synu, nigdy nie przestając być jego powiernicą. Od pięciu ćwierci roku żyje bez wieści od niego, od czasu walk o Berlin wszelki słuch o Erdmannie zaginął. Być może dostał się do niewoli, być może leży gdzieś, przy którejś z ulic tej ogromnej pustyni ruin, trafiony zbłąkaną kulą, przygnieciony walącym się murem, pogrzebany pod gruzami. Od dawna, już pięć ćwierci roku.

Lecz matka na niego czeka, i zawsze czekać będzie, rok za rokiem, jeśli będzie trzeba. Ileż to matek i kobiet czeka wraz z nią na synów, mężów, ukochanych, którzy być może nigdy już nie wrócą. Ta córka hanowerskiego rolnika, która do wszystkiego doszła własnym wysiłkiem, jest niestrudzona w swych działaniach. Swe wciąż dokazujące pacjentki trzyma krótko, pracuje dzień i noc, dla każdego ma dobre słowo, nie pozostaje obojętna wobec jakichkolwiek zmartwień i każdemu usiłuje pomóc. W istocie nie ma czasu na pogrążenie się w rozpacz i niechęć do pracy. Jest w swej prostoduszności prawdziwym wzorem.

A jednak nigdy nie zapomina przypomnieć każdemu wychodzącemu:

– Jeśli się pan czegoś dowie o moim synu Erdmannie, proszę mnie zaraz o tym powiadomić.

Świat za progiem, pominąwszy najbliższe ulice, przy których mieszkają kupcy, to dla matuli Trüller nieznaną, obcą krainą. Przesiaduje w tym swoim niewielkim szpitalu nękana troskami o najpilniejsze potrzeby ciała: żywność i fizjologię. Pięć powolnych minut piechotą od jej domu zaczyna się dla niej rozległy, obcy świat, w którym każdego dnia mogą zdarzyć się cuda. Gdzie na ulicy ktoś spotka jej zaginionego syna Erdmanna i powie: „Ty, Erdmann, słuchaj no, już czas, byś wrócił do matki. Czeka na ciebie od pięciu ćwierci roku, w każdej sekundzie czuwania i snu. Nadal mieszka przy Elsastraße 10”.

O nie, jej syn Erdmann nie jest człowiekiem, któremu trzeba by o tym przypominać. Wręcz przeciwnie! Erdmann i bez napomnienia wróciłby do matki.

A jednak świat na zewnątrz, ten niesamowicie wielki, zagmatwany Berlin jest taki cudowny, wciąż pełen cudów! Podróżny może spotkać kogoś, kto słyszał o jej synu, może gdzieś go zauważył. Może zasłyszał jakieś nowiny o uwolnieniu jeńców wojennych, najbardziej zadziwiające i niewiarygodne – a matula Trüller

jest wrażliwa na wszelkie pogłoski. Jej mocne serce nie tak łatwo zaczyna drżeć, nie tak łatwo ją zniechęcić. Jej nadzieje podsyca nawet historia nieoczekiwanie powracającego do domu repatrianta.

Czeka i wciąż żywi nadzieję. A wraz z nią czekają w nadziei setki, tysiące kobiet, choć nikt o nich nie wspomina. Podczas wojny były na tyle dobre, by oddać swych synów i mężów, a potem w milczeniu zająć ich miejsca pracy. Teraz znowu czekają w milczeniu, wykonując swe zadania. I tylko do wychodzącego z domu mówią: „A gdyby pan coś usłyszał, dobrze?”.

Dobrotliwa, sumienna, nieugięta matula Trüller, matka całego narodu, odwieczna, niezłomnie wierząca, wyczekująca bez strachu, i wciąż dla każdego pomocna!

Mężczyzna w znoszonym, pomiętym, poplamionym stroju, ukrytym pod jasnym letnim płaszczem, sam także nie wygląda rześko. Pogrążony w myślach mija po drodze knajpy, w których zazwyczaj, o czym dobrze wie, można kupić nielegalnie papierosy. Ma wielką ochotę zapalić, lecz się napomina. Drogie amerykańskie papierosy po jedenaście marek za sztukę już od dawna są poza zasięgiem Dollów – słusznie to swej młodej żonie niegdyś przepowiedział. Lecz również i „tanich” niemieckich papierosów po pięć marek wolno mu w najlepszym razie wypalić jedną sztukę dziennie. *Jeden* niemiecki papieros po kolacji, pożądliwe zaciąganie się dymem – i to ma wystarczyć na następne dwadzieścia cztery godziny!

To wszystko? O nie, Dollowie palą i zawsze palić będą. Także i teraz Doll ma kieszeń pełną rzeczy nadających się do wypalenia! W ogrodzie matuli Trüller zbierają różane płatki, i to nie tylko te, które same opadły na ziemię, nie, zrywają również te rozkwitłe, a potem je suszą! „Ta róża przekwitnie w ciągu najbliższych godzin!” – decydują, po czym napychają płatkami kieszenie Dolla. Jego izbę zamienili w prawdziwą suszarnię, nieustannie wypełnia ją różana woń. Palili już nawet liście wiśni, a w najgorszym okresie także herbatę oczyszczającą krew o okropnym smaku, z której wyłuskiwali jagody jałowca oraz kaczany.

Jakże mało wymagający się stali, nawet młoda kobieta, która nigdy nie zamierzała z czegokolwiek w życiu rezygnować! Niegdyś posiadali samochody, każde swój własny, pieniądze oraz wszystko, co można było za nie kupić. Dostęp do wszelkich dóbr tej ziemi nie stanowił dla nich żadnego problemu. A teraz przekonali się na własnej skórze o prawdziwości morału, że są narodem przegranym. Śmieją się ze swojego cuchnącego „tytoniu”, może skrywają jeszcze swe poplamione ubranie, lecz dłużej się już nie wstydzą. I czegoż tu chcieć?!

Zostaliśmy pokonani, przegraliśmy wojnę totalną, przemieniliśmy się w żebraków.

Przedmieście, przez które maszeruje teraz Doll, niewiele nosi oznak minionej wojny. Tu i ówdzie zniszczony dach, czasem też cały dom w ruinie, lecz większość wygląda na nietkniętą, a wśród bujnej zieleni zniszczenia w ogóle nie rzucają się w oczy. Tylko ci ludzie na ulicach: wszystkim życzyć by można dwadzieścia funtów wagi więcej i pięćdziesięciu zmarszczek mniej na twarzy. Panuje wśród nich niewyobrażalna bieda, noszą łachmany zamiast ubrań, do tego podarte buty, wciąż łatane i reperowane, sprawiające wrażenie, jakby przemierzyły wszystkie polne drogi Europy.

Przez dłuższą chwilę idzie przed Dollem młoda dziewczyna, nie ma w sobie nic z owego uroku, który młodość nadaje nawet osobom najnudniejszym. Ociężała człapie na swych zakrwawionych, owrzodzonych, brudnych nogach. Jej sukienkę uszyto chyba z pary gładkich worków na mąkę. Strojąc się, miała jeszcze bodaj odrobinę nadziei, choć bowiem żyła już w nędzy, przyszyła kilka skromnie haftowanych zdobień i nałożyła biały kołnierzyk. „Jestem młoda, możecie mnie podziwiać, choć noszę tylko sukienkę z workowego lnu!”

Strój jest już jednak wytarty, a kołnierzyk tak pobrudzony, że wygląda prawie jak czarny, w każdym razie nie jaśniejszy od lnu. Przemierzając długą drogę, straciła też wszelką nadzieję, dawno się już poddała. „Ludzi idących obok mnie po ulicy – rozważa w myślach Doll – można podzielić na dwie grupy: tych, którzy nadziei żywić już nie mogą, oraz tych, którzy nadziei żywić już się nie odważą”.

Wszyscy oni, tak jedni, jak i drudzy, coś jednak z sobą wloką: nędzny, zdarty z drzew chrust, popękane walizki, których zawartości nikt poznać nie pragnie, wypchane torby, tajemnicze aktówki, których zamki już dawno się popsuły, tak często napełniano je po brzegi, i trzeba je teraz przewiązywać sznurkiem.

Szczeźniemy, myślą sobie jedni. Lecz najpierw pozwólcie się nam przynajmniej najeść! Ach, najeść do syta, by zadowolenie przeszło człowieka razem ze strumieniem jasnej krwi, która wreszcie dostarczy nieco porządnych składników odżywczych!

Musimy zebrać siły do naszej codziennej pracy, byśmy ten czas przetrwali bez szwanku! – można wyczytać w minach pozostałych. Lecz wszyscy naznaczeni są przez wojnę, wspólny jest im rys ostrożności, zastrzeżenia: „Być może i nam przytrafi się coś strasznego, no cóż, przynajmniej mieliśmy nadzieję!”. Doll jest umiarkowanym pesymistą: nie wierzy, że sam szczeźnie, podobnie i jego rodzina, lecz przyznaje, że przyszłość może być niewyobrażalnie nieprzyjazna.

Skręca z głównej ulicy w cichy, zielony, willowy zaułek. Nie może tam jednak ot tak, bez trudu wejść – drogę zagraża szlaban w czerwono-białe paski oraz budka strażnicza z czerwono-białych ukośnych belek. Przy budce stoją rosyjski wartownik oraz niemiecki policjant, pilnując, by nikt nieuprawniony nie wtargnął na teren zamieszkały wyłącznie przez oficerów sił okupacyjnych. Doll posiada wprawdzie stosowne dokumenty, bez trudu może przejść, lecz niechętnie mija tę blokadę: nie przepada za wszystkim, co zbyt wyraźnie przypomina mu wojnę i armię. Powinno to zniknąć na zawsze, i wszystkie te historie, nie tylko stąd, o nie, na całym świecie! Tak mniej więcej można by wyrazić zniecierpliwione uczucia, jakie go przeszywają na widok tej czerwono-białej wartowni.

Zdaje sobie jednak sprawę, że głupie to uczucia. Wszystko to wciąż musi istnieć, świat, a przede wszystkim jego rodacy jeszcze nie dojrżeli do życia bez ciągłego dozoru, bez groźby przemocy. Zbyt długo duch pozbawiony był tronu. Tym bardziej że jego drodzy pobratymcy porozbijaliby sobie nawzajem czaszki, gdyby zostawić ich samych!

Dolla dzieli jeszcze dwadzieścia kroków od ładnej, utrzymanej w żółtych odcieniach willi, która dzięki urządzonym od frontu rabatom (na których teraz rosły ziemniaki), zachowanym w całości oknom oraz zasłonom robi wrażenie zadbanej. Willa ta nie jest celem jego dzisiejszej wyprawy, ten mieści się trzy, cztery minuty marszu dalej, postanawia jednak zajrzeć do niej po drodze. Mieszka w niej bowiem człowiek, który przez ostatni trudny rok bardzo mu pomógł, człowiek, którego wielokrotnie rozczarował, a on mimo to okazywał się niezmiennie łaskawy i pomocny. Dobry, wierny przyjaciel, do tego bezinteresowny – rzadki to prezent od losu w normalnych czasach, a co dopiero dzisiaj!

Doll przez ostatnie miesiące karygodnie go zaniedbywał, zachowywał się tak, jakby ów mężczyzna, który wciąż się o niego troszczył, w ogóle nie istniał. Nie dawał mu żadnego znaku życia. Najwyższy już czas, by znów się u niego pojawić!

Mimo to Doll nie potrafi oprzeć się pokusie, by przejść parę przecznic dalej i sprawdzić, czy może przyjechała już ciężarówka z miasteczka. Jeśli dotarła na miejsce, będzie musiał pomóc przy rozładunku. A wówczas nici z odwiedzin!

Przystanął niezdecydowany. Po chwili przywołuje się w myślach do porządku: „Nie, tylko żadnego migania się, pal licho ciężarówkę!”. Dzwoni do drzwi, chwilę później rozlega się terkot zamka u bramy. Otwiera ją pchnięciem, przechodzi przez ogród, po czym zwraca się do służącej:

– Czy mogę rozmawiać z panem Granzowem? – A jako że dawno już tu nie gościł, dodaje dla jasności: – Nazywam się Doll.

– Przecież wiem! – odpowiada dziewczyna nieco urażona i znika we wnętrzu domu.

Doll długo nie czeka. Wcale nie musi podążać za służącą do gabinetu poety, bojaźliwie przestępować przez próg, wypatrywać miny gospodarza. Jakże często mu to ułatwiają, częściej bodaj, niż na to zasłużył...

W progu pojawia się Granzow, ma na sobie ciemne spodnie i śnieżnobiałą koszulę. Wygląda tak, jakby właśnie oderwano go od pracy, w jednej ręce trzyma pióro, w drugiej papierosa. I jak niegdyś, woła:

– Doll! Wspaniale, że znów do mnie zajrzałeś! A więc wyzdrowiałeś? Mieszkasz już w pobliżu? Czekasz na Almę i ciężarówkę z waszymi rzeczami? Naprawdę, to wspaniale znów cię zobaczyć! Widzę, że wracasz do formy. Ależ wejdźże do środka, nie stój tu na tym upale. Na pewno zapalisz! Masz, częstuj się! Tu masz ogień! Ależ siadaj! No więc, opowiadaj: jak ci się wiedzie? Co porabiacie?

I tak wywiązuje się rozmowa, w której ani słowa wyrzutu, żadnej o tym myśli. Jedynie dobroć, zainteresowanie, uczynność. Oczywiście nadchodzi chwila, w której Granzow pochyla się do przodu, po czym cicho i ostrożnie pyta (jakby obawiał się poruszyć ów nad wyraz drażliwy temat):

– A co z pracą? Wróciłeś do niej? Posuwasz się naprzód?

– Ach, Granzow...! – odpowiada Doll nieco zakłopotany. – Owszem, znów zacząłem pracować. Codziennie piszę moje pensum, ale sam rozumiesz: wyłącznie moje pensum, tylko dlatego, że to moje pensum. Jak jakiś uczeń odrabiający zadanie domowe. Brakuje w tym polotu, entuzjazmu, prawdziwego piękna, natchnienia. I ta codzienna praca, te krótkie historie do gazet, byle tylko co nieco zarobić... Ależ tak, czasem sprawia mi to nawet przyjemność. Ale nie posuwam się naprzód. To niekończące się brzemie winy z naszych okropnych czasów! Życie codzienne wszystko pożera. A teraz znów ten transport z miasteczka, to przecież kosztuje tysiące! – Zerka niepewnie na Granzowa.

Ten wysłuchał jego litanii narzekania z niezmiennie szczerym zainteresowaniem.

– Ach, te twoje długi! Słyszałem o nich. Powiadają, że zaczynasz wyprzedawać swoje książki. Nie powinieneś tego robić, Doll! Sprzedaliście już wystarczająco dużo. O wiele za dużo. Skończcie z tym!

– A co niby miałbym począć?! – woła zrozpaczony Doll. – To pięknie brzmi: skończcie z tą wyprzedają! Zrobiłbym to z największą przyjemnością. Wiesz, jak bardzo jestem przywiązany do moich książek. Gromadziłem je przez piętnaście

długich lat. Wydałem na nie każdą zaoszczędzoną markę! Ale teraz zwyczajnie muszę je sprzedać. Moje długi zaczynają mi ciążyć!

– Rozumiem! Rozumiem! – uspokaja go Granzow. – Mimo wszystko nie pozbywałbym się książek. Dlaczego nie porozmawiasz otwarcie z wydawcą?

– U Mertensa jestem już pod kreską!

– Nie będzie tak źle, Doll – oznajmia Granzow. – Mertens to przecież rozsądny człowiek. Porozmawiaj z nim, najwyżej powie „nie”, a to nie pogorszy twego położenia. Lecz on tak nie powie. Być może... Bardzo możliwe, że czeka tylko, aż zapytasz. Czy może ja mam się z nim rozmówić?

– Na litość boską, nie! – woła przerażony Doll. – Nie możesz przecież załatwiać za mnie wszystkich przykrych spraw. Nie, jeśli ktoś ma porozmawiać z Mertensem, to tylko ja!

– A zatem rozmówisz się z Mertensem?

– Prawdopodobnie. Raczej na pewno. Nie uśmiechaj się tak sceptycznie. Naprawdę, chyba to zrobię.

– Jeśli ty tego nie zrobisz, zrobię to za ciebie. W każdym razie, Doll, nie sprzedajemy więcej żadnych książek ani rzeczy. Wybacz, że tak nalegam. Ale to drugie rozwiązanie jest znacznie lepsze.

– Dobrze – odparł zdecydowanym tonem Doll. – A więc rozmówię się z Mertensem. Nawet sobie nie wyobrażasz, Granzow, jakby to było, gdyby raz na zawsze można się pozbyć wszystkich tych utrapień! Nigdy wcześniej nie miałem żadnych długów. To po prostu obrzydliwe!

– A potem będziesz mógł swobodnie pracować – ciągnął Granzow. – Zobaczysz, pewnego dnia napiszesz książkę, na którą wszyscy czekają! Jestem o tym przekonany. I zrobisz to wspaniale!

Obstaje przy swoim, choć Doll kiwa sceptycznie głową. Później rozmawiają o podróży Granzowa na południe Niemiec. Opowiadają, gawędzą. Pozostali starymi przyjaciółmi, choć zdarzały się czasem i rozczarowania. Niewiele mają z sobą wspólnego, lecz jedno nadal ich łączy: wiara w to, że muszą pracować, dla siebie i dla tego narodu. Są do swej pracy przywiązani, wszystko wokół niej się obraca, i nigdy im nie powszednieje.

Doll znów stoi na ulicy, wciąż paląc „prawdziwego” papierosa, którym go poczęstował Granzow. Mija dwie przecznice i dociera do wylotu willowej uliczki, przy której sam teraz mieszka. Nie, przed domem nie ma ciężarówki. Dobrze, że odwiedził Granzowa, uprzednio tego nie sprawdzwszy, że dał sobie wewnętrznego kuksańca – w przeciwnym razie musiałby się teraz wstydić z powodu swego niezdecydowania.

Powolnym krokiem dociera do domu, otwiera drzwi, wchodzi do środka. Dzieci mieszkają tu same, dogłądane przez starą sprzątaczkę, teraz jednak przebywają w szkole. Wszędzie tylko pustka i nuda. Gorzej jeszcze: wszędzie tylko niechlujstwo i zniszczenia, brud albo kurz. Nikt nie bierze sobie do serca tego miejsca, które mogłoby stać się domem. W pokoju dziewczynki, choć dochodzi południe, łóżko nadal nie jest zasłane. Naczynia, czyste i brudne, stoją na meblach i podłodze. Ponadwymiarowy pluszak wielkości sześciolatka przycupnął w kącie i głupkowato spogląda na gościa swymi brązowymi oczami.

Doll stoi niezdecydowany przed otwartą szafą na ubrania. Czy powinien spróbować przywrócić tu jako taki porządek? Z westchnieniem daje za wygraną. Porządek to nie tylko upchnięcie w zabałaganionej szafie kilku sztuk bielizny. Zaprowadzenie porządku oznaczałoby najpierw gruntowne wyczyszczenie szafy z zewnątrz i od wewnątrz, podobnie zresztą jak i wszystkich pozostałych mebli, a potem wyszorowanie całego pokoju, umycie szyb w oknach...

Wzrusza ramionami. Jakież sens miałyby dbałość o porządek, skoro w tym domu nie mieszka nikt, kogo by interesowało jego utrzymanie?! By zrobić cokolwiek, otwiera okno... Następnie wchodzi po schodach na górę. Pokój chłopca jest zamknięty – i dobrze! Syn sam w nim sprząta – i niech nikt mu w nim nie bałagani!

W małżeńskiej sypialni nic się od tygodnia nie zmieniło, odkąd Alma wyjechała do miasteczka. Łóżko wygląda tak, jakby dopiero co z niego wstała, na podłodze leży kilka rozrzuconych gazet, z brudnej popielniczki usunięto wszystkie niedopałki, lecz pozostawiono papierki, korzystano z umywalni. Także i tutaj bielizna i ubrania leżą rozrzucone na meblach i podłodze, szafa stoi rozwartą na oścież!

Łatwo pomstować na starą sprzątaczkę, że nic nie robi. Lecz tych kilka godzin, które poświęca im za dnia, upływa jej na zdobywaniu żywności, wystawianiu w kolejkach, gotowaniu. Nie, to nie wina sprzątaczkki, to wina...

I znów, podobnie jak w pokoju dziecinnym na dole, Doll wzrusza tylko ramionami, tym razem jednak nie zadaje sobie nawet trudu, by otworzyć okno. Przechodzi do drugiego pokoju, przeznaczonego na jego pracownię. Wiele się tymczasem wydarzyło, lecz ów jasny pokój nadal ma być jego gabinetem do pracy...

Siada w fotelu i rozgląda się wokoło. Kilka spiesznie i niestarannie zawieszonych na ścianie półek na książki, zapełnionych tylko w połowie. Biurko wciąż znajduje się pośrodku pokoju, tam gdzie je zostawili ludzie od przeprowadzek. Nadstawka dużej szafy na książki stoi na podłodze niby drugi

stół, zastawiona, podobnie jak biurko, egzemplarzami, których nie udało się sprzedać. Wzrok Dolla pada na dużą chińską wazę, wspaniały okaz utrzymany w purpurze, zieleni i błękicie, stojący w kącie pokoju na czarnej kolumie.

Doll unosi ku niej rękę w pozdrowieniu. Waza owa to jedyny wartościowy przedmiot, jaki zdołali uratować z tej quasi-zagłady świata. Pozostała im ta ostatnia kosztowność, właściwie nie wiadomo czemu, prawdopodobnie tylko dlatego, że byli zbyt słabi i bezwolni, by zanieść ją do sklepu z antykami w zachodnim Berlinie. Poza tym przepadło niemal wszystko, co niegdyś było drogie ich sercu, tak, również sercu Almy. To, co zostało, przypomina raczej norę, schronienie, w którym się je i śpi, nie zaś dom, w którym można by zamieszkać.

A przecież tak niewiele brakowało, by stał się prawdziwym domem. Wówczas, po pierwszej rozmowie z Granzowem, kiedy tak nieoczekiwanie zaoferowano im pomoc, gdy mogli przeprowadzić się do tego domu ze swego na poły zniszczonego mieszkania z wiecznie szeleszczącymi oknami z celofanu, byle dalej od tej podejrzanego Schulzowej, aktorki Gwendy, od tych wszystkich niegodziwych lekarzy. Wówczas, gdy nie brakowało słów otuchy, nie brakowało żywności i opału, kiedy Doll nawiązał kontakt z wydawcą Mertensem, zaczął pisywać do gazet, podjął pracę nad powieścią... Wówczas to z zapalem przystąpili do urządzania domu. Wówczas dom ów wyglądał całkiem po ludzku...

Jak do tego doszło, że wszystko się zatraciło, że ledwo pozyskane znów zostało zaprzepaszczone? Siedząc w fotelu przy biurku, w zakurzonej norze, Doll spogląda w zamyśleniu na skapaną w słońcu ulicę...

Być może pierwsze niepowodzenie nastąpiło wtedy, gdy Alma pojechała do miasteczka po najniezbędniejsze rzeczy. Odkryła wówczas, że zostali obrabowani, ich dom splądrowano, stali się biedakami. Ach, ci drobnomieszczanie, dokonali zemsty na znienawidzonym burmistrzu. Podczas jego nieobecności zrabowali wszystko, nie pozostawiając mu ani skarpety ni buta, ani jednej koszuli, garnituru czy sukni dla młodej kobiety – porzucili jedynie najstarsze, najbardziej znoszone szmaty. I znów, tym razem na własnej skórze, przekonali się, jak bardzo naród ten zdziczał i podupał: plądrowanie i kradzież ludzie ci uznali za swe święte prawo, skoro wojna tak wiele im odebrała! Któż miałby im tego zabronić, skoro nieśli pomoc samym sobie?! Nigdy niewprowadzone w życie hasło „Dobro wspólne przed dobrem indywidualnym” zastąpiło inne: „Pomóż sobie sam – i to wszelkimi sposobami!”

A co tu dopiero mówić o przypadku tak znienawidzonego człowieka jak niegdyś burmistrz! Odpłacili mu za jego przemówienie, ogłoszone ongiś

z balkonu komendantury, kiedy to piętnował kryjących się wśród nich nazistów. Nie zapomnieli jego przesłuchań, przeszukań domów, konfiskat, każda odrzucona przezeń prośba została mu policzona jako zbrodnia!

No cóż, Dollowie jakoś to przeboleli. Powiedzieli sobie: „I cóż by nam zostało, gdyby trafiła w nas bomba?! Nic byśmy wówczas nie posiadali! A tak mamy przynajmniej meble, o ile nasze serduszka ich nie podpaliły, część dywanów oraz prawie nietknięte twoje książki!”.

Pokrzepieni tą myślą, przystąpili do urządzania domu, Doll zaś powrócił do swojej pracy. Czy jednak nie została w nich jakaś zadra? Nie mogli wykrzesać z siebie ani odrobiny dawnego zapachu, nie mieli w sobie ani krzty entuzjazmu. „Starzeję się” – często myślał wtedy Doll. Nie opłakiwał utraconych kosztowności: co niegdyś kupiło się za pieniądze, znów można będzie za nie kupić. Nie martwiła go też świadomość, że posiadał tylko dwie pary starych skarpet, po sto razy cerowanych, i jeden jedyny, dość wytarty garnitur.

Nie, zupełnie mu to nie przeszkadzało. Już raczej przekonanie, że znów, podobnie jak w minionych dwunastu latach, tryumfuje zło, że wszystko zatracą swą wartość. Wydawało się, że przed tym narodem nie otwierają się żadne możliwości poprawy. Często odnosił wrażenie, że pod przemożnym wpływem niedostatku ludzie stają się jeszcze bardziej nazistowscy. Jakże często słyszał słowa: „Za Führera tego i tamtego było w bród!”. Im wszystkim, również wielu spośród tych, którzy wcześniej nazistami nie byli, lata tyranii Hitlera wydały się nagle czasem błogosławionym. Okropności wojny, noce bombardowań, posyłani na śmierć mężowie i synowie, gwałt na niewinnych – wszystko to znów popadło w niepamięć. Liczyło się wyłącznie to, że dawniej dostawali nieco więcej chleba czy mięsa. Wydawali się niepoprawni, życie pośród nich czasem jawiło się czymś niemal nie do zniesienia. Po raz pierwszy – i to po zakończeniu wojny! – Doll poważnie myślał o emigracji.

Nie był to jednak powód, by popadać w tak głęboką apatię, by niweczyć dopiero co zdobyte, by trwonić to, co z trudem zachowane. Być może chodziło o pracę, ową pracę, która stała się bardziej obowiązkiem niż radością, pracę wykonywaną bez zapachu, bez intuicji, bez miłości, pracę, której nie obejmował swym sercem. Zawsze ją kochał, uznawał za sens swego życia. A teraz miał świadomość, że traktuje ją z obojętnością. Często odnosił wrażenie, że być może już nigdy nie będzie w stanie pracować jak dawniej, że jego zapach na zawsze zagaśnie.

Do tego doszły tysiące drobnych, niesprzyjających, nieuniknionych w owych czasach doświadczeń. Wydawało się, że zatracił również zdolność jako tako

rozsądnego gospodarowania funduszami. Z pieniędzmi zawsze było krucho, nigdy ich nie starczało, a skoro ich nie starczało, mimo że usilnie się starali żyć oszczędnie, dlaczegoż mieliby sobie odmawiać tytoniu? Czemu by nie zapalili angielskiego czy amerykańskiego papierosa? Przecież i tak wszystko to na nic!

Na domiar złego u młodej kobiety znów pojawiły się dolegliwości żółciowe, czy to rzeczywiste, czy tylko urojone. A wraz z nimi powróciły „środeczki”. Tym razem jednak Doll nie protestował, o nie, teraz wszystkim po równo się dzielili. A wtedy mogli zatonać w marzeniach, świat stawał się różowy, wszystko, co niesprzyjające, niknęło w zapomnieniu. Prawie nie odczuwali głodu ni chłodu, z łóżka wstawali jedynie po to, by się w nie zaopatrzyć.

Pozyskiwanie pieniędzy stawało się jednak coraz trudniejsze. Doll nie zarabiał już swoją pracą – przystąpiono wówczas do wielkiej wyprzedaży. Pozbyli się mebli, perskich dywanów, obrazów i książek, pogrążali się w nienasyconej otchłani. Ich siła, odwaga, nadzieje, resztki ich majątku, wszystko przepadło, zniknęło w ten właśnie sposób.

Przed światem wystarczająco przebiegle ukrywali swą namiętność. W rozmowach z Granzowem Doll przyznawał, że praca posuwa się naprzód wielkimi krokami. Gawędząc z nim, snuł jeden projekt za drugim, wynajdywał najprzedniejsze historie – i puszczał wszystko w niepamięć, ledwie przestąpił próg jego domu. Żyli już tylko dla swych sennych marzeń rodzących się w łózkowej krypcie, każde z nich snuło własne, wyłącznie dla siebie...

Aż dłużej tego ciągnąć nie było sposobu – wszystko zostało sprzedane, prócz utraty całego majątku wyrosła przed nimi góra długów, mimo najsilniejszych dawek ciała prawie już nie reagowały. W końcu pomyśleli z obrzydzeniem: „Koniec z tym głupim, daremnym życiem!”. Lecz wcale z nim nie zerwali, podobnie jak i cały naród, nawet gdy miał już po temu dość powodów! Ostatecznie znów znaleźli się w szpitalu – on zawędrował do owego dziwnego domu dla kobiet przy Elsastraße 10, o którym już wspomniano. Ona zaś, młoda kobieta, po krótkiej kuracji przezwyciężyła uzależnienie od środków odurzających, po czym udała się do miasteczka, by zabrać resztę ich rzeczy.

Raz jeszcze mieli spróbować zacząć wszystko od początku. Tym razem jednak w znacznie trudniejszych niż przedtem okolicznościach. Ogromny kapitał przyjaźni, zaufania, majątku, także i wiary w siebie, został zaprzepaszczony.

Wstaje z fotela, obserwowany z wyrzutem w tym zakurzonej, podniszczonym pokoju przez resztkę swej biblioteki. Rozprostowuje kości, po czym wychodzi na balkon i patrzy na rozświetloną zielenią. Drzewa nie doświadczyły wojny, podobnie krzewy i trawa. Życie toczy się dalej. Niewielka to pociecha, lecz zawsze jakaś

pociecha. Dlaczego nie miałyby znów napisać książki, którą wszyscy będą czytać, która odniosłaby sukces? Wkrótce, może nawet za chwilę, w uliczkę skręci ciężarówka z ostatnimi książkami i meblami. Zaczną od nowa, jeszcze raz – i tym razem nie dadzą za wygraną tuż przed dotarciem do celu!

W promieniach słońca przeszywa go nagle dreszcz. Nie wytrzyma dłużej w tym domu przywodzącym mu na myśl grobowiec tak wielu utraconych nadziei. Spieszenie wychodzi na zewnątrz, mija czerwono-biały posterunek i kilka minut później wsiada do tramwaju.

„Tak – myśli zdesperowany. – Granzow nie powinien sądzić, że wymiguję się od podjęcia jakiegokolwiek decyzji, że pozwalam, by decydowali za mnie inni. Chcę mieć pewność, zanim jeszcze pojawi się ciężarówka”.

Idzie przez epicentrum zniszczeń, niewielu ludzi dostrzega na ulicach, które jeszcze siedem lat wcześniej zatłoczone tętniły życiem. Teraz może maszerować samym środkiem jezdni, zupełnie się nie martwiąc o przejeżdżające samochody; nawet jeśli jakiś się pojawia, z powodu głębokich dziur porusza się powoli i ostrożnie.

Również Doll idzie wolnym krokiem. Słońce praży ruiny (wszędzie panuje spokój), wokół wciąż unosi się woń kurzu i spalenizny. Niektórzy Berlińczycy wyobrażali sobie, że w krótkim czasie roślinność zatryumfuje na ruinach. Lecz my nie żyjemy w pobliżu tropikalnej puszczy, nadto zwały gruzu przykryły matkę ziemię. Nadal nic jeszcze z niej nie wyrosło! Ledwie dostrzec można pojedyncze zielone źdźbło...

„Tak, mój drogi – mówi do siebie Doll. – Właściwie czemu się dziwisz, czemu niemal się skarżysz? Ruiny nie zarastają tak szybko – także i w twoim przypadku, akurat w twoim przypadku! Nie jesteś jeszcze całkiem zdrowy, ale pomyśl tylko, jak było przed rokiem, jak bardzo byłeś zdruzgotany! Nie pamiętasz już, jak leżałeś w tym ogromnym bombowym leju, będącym całym światem albo przynajmniej Niemcami, i miałeś nadzieję, że otrzymasz pomoc ze strony Wielkiej Trójki? A zatem! Uważam, że od tego czasu nieco się pozbierałeś. Na ruinach rośnie już kępka trawy. Nie bądź taki niecierpliwy, podążaj dalej swoją drogą!”.

Więc idzie dalej swoją drogą, ta zaś wiedzie go kilkaset kroków wśród gruzowiska do dużego, zachowanego w jako takim stanie biurowca – dawniej miał w nim siedzibę Front Pracy. Wchodzi po schodach, nikt go nie pyta o cel wizyty, nie musi wypełniać żadnego formularza, czy jest urodzony, ochrzczony, żywy – udaje się do iście nowoczesnego przedsiębiorcy.

Otwiera drzwi i bez zbędnego powitania przez sekretarkę, sekretarza czy portiera staje przed swoim wydawcą Mertensem.

Dziesięć minut później opuszcza niegdysiejszą siedzibę Niemieckiego Frontu Pracy. Granzow miał rację: ten Mertens nie jest człowiekiem małostkowym. Żadnego deliberowania, żadnej gadaniny, żadnych wyrzutów. Pytanie, krótka chwila namysłu i zgoda.

Pod pachą Doll dźwiga pakunek, a w nim nowe publikacje wydawnictwa, kieszonkę na piersi ma wypchaną pieniędzmi. Nie musi już dłużej powiększać pustych przestrzeni na półkach z książkami, pozbył się też góry swych długów. Wystarczy, że będzie wytrwale pracować, a przy odrobinie szczęścia wszystko się ułoży.

Choć w pobliżu jego domu, tuż obok przystanku tramwajowego, mieści się niewielki, rzadko odwiedzany urząd pocztowy, Doll rozpytuje jednak o drogę przez zrujnowane ulice do innej placówki. Nie może się bowiem doczekać, by uczynić to, co uczynić powinien. Droga do urzędu pocztowego w centrum miasta jest znacznie dłuższa, a i samo jego wnętrze podniszczone i strasznie zatłoczone.

Długo musi czekać, aż podadzą mu pióro, formularze i przekazy pocztowe. Następnie podchodzi do jednego z pulpitów i przystępuje do ich wypełniania. Opiewają na spore sumy, długo, miesiącami będzie musiał pracować, by je zwrócić. Ileż dobrych rzeczy mogliby kupić za te pieniądze?! Ich dom wyglądałby dziś jak ludzka siedziba, a nie jak jakaś zwierzęca nora, gdyby ich tak bezmyślnie nie roztrwonili na te diabelskie „środki”, na to cholerstwo, przez które na dodatek się pochorowali!

W tej jednak chwili Doll się nad tym nie zastanawia, przekazy wypełnia z prawdziwą przyjemnością, z głębokim poczuciem ulgi skreśla z listy swych długów, którą stale przy sobie nosi, kolejne nazwiska wierzycieli. Nie wszystkich może dziś jeszcze spłacić, lecz za tydzień otrzyma od wydawcy resztę zaliczki, a wówczas ostatecznie się z nimi upora!

Kiedy godzinę później Doll znów wychodzi na ulicę, jego portfel skurczył się do normalnych rozmiarów, jego serce wszakże zdaje się większe i silniejsze, tak bardzo mu ulżyło. Nie zauważa już, że na ruinach prawie nic nie rośnie, w ogóle nie dostrzega ruin. Został uwolniony od ciężaru trosk, które nurtowały go od dłuższego czasu, widzi przed sobą drogę... Nagle spieszo mu wracać do domu. Tę przygnębiającą, brudną norę znów nazywa domem!

Spójrz, kiedy skręca za rogiem i dostrzega kraniec willowej ulicy, miejsce to jakże się ożywiło! Przed wejściem zaparkowała ciężarówka, dzieci pomagają mężczyznom dźwigać ciężary – ach, dobry Boże, właśnie wnoszą do domu jego

książki! Regały na powrót się zapełnią, nora przemieni się w dom, znów się im udało! Ostatni odcinek drogi pokonuje niemalże biegiem...

Zastaje Almę w fotelu, pali papierosa i dyryguje wnoszącymi meble. Wykorzystała jego nieobecność, by zetrzeć z siebie ślady podróży zakurzoną ciężarówką, wygląda teraz świeżo i młodzieńczo...

– Ha, zdziwiony! – woła na powitanie – Tak, mam pełną ciężarówkę i do tego przyczepę. Zabrałam wszystko, już nie musimy tam wracać. Ta przekłeta dziura to już przeszłość. Są tu wszystkie twoje książki. Cieszysz się? Dobrze się spisałam?

Oczywiście, że się cieszy, daje jej całusa. Zaraz jednak wypytuje ją, czy ma też dla niego papierosa.

– I to całą paczkę! – woła Alma. – Biedaku, aż tak cię to męczy? Bierz! I mam coś jeszcze dla ciebie: w torbie leżą dwie butelki wódki! Tym ludziom też się coś należy, dzielnie pracowali. I nie rób takiej miny, że wydałam tyle pieniędzy. Wódka jest tam tania, butelka nie kosztuje nawet czterdziestu marek! Poza tym przywiozłam z powrotem całą sumę przeznaczoną na podróż. A nawet więcej!

– Tak?! – dziwi się Doll. – W jaki sposób zdołałaś zaoszczędzić pieniądze na podróż?! A nawet więcej! Czyżby wspierali teraz ludzi jeżdżących koleją, a hotele dopłacały tym, którzy w nich nocują?

– Ależ to całkiem proste! Czym prędzej sprzedałam wszystko, co się nie zmieściło na ciężarówce. Stare, nieprzydatne graty, materace, meble z surowego drewna. A teraz wypijmy za nowe, lepsze życie. Na zdrowie!

Tręcili się, wypili. Ułożyła się wygodnie.

– Och, jak dobrze to robi po długiej podróży w tym kurzu! Cieszę się, że mam to już za sobą! I że wszystko udało mi się załatwić! Ładowaliśmy do trzeciej w nocy, tak, pracowaliśmy dzielnie, możesz dać mi w podziękę jeszcze jednego buziaka! Jaka ja jestem szczęśliwa!

Pocałował ją, to rozpieszczone dziecko, gotowe teraz podążać wraz z nim drogą pracowitości i najsurowszej oszczędności. Patrzył, jak siedzi i uśmiecha się w poczuciu szczęścia, młoda i zdrowa, uradowana tym, czego dokonała.

Późnym wieczorem Doll wraca do szpitala, by spędzić tam ostatnią noc. Następnego ranka przeniesie się na ulicę willową i na nowo urządzi swój dom. Znów jest zdrowy, znów czuje w sobie zapał do pracy, wierzy w swą przyszłość. A nie sposób wierzyć w przyszłość, nie myśląc o gronie najbliższych, całym narodem, nie myśląc o ludziach. Wierzy w przetrwanie, w odrodzenie całej Europy, gdyż wierzy we własne odrodzenie.

Otrząsnął się ze swej apatii, nie leży już dłużej w tamtym bombowym leju. W jakiś tajemniczy sposób wzrasta w nim energia, by się z tego leja o własnych siłach wydostać. To nie dzięki pomocy Wielkiej Trójki dociera na szczyt. Błogosławi życie, to niezniszczalne, wciąż brukane, wspaniałe życie! Wśród narodów znów zapanuje ład, także Niemcy, te ukochane, nędzne Niemcy, to chore serce Europy znów powróci do zdrowia.

Kiedy Doll w ten późny wieczór wędruje ulicami Berlina, po raz pierwszy czuje, że nastał prawdziwy pokój. Mija ocalałe domy, mija ruiny, przemyka pod koronami drzew. Jest szczęśliwy. Pogodzony z samym sobą. Odzyskał poczucie równowagi. Ozdrowiał – by żyć w pokoju.

A życie toczy się dalej. Oni ten czas przetrwają, ci, którzy dzięki łasce przeżyli, ocaleli. Życie toczy się dalej, nawet pośród ruin. Ruiny są nieistotne, istotne jest życie. Życie, źdźbło trawy w samym centrum miasta, wśród tysięcy zniszczonych bloków kamienia. Toczy się dalej.

Może ludzie nawet się czegoś nauczą. Wyciągną naukę ze swego cierpienia, ze swych łez, przelanej krwi. Niechętnie, niezdecydowanie, albo z entuzjazmem. Że może być tylko inaczej, że trzeba nauczyć się inaczej myśleć...

Doll w każdym razie jest zdecydowany na naukę. Widzi przed sobą własną drogę, najbliższe kroki, one zaś oznaczają pracę, pracę, pracę. Za tą ścieżką znów czai się mrok, który przesłania dziś przyszłość każdego Niemca, o tym jednak nie chce teraz myśleć. Minione lata nauczyły żyć na zawołanie, wyłącznie z dnia na dzień, dlaczegóż by dziś nie wykorzystać owej nauki? Żyć dalej i poświęcić się pracy! Oto jest dewiza!

Późnowieczorny wiatr kojąco szumi w koronach drzew. Szarego człowieka owiewa podmuch szerokiego świata. Przystaje na chwilę przy jednym z tych drzew, wsłuchuje się w szept rozchodzący się wśród konarów. To nic, zaledwie ruch powietrza, który powoduje szelest liści. Nic. Nic więcej. Lecz to wystarczy. Nigdy przez ostatnie lata nie miał czasu przystanąć pod drzewem i wsłuchać się w jego szept. Teraz ma, gdyż nastał pokój. Pokój! Zrozum, człowieku, nie musisz już więcej mordować i zabijać. Broń stała się niepotrzebna, nastał prawdziwy pokój!

Aneks

Johannes R. Becher
Co dalej?
Na śmierć Hansa Fallady

Szóstego lutego¹ 1947 roku w berlińskim szpitalu w wieku 53 lat umiera na serce znamienity niemiecki prozaik Hans Fallada.

Żegnając naszego drogiego Hansa Falladę, winniśmy sobie uświadomić, że przy katafalku stoją wraz z nami tysiące jego czytelników, których tak hojnie obdarował. Swymi książkami tchnął w nich radość, przyniósł pociechę, wśród mroku codziennego życia pomógł pokonać kawałek trudnej drogi. Łzy po jego stracie płyną także z oczu maluczkich, ludzi ubogich i strapionych. Owe ciche łzy więcej ważą niżli wszelkie mowy pogrzebowe i nekrologi. Wspominając go po raz ostatni, w imieniu wszystkich owych bezimiennych czytelników pragniemy wyrazić naszą wdzięczność.

Bliskie mu osoby stały się świadkami jego tragicznych zmagania, przez dwa długie lata rozpaczliwie walczył o swoje życie. Życie, które poświęcił przede wszystkim twórczości. Najśłynniejsza jego książka nosi tytuł *Co dalej, szary człowieku?* On sam zmagał się z owym mrocznym pytaniem „Co dalej?”. „Co dalej?”, zdawał się zapytywać nas samych, gdy niedługo po klęsce spotkaliśmy go w Berlinie. Niemcy, co dalej? Dla siebie znalazł na to pytanie tymczasową odpowiedź, kiedy to „u siebie”, w Feldbergu w Meklemburgii objął urząd burmistrza. O tym okresie opowiada w swojej przedostatniej książce *Zmora*. Prawda i zmyślenie. Oto niemiecki pisarz, udręczony poczuciem winy ostatnich dziesięcioleci, podjął próbę wyznania grzechów i wziął ich część na swe barki, pragnąc je odkupić. Owo „Co dalej?” nie dawało mu spokoju. W obliczu zrujnowanego losu leżącego w zgłiszczach Berlina odczuwał śmiertelny strach, bał się, że nie będzie już mógł pisać i nie zdoła sięgnąć szczytu swej twórczości, albowiem to on, z jego przeogromnym talentem epickim, miał sprostać zadaniu spisania nieśmiertelnej kroniki naszej drugiej wojny trzydziestoletniej. Już wcześniej, w książce *Wilk wśród wilków*, udało mu się na wzór Grimmelshausena nakreślić fragment niemieckiej historii. Całe niemieckie społeczeństwo pozuje mu do tego obrazu. Ukazuje się ono naszym oczom niczym

Balzakowska galeria we wszystkich wzajemnych relacjach i sprzecznościach, a z twardego gruntu rzeczywistości wyrastają wizje. Artysta zdołał stłumić rozdźwięk pomiędzy sztuką a rozrywką, jego sposób przedstawienia rzeczywistości bawi, lektura staje się literacką uczcą, wciąż trzyma w napięciu i inspiruje. A kiedy w tok narracji wtapia elementy kiczu, to jedynie dlatego, że kiczowata jest sama rzeczywistość. Żadna z jego książek nie umarła z nudów. Co prawda nie zawsze unika on pułapki bagatelizowania, między wierszami daje się wszakże wyczuć jego tęsknotę za idyllą, romantyczne pragnienie zatracenia, wyłaniające się z nieznośnego zaszczucia epoki i ekscesów własnego życia. Biorąc pod uwagę bogactwo i różnorodność stworzonych przezeń postaci, był bodaj najznamienitszym z żyjących niemieckich pisarzy.

Natchniony rodzimą poezją, pisał książki niczym ludowe podania, snuł anegdoty i malował legendy. Wiódł nas przez swój labirynt miłości i cmentarz dla zwierząt, swój pszczeli raj, zapraszał nas do zwiedzenia gabinetu osobliwości oraz panoptikum. W czarodziejskim sklepiku miał na składzie wróżki, skrzaty i dziwaków. Innym znów razem ukazuje nam szelmę, „podłą mimo swej poczciwości kanalię”, takiego zaś Lemke charakteryzuje w sposób następujący: „Ten Lemke był istnym cudem. Gdy szef postępował nierzetelnie, zaskarbiał sobie zaufanie. Kiedy naprawdę został oszukany, nie tracił wiary”. Czasy podsunęły naszemu Hansowi Falladzie liczne zagadki natury ludzkiej. Z niektórych spośród nich rozczarowany zrezygnował. „Gdy zagadka, którą chcemy rozwikłać, okazuje się jedynie nagromadzeniem niedorzeczności, przestaje nas wabić”.

Dysponował najszerzą skalą ludzkich uczuć. Nic, co ludzkie, nic, co nieludzkie nie było mu obce. Odmalowywał najbardziej nawet skrywane uczucia, a jego klawiatura wystukiwała rytm podświadomych doznań. To, co niezwykle i problematyczne, potrafił w sposób zrozumiały i przystępny wyrazić w skromnym, ludowym języku. Swą miłością obdarzył maluczkich i ich skromne życie. Po mistrzowsku przedstawił nam ową prawdę, że proste życie niejednokrotnie bywa nader skomplikowane, a cisi ludzie mają głowy pełne marzeń o wielkości. Jak mało kto znał życie owych prostych ludzi i zgodnie z prawdą odzwierciedlał ich nastroje. Ta jego siła była zarazem jego ludzką i artystyczną słabością. Nazbyt często i łatwo poddawał się huśtawkom nastrojów tychże warstw społecznych, rejestrował je i z nimi współbrzmiał, gdy tymczasem winien się im sprzeciwić, stawić im opór. Był jednak altruistą, idąc śladem swych najlepszych poprzedników, wkrótce znów przeciwstawił się wielkiemu barbarzyństwu, wraz z nimi, na swój – na ich sposób: tępo, uparcie, dziwacznie,

w samotności. Abstrahując od sztucznie nakreślonego, narzuconego mu zakończenia, również *Żelazny Gustaw* jest dziełem, o którym nie powinniśmy zapomnieć, z którego my Niemcy możemy być dumni. To pedagogiczny poemat: Prusy w domowych pieleszach, koszary jako przytulna izdebka, z niezłomną konsekwencją doprowadzone do katastrofalnego zakończenia, anarchistyczny zanik wywalczonego z żelaznym uporem rodzinnego szczęścia...

Będąc poetą, Fallada nie był myślicielem. Nie był z natury refleksyjny. Zawsze bez reszty zajmowała go galeria nurtujących go postaci. Uporządkowanie owej obfitości figur i wprawienie ich w ruch stanowiło istotę jego artystycznej pracy. To, co w jego naturze niezachwiane, prowadziło go nierzadko ku wszelkim owym znanym nam wątpliwym sytuacjom w życiu. Jego pracująca bez wytchnienia wyobraźnia zwodziła go często na niebezpieczne ścieżki bezmyślności. Ten, który ustawicznie rozmyślał o teatrze życia swych postaci, zbyt mało uwagi poświęcał życiu własnemu, reagował z przesadą, popędliwie, kierując się wypaczonym już instynktem. Często musiał sprawiać wrażenie nieodpowiedzialnego i rozbrykanego, gdy wzbraniał się przemyśleć do końca następny krok swego życia. Zarzucano mu jego „przemiany”. Zmieniał się w tej samej mierze, w jakiej zmieniał się świat jego postaci, z których sam się składał. Fallada, o ile tylko skłonny był otwarcie się wypowiadać, pozwalał poznać sposób myślenia szarego człowieka. W tym sensie nie potrafił się wznieść ani ponad samego siebie, ani ponad swoje postaci. Nie potrafił ani siebie, ani innych wyprzedzić. Żył pośród obfitości swych twarzy. Dręczyło go to, co nienarodzone, kiedy nie potrafił tego powołać do istnienia, dopiero gdy świat spełnił się w słowie, naśladował życie, tworząc w doli i niedoli swoje postaci, jedyne stworzenia, które ofiarowały mu nieco światła i ciepła w jego dozgonnym więzieniu ponurego osamotnienia.

Żył niejako pod presją, gnany niepokojem wśród wzlotów i upadków swego istnienia. Podążał za ludźmi i wydarzeniami, sam przez nie prześladowany. Gorączkowe tempo, w jakie popadał przy tworzeniu swych dzieł, pozostaje w osobliwie groteskowej sprzeczności z subtelnym, delikatnym, kaligraficznie precyzyjnym, niemal cyzelowanym pismem, karnie trzymającym się linii każdego wersetu. Przeglądając stronica po stronicy jego rękopiśmienne manuskrypty, odnosimy wrażenie, że obcujemy z niekończącym się procesem tworzenia, że dzieło to nigdy nie zostanie przerwane. W ciemnych okularach na ogorzałej, poszarzałej twarzy jawił się niekiedy niczym ponadczasowy czarodziej, zaczarowany przez swe postaci, które z igraszką wyczarowywał. Niespodziewanie wymykał się, unikając rozmowy, i zaszywał w swoim pokoju

niby w odosobnionej celi, gdyż nadeszła godzina przymusu. Lecz czyż sam nie czuł się udręczony, ba, zrozpaczony, gdy w owej godzinie następowała przerwa? Stawał się wówczas bezrobotnym, rojącym o zatrudnieniu, drżąc ze strachu przed widmem wiecznego bezrobocia.

Kiedy mowa o Falladzie jako „fragmencie Niemiec”, nie jest to fragment ani najlepszy, ni najgorszy. To typ człowieka, który dziś, w obliczu pewnej politycznej przesady, znów pozostaje na marginesie, który mimo dobrej, choć słabej woli, uznał się za współwinnego „owych nieprzewidzianych okoliczności”, by potem, w obliczu współwyrządzonych szkód, skarżyć się na „los”: „Przecież zawsze chcieliśmy tylko jak najlepiej!”.

Człowiekiem dobrej, choć słabej woli był także i nasz Hans Fallada. Na jego opłakany widok często cisnęło się nam na usta Strindbergowskie „Szkoda ludzi”. Szkoda ludzi dobrej woli, którzy w swej słabości padli ofiarą siły złej woli. Fakt, że Fallada ulegał pokusom jedynie przez krótką chwilę, świadczy o solidności dobra, które w nim tkwiło i wciąż się usilnie opierało, broniło przed zachwianiem i upadkiem. I właśnie dlatego nie pisał nudnych książek – był bowiem interesującym człowiekiem, wciąż gnany przez czające się w nim sprzeczności, a sprzeczność, którą ucieleśniał, nie miała charakteru prywatnego. W stanach duchowego kryzysu ucieleśniał sobą, wyrażał sytuację całych Niemiec, postrzeganie jej w kategoriach historycznych tudzież ograniczanie jej wpływu nie leżało w jego mocy. Ów „niemożliwy człowiek”, którym nierzadko bywał, krył w sobie tyle licznych i bogatych możliwości, prócz jednej – możliwości stworzenia sobie warunków do rozwoju wszystkich swych talentów. Co prawda przez dłuższe okresy pisał w poczuciu wolności, niemniej jedynie przez krótki czas pozostawał wolny, a jego życie przedwcześnie dobiegło końca, pogrążając się w burzliwym, nazbyt wczesnym zmierzchu.

Hansie Fallada, prawdziwy poeto, pilny robotniku, nasz niestrudzony bajarzu omotany barwną przędzą niewyczerpanego bajkowego świata – nie ułatwiałeś sobie życia, drogo zapłaciłeś za swój dar tworzenia, wiele cię kosztowała każda z twoich książek, byłeś bowiem opętany błogosławionym szaleństwem pisania. Słyszając intymną, czule szeptaną melodię twoich zdań, nie sposób pojąć, w jak wielkim trudzie i cierpieniu się zrodziły. Twe nieme krzyki, twoje wołanie o pomoc w chwili upadku! Jakże niezłomnie upierałeś się przy tym, by nie spieszono ci z pomocą, byś przez nikogo niepowstrzymywany mógł iść naprzeciw gorzkiego kresu. Nazywałeś to swoją „małą śmiercią”, gdy uciekałeś w swój bezsenny sen zapomnienia, by się uwolnić od samego siebie – zbyt wiele razy umierałeś taką małą śmiercią, aż w końcu, znużona owym sztucznym

umieraniem, zawładnęła tobą wielka, nieodwołalna śmierć. Przedwcześnie złamane serce udało się w wieczną podróż.

Ostatnią powieść Fallady, noszącą tytuł *Każdy umiera w samotności*, można by nazwać jego testamentem. Opisując bezsilny opór małżonków Quangel skierowany przeciwko aparatowi władzy hitlerowskiego reżimu, ukazując, jak ów sprzeciw dwojga osamotnionych ludzi wykrwawia się w swej bezradności, w portretach kilku pobocznych postaci nakreśla zarazem inną możliwość człowieczego oporu, którego ofiara nie jest daremna, gromadzi bowiem wciąż nowe siły do dalszego działania...

Prostym, skromnym Niemcom wystawił Fallada w swym dziele prawdziwy pomnik. W ich sercach bije również jego własne. Pomnik ów stworzył, kreśląc postać Jaginki z powieści *Co dalej, szary człowieku?*. Ku takiej osobie jak Jaginka zwracamy się myślą, gdy zadajemy sobie pytanie, co z dzieła Fallady nam pozostanie i jaką możemy z niego czerpać nadzieję.

Na owo nierozstrzygnięte, płynące z życia Hansa Fallady pytanie, na wielkie pytanie losu nas wszystkich „Co dalej?”, będziemy w przyszłości zmuszeni sobie odpowiedzieć sami, bez niego.

Posłowie

Przeraźliwym zimnem można chyba tłumaczyć fakt, że przed krematorium przy Gerichtstraße zgromadził się nieliczny jedynie orszak żałobników, by po raz ostatni pożegnać Hansa Falladę. Nikt nie reprezentował władz nowych Niemiec ani administracji centralnej do spraw edukacji, ani magistratu. Większość niemieckich gazet zbyła śmierć Hansa Fallady kilkoma suchymi zdaniem, choć przecież te same redakcje oburzały się w przeszłości z powodu traktowania literatury po macoszemu. Gdzieś padło nawet słowo „bezwstydy”: równie niepoważnie co złośliwie zarzucano Falladzie jego „przemianę” – istny nekrolog bezwstydy. W którymś miejscu jego śmierć skomentowano krótką wzmianką opatrzoną nagłówkiem: „pisarz kontrowersyjny”. Jakby istnieli pisarze niekontrowersyjni. Niekontrowersyjni są jedynie nieudacznicy i kompletne zera. Fallada jest niewątpliwie postacią kontrowersyjną. A wszelkie za i przeciw, jakie wywołuje, świadczą o tym, że trwa on w zgoła niemałej części swego dzieła i przeżyje swych zajadłych wrogów.

Niniejszy nekrolog pióra Johannes R. Bechera ku czci przyjaciela, pisarza Hansa Fallady ukazał się na łamach „Kulturpolitische Monatsschrift”, Aufbau (3. Jahrgang 1947, Heft 2, s. 97–101). W pierwszym wydaniu *Zmory* tekst ten został w skróconej wersji przedrukowany jako posłowie. Odpowiadając na listowną sugestię Kurta Wilhelma, że „książkę tę należałoby poprzedzić niewielkim wstępem, najlepiej Pańskiego pióra”, Johannes R. Becher zaproponował wykorzystanie swego „eseju” z Aufbau, „oczywiście bez końcowego dopisku”. Trzydziestego pierwszego marca 1947 roku Wilhelm zaakceptował propozycję Bechera i poinformował go, że zmuszony był „na początku i pod koniec” dokonać kilku skreśleń. Właśnie w owym „końcowym dopisku”, jak autor określił później swe ostatnie słowa, przedrukowane mniejszą czcionką i opatrzone tytułem *Posłowie*, zawarł Becher wyraźną krytykę oficjalnych władz, wspominając, iż podczas pogrzebu Fallady „nikt nie reprezentował władz nowych Niemiec”. W niniejszym wydaniu nekrolog przedrukowano w całości. © Aufbau Verlag GmbH & Co. KG, Berlin 1979.

Dane biograficzne autora

- 21.07.1893 – Rudolf Ditzen urodził się w Greifswaldzie jako trzecie dziecko sędziego ziemskiego Wilhelma Ditzena i Elżbiety Ditzen
- 1899 – powołanie ojca do Rady Sądu Kamery w Berlinie, przenosiny rodziny do Berlina
- 1909 – powołanie ojca do Rady Sądu Rzeszy w Lipsku, przenosiny rodziny do Lipska, poważny wypadek rowerowy
- 1911 – nauka w gimnazjum w Rudolstadt, Rudolf ciężko ranny podczas – zatuszowanej jako pojedynek – próby podwójnego samobójstwa, w którym zginął jego przyjaciel Hanns Dietrich von Necker; po kuracji nawroty uzależnienia od narkotyków i alkoholu
- 1912 – pobyt w zakładzie dla nerwowo chorych w Tannenfeld w Saksonii
- 1913 – studia w szkole rolniczej w Posterstein w Saksonii
- 1914 – zgłasza się jako ochotnik do wojska, lecz ze względów zdrowotnych zostaje zwolniony po kilkunastu dniach
- 1915 – skarbnik w majątku Heydebreck na Pomorzu Tylnym
- 1916 – praca w Izbie Rolniczej w Szczecinie, a potem w Towarzystwie Uprawy Ziemiaka w Berlinie
- 1917 – kuracja odwykowa w Carlsfeld koło Brehny, następnie praca w charakterze kasjera (skarbnika) w różnych majątkach, między innymi w Meklemburgii, na Pomorzu Przednim, w Szlezwiku-Holsztynie oraz na Śląsku
- 1919 – ponowna kuracja odwykowa w Tannenfeld
- 1920 – debiut literacki: nacechowana autobiograficznie powieść *Der junge Goedeschal* pod pseudonimem Hans Fallada
- 1923 – powieść *Anton und Gerda*; za sprzeniewierzenie skazany na kilkumiesięczną karę więzienia; do dnia jej rozpoczęcia sekretarz majątku w Radach (Radachów) koło Drossen (Ośno Lubuskie)
- 1924/25 – trzy miesiące aresztu sądowego w Greifswaldzie, po zwolnieniu rachmistrz w Gudderitz na Rugii i w Lübgust (Lubogoszcz) na Pomorzu
- 1926 – z powodu kolejnej defraudacji skazany na karę dwóch i pół roku więzienia w Więzieniu Centralnym w Neumünster
- 1928 – adresowanie kopert w Hamburgu, członek SPD (Socjaldemokratycznej Partii Niemiec), zaręczyny z Anną „Suse” Issel

- 1929 – akwizytor ogłoszeń w Neumünster, lokalny reporter w „General-Anzeiger”, 5 czerwca ślub z Anną Issel, reporter sądowy podczas tzw. Landvolkprozess
- 1930 – zatrudnienie w wydawnictwie Rowohlt; narodziny syna Ulricha
- 1931 – *Bauern, Bonzen, Bomben*; przenosiny do Neuenhagen pod Berlinem
- 1932 – *Kleiner Mann – was nun?* (*Co dalej, szary człowieku?*, wyd. polskie 1937), współpraca z różnymi czasopismami
- 1933 – przenosiny do Berkenbrück; jedenaście dni aresztu po denuncjacji; zakup posiadłości w Carwitz pod Feldbergiem; narodziny córki Lore
- 1934/35 – *Wer einmal aus dem Blechnapf frißt* (*Czyż nie ma powrotu?*, wyd. polskie 1936); *Wir hatten mal ein Kind* (*Gdybyśmy mieli dziecko*, wyd. polskie 1937); *Das Märchen vom Stadtschreiber, der aufs Land flog*
- 1936 – *Altes Herz geht auf die Reise; Hoppelpoppel, wo bist du?*
- 1937 – *Wolf unter Wölfen* (*Wilk pośród wilków*, wyd. polskie 1938)
- 1938 – *Der eiserne Gustav* (*Żelazny Gustaw*, wyd. polskie 1967); *Geschichten aus der Murkelei*
- 1939 – *Kleiner Mann, großer Mann – alles vertauscht*
- 1940 – *Der ungeliebte Mann*; narodziny syna Achima
- 1941 – *Ein Mann will nach oben* (także pod tytułem *Ein Mann will hinauf: die Frauen und der Träumer; Człowiek z aspiracjami*, wyd. polskie 2015); *Der mutige Buchhändler* (także pod tytułem *Das Abenteuer des Werner Quabs*)
- 1942 – *Damals bei uns daheim; Zwei zarte Lämmchen weiß wie Schnee; Die Stunde, eh' du schlafen gehst*
- 1943 – *Heute bei uns zu Haus; Der Jungherr von Strammin* (także pod tytułem *Junger Herr – ganz groß*); na zlecenie Urzędu Pracy Rzeszy podróż w randze majora na zaanektowane obszary Czechosłowacji i do okupowanej Francji; wskutek zamknięcia wydawnictwa Rowohlt przez nazistów oraz anulowania jego umowy Fallada traci ostatnie pewne źródło utrzymania
- 5.07.1944 – rozwód z Anną Ditzen; po zajściu z bronią palną przymusowy pobyt w zakładzie w Altstrelitz, tu powstaje rękopis *Der Trinker* razem z dziennikiem więziennym 1944 (pierwsze wydanie pod tytułem *In meinem fremden Land*, 2009, wyd. polskie *W moim obcym kraju*, 2011); po zwolnieniu *Fridolin, der freche Dachs*
- 1945 – ślub z dwudziestodwuletnią, skłoną do uzależnień Ursulą „Ullą” Losch w Berlinie; z powodu nieustannych nalotów opuszczają mieszkanie Ulli przy Meraner Straße (Berlin-Schöneberg) i przenoszą się do jej drewnianego domu w Klinkecken, dzielnicy Feldbergu; pod koniec wojny Fallada zostaje

obsadzony przez Armię Czerwoną jako burmistrz Feldbergu; w sierpniu załamanie i pobyt obojga małżonków w szpitalu, powrót do Berlina do częściowo zniszczonego mieszkania w Schönebergu; pierwsze spotkanie z Johannesem R. Becherem, który pośredniczy w pozyskaniu zleceń dla „Tägliche Rundschau” oraz umożliwia Falladzie przeprowadzkę do przestronnego domu z ogrodem i garażem przy Eisenmengerweg (dzielnica Pankow-Niederschönhausen); to ostatni berliński adres Fallady

1946 – ponowne pobyty w klinikach, m.in. w specjalizującej się w leczeniu chorób wenerycznych prywatnej placówce przy MarthasträÙe 10, gdzie Fallada jest jedynym pacjentem płci męskiej; praca nad *Der Trinker* (wyd. nowej wersji 1950/1953, *Pijak*, wyd. polskie 1957); *Der Alpdruck* (*Zmora*, wyd. 1947, wyd. polskie 2016) oraz *Jeder stirbt für sich allein* (wyd. 1947, wznowienie w wersji pierwotnej 2011, wyd. polskie *Każdy umiera w samotności*, 1950)

5.02.1947 – Rudolf Ditzen umiera w Berlinie, zostaje pochowany na cmentarzu w Pankow; z polecenia Anny Ditzen urnę później przeniesiono i złożono na cmentarzu w Carwitz

Nota edytorska

Tekst niniejszego wydania zaczerpnięto z tomu 7. *Dzieł wybranych (Ausgewählte Werke in Einzelausgaben)* pod redakcją Güntera Caspara, Aufbau-Verlag Berlin und Weimar, wydanie drugie 1998. Za podstawę posłużyło tu pierwsze wydanie, opublikowane nakładem Aufbau-Verlag Berlin, z roku 1947, przy czym poprawiono dwa błędy: pod koniec rozdziału ósmego pielęgniarka przytacza datę „16 lutego 1943”, choć ma na myśli wspomniany na początku rozdziału siódmego rok 1944. Pod koniec zaś rozdziału dwunastego dwukrotnie mowa o „Wielkiej Czwórce”, aczkolwiek pojawia się wyraźne odniesienie do rozdziału pierwszego i „Wielkiej Trójki”. Przygotowując nową edycję, Caspar uwzględnił nadto korespondencję Fallady, manuskrypty oraz pozostałe materiały dotyczące powieści, gdy spuścizna autora znajdowała się jeszcze w posiadaniu ówczesnej właścicielki praw Emmy D. Hey (Brunszwik). Część owych materiałów przechowywana jest obecnie w Archiwum Hansa Fallady w Feldbergu, natomiast zarówno manuskrypty oraz typoskrypty, jak i odbitki korektorskie *Zmory* nie zostały do dziś odnalezione.

Günter Caspar wyszedł z założenia, że Fallada przeczytał w całości odbitki korektorskie. Przechowywane w archiwum Aufbau-Verlag listy nasuwają w tej kwestii wątpliwości. Na podstawie treści trzech pism (z 17, 24 i 27 listopada 1946 roku) należy przyjąć, iż autor przejrzał, a następnie odesłał do wydawnictwa „pierwszych 20 odbitek *Zmory*”, jak również „strony od 21 do 127” („odbitki od 61 do 100 brak”; pierwsze wydanie obejmowało 236 stron tekstu). Nadto w archiwum korespondencji kierownika wydawnictwa Kurta Wilhelma zachował się list z 31 grudnia 1946 roku, w którym wyraża on ubolewanie, iż „niestety, do dziś” nie otrzymał od Fallady poprawionego tekstu do składu. 27 stycznia podkreśla on: „Redakcja pilnie potrzebuje poprawionego przez Pana tekstu *Zmory*. Czy po otrzymaniu tej wiadomości może mi Pan możliwie jak najszybciej przesłać przez kogoś egzemplarz?”. Wilhelm nie doczekał się jednak odpowiedzi. Fallada zmarł 5 lutego 1947 roku w berlińskiej Charité.

Co się zaś tyczy opracowania manuskryptu, z kart korespondencji wynika, że Fallada wielokrotnie tekst swej książki przerabiał. 27 września 1946 roku pisał: „Drogi Panie Wilhelm, moja żona przekaże Panu wraz z niniejszym listem ukończony manuskrypt mojej powieści *Zmora* – sam nie mogę niestety przybyć z powodu nieznośnego reumatyzmu stawów./ Nawet przy pobieżnym

kartkowaniu zauważy Pan, że włożyłem w tę powieść mnóstwo pracy, żadna niemal stronica nie pozostała bez korekty, przede wszystkim zaś całość została znacznie skrócona, prawie o jedną czwartą. Mam nadzieję, że książka w obecnej, ostatecznej postaci przypadnie Panu do gustu. [...] / Zanim manuskrypt trafi do druku, chciałbym osobiście raz jeszcze go przejrzeć, jakże często bowiem zdarzają się wypaczające sens literówki. Chciałbym również przeczytać odbitki korektorskie”.

W październiku uzgodniono listownie konkretne zmiany, przekazane Wilhelmowi przez Falladę. Nadto Fallada szczegółowo określił format oraz układ publikacji, osobiście zatroszczył się o przedruk fragmentu na łamach „Frankfurter Rundschau” tudzież wyraził zamiar złożenia powieści u trzech swoich zagranicznych wydawców, to jest Gyldendal z Kopenhagi, Putnam z Londynu oraz Hökerberg ze Sztokholmu: „Byłoby miło, gdyby Pan, jako pierwszy niemiecki wydawca, mógł ogłosić publikację niemieckiej książki za granicą”.

Wynika stąd zatem, że nawet jeśli Fallada nie zdołał przed śmiercią przekazać wydawcy ostatecznej wersji poprawionych odbitek korektorskich, to jednak sam z wielką starannością przygotował *Zmorę* do druku.

Ortografia oraz interpunkcja zostały w niniejszym wydaniu dostosowane do obowiązujących współcześnie reguł.

¹ W rzeczywistości: piątego lutego (przyp. tłum.).